

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 2

(70) 2012

O Hemarze w angielskich latach ♦ Wnuczka o swojej babci i Sybirze  
♦ T. Krzyżewski opowiada o sowieckim Lwowie ♦ J. Wasylkowski  
w Krakowie 1945 r. ♦ Prof. Nicieja o Storożce i rodzinie Wolskich  
♦ Wiersze Maryli Wolskiej ♦ Makuszyński opowiada o koncer-  
cie Paderewskiego ♦ O ostatnim proboszczu zaleszczyckim ♦  
T. Kotliński przedstawia postać galicyjskiego męża stanu ♦ Książki

## Z wiosną powiało optymizmem

Wreszcie wiosna. Trochę późno – te słowa piszemy w połowie kwietnia – ale oczekujemy, że i ta wiosna i następujące po niej pory roku wynagrodzą nam niezbyt dobrze pamiętany rok. Czy jednak chodzi tylko o meteorologię? Niestety, ów miniony rok z okładem okazał się mało sympatyczny w wielu dziedzinach, przede wszystkim w życiu publicznym i ekonomicznym, co oczywiście nie mogło nie dotknąć nas – środowiska ekspatrianckiego, a z nim naszych organizacji, redakcji czy imprez.

Tu mamy przede wszystkim na myśli naszą redakcję, która od pewnego czasu boryka się z trudnymi problemami istnienia. Przykładem niech będzie ubiegły rok (2011), w którym nasz wieloletni Sponsor znalazł się – jak wszystkie instytucje kultury w naszym kraju – w sytuacji dramatycznej. Na szczęście na samym końcu roku pojawiło się *światło w tunelu* i otrzymaliśmy dotację, ale dużo, dużo mniejszą niż przez dotychczasowe lata. Na brakujące koszty złożyli się Czytelnicy, do których zdążyliśmy zaapelować w odpowiednim czasie. Dziękujemy za to powtórnie.

Ale najważniejsze jest to, że na rok bieżący już otrzymaliśmy dotację, choć podobnie pomniejszoną. Staramy się więc dalej, bo przecież apelowanie do Czytelników ma swoje granice.

Skończyło się więc w miarę dobrze, ale czy trzeba tłumaczyć, jak bardzo przeżywalimy tę co najmniej roczną sytuację? Do naszego Kwartalnika mamy bowiem stosunek szczególny, niewynikający z obowiązku czy korzyści, lecz – jako wolontariusze – uczuciowy. Pieniądże, które dostajemy z dotacji i darów, służą tylko do pokrycia kosztów składu komputerowego (co wykonuje fachowa firma) oraz druku i papieru (w drukarni). Zresztą Czytelnicy dobrze o tym wiedzą. Tu trzeba dodać, że oszczędzamy gdzie się tylko da. Nie stosujemy kolorowych ilustracji, strony są zadrukowane w stu procentach (czasem wchodzimy nawet na marginesy, a przecież nasze pismo prezentuje układ tradycyjny). Nawet nasze okładki mają wyłącznie charakter merytoryczno-edukacyjny (nie licząc spisu treści i informacji redakcyjnych). Nie ma stron pustych ani „ozdobników”.

Czy to jest doceniane? Przez jednych pewnie tak, przez innych nie. Ale jeszcze się taki nie urodził...

Nasz zespół redakcyjny liczy dziewięć osób (co widać w *stopce redakcyjnej*) i każda z nich – prócz spraw zasadniczych, wynikających z charakteru i ducha Kwartalnika – ma swoje „poletko do uprawy”, wedle własnych zainteresowań i znajomości rzeczy. Są więc, poza lwowskimi, *poletka* regionalne: stanisławowskie, tarnopolskie, wołyńskie, a w nich najszerszej pojęta tysiącletnia historia i kultura Lwowa i całego regionu, sylwetki ciekawych ludzi (niestety zakończył się słownik geograficzno-historyczny). Dalej wielowiekowa tematyka wojenno-obronna, pamięci o triumfach i cierpieniach. Ważny jest dział rozmów (wywiadów), a w nim zakres tematyki przeogromny. Podobnie wspomnienia najróżniejszych ludzi o rodzinach, miejscach, zdarzeniach. W skali redakcji ważny jest dział kontaktów z Autorami i doboru tekstów, redagowanie numerów, kontakty z Czytelnikami. Istotna jest bieżąca informacja kulturalna, a na koniec problemy rozliczeń i dystrybucji.

To wszystko wykonuje na zasadzie wolontariatu owe dziewięć osób różnych zawodów i wieku (6 emerytów). Ich praca przynosi, jak sądzymy, dobre rezultaty. Świadczą o tym liczne listy z aprobatą i sympatią. Pomaga nam to wrócić do równowagi psychicznej.

\* \* \*

Na I s. okładki:

BITWA POD CHOCIMIEM, obraz z kolegiaty św. Wawrzyńca w Żółkwi, obecnie na zamku w Olesku. Mal. Andrzej Stech (1635–1697)



Grób Chrystusa. Obraz T. Popiela z kościoła oo. Bernardynów we Lwowie (obecnie w Krakowie)

Krzysztof Bulzacki

## NALEŻY MU SIĘ PAMIĘĆ MŁODYCH POLAKÓW

Tego dnia w lutym 1957 roku nasz dom był pełen radości. Marian Hemar dostał mój list z wierszykami, wysłany drogą okrężną przez „żelazną kurtynę”, i mówił do mnie, *inżyniera z Jeleniej Góry* (wtedy właśnie przenieśliśmy się z Gdańska pod Kraków), przez Radio Wolna Europa z Londynu.

Był to czas, w którym cała Polska słuchała co tydzień Hemara. Jego kabaret był strawą dla ducha tamtych pokoleń wszystkich Polaków, a dzisiaj – gdy mija czterdziesta\* rocznica Jego śmierci – nowe pokolenie Polaków nie zna już Jego nazwiska.

Przez wiele lat w Polsce Ludowej nazwisko to objęte było cenzurą. Gdy umarł, w „Tygodniku Powszechnym” z 19 marca 1972 ukazała się notatka w rubryce *Zmarli: 11 lutego w Londynie, Marian Hemar, lat 70, poeta, satyryk, komediopisarz (pseud. Jan Mariański, Marian Wallenrod i inne), były kierownik literacki warszawskich kabaretów artystycznych, współpracownik „Wiadomości Literackich” i „Wiadomości”*. To wszystko, a co pozwoiliła władza ludowa i stalinowska partia. Niby to mało, a jednak po tylu latach, gdy nawet nie można było wydrukować jego nazwiska, to i tak zbyt dużo. Hemar był postrachem władzy ludowej, która drżała przed ostrzem Jego pióra.

Dopiero w 1988 roku, podczas wyboru Miss Polonia, Wojciech Mann powiedział publicznie: *Dziś w kraju wolno nam już pamiętać o Hemarze*. Jednak nowi ministrowie szkolnictwa, nowa władza tzw. Trzeciej Rzeczypospolitej wykreśliła to nazwisko z podręczników szkolnych.

Trzeba tu przypomnieć, że w ostatnich latach życia poety zaczęło się dziać coś niedobrego w polskiej emigracji. Radio Wolna Europa przestało nadawać kabaret Hemara. Już to radio nie było takie wolne. Dyrektorem sekcji polskiej był Jan Nowak Jeziorański. Głos Hemara ucichł w eterze na wiele lat przed Jego śmiercią, ale on nie zapomniał o swoich wielbicielach. Zaczął drukować

swoje tomiki, może nieliczne, ale za to docierające na wszystkie kontynenty, do Polaków rozsianych we wszystkich zakątkach świata. Udało mi się przewieźć przez granicę kilka tych tomików. [...]

W 1991 roku w Programie Polskim Radia SBS-2EA w Sydney wygłosiłem 15 odcinków o Lwowie i jego mieszkańcach. Jeden z tych odcinków poświęciłem Marianowi Hemarowi.

Hemar to Jego pseudonim literacki, nazywał się Marian Heszeles. Urodził się we Lwowie 6 kwietnia 1901 roku. Sam napisał, że miłość do Polski wysłał z mlekiem swej żydowskiej matki. Ale tak naprawdę to wysłał miłość do polskiego Lwowa. Lwów był w każdym Jego dniu, nawet wtedy, gdy mieszkał w Warszawie. Był bez pamięci zakochany we Lwowie, wierny mu przez wszystkie swoje dni, aż do śmierci.

Gdy 1 listopada 1918 roku wybuchły walki z Ukraińcami, mieszkanie Jego rodziców znajdowało się w części miasta zajętej przez wojska ukraińskie Strzelców Siczowych z Bukowiny, ale gdy Ukraińcy zostali wyparci za Zbrucz, Hemar – młody ochotnik – żołnierz polski, brał udział w wyprawie kijowskiej w 1920 roku.

Natura obdarzyła Go wielkim talentem aktorskim i literackim. Był płodny jak Kraszewski, ale nie lubił tego porównania. Swoje pisarstwo wypracowywał niemal jak Żeromski.

Gdy został kierownikiem literackim teatru „Qui Pro Quo” w Warszawie, miał niewiele ponad 20 lat, wszedł natychmiast w środowisko literackie i teatralne, znał wszystkich, na wszystko miał czas; nie tylko pisał, nie



Marian Hemar ze swą angielską żoną Kają. Ilustracja z książki Władzy Majewskiej

tylko aranżował, ale również bardzo dużo czytał. Kiedy On to robił, skoro miał czas na picie wódki z Wieniawą i Jaraczem? Umiał zarabiać, za trzy słowa „Radion sam pierze” dostał sto złotych; to był pieniądź. Miał szczęście do pieniędzy, żył dostatnio, los nagradzał Mu wierność ideałom, cieszył się wielką popularnością i powszechnym uwielbieniem. Wysoko cenił pieniądze, zawsze o nie zabiegał. Jako jeden z pierwszych poetów we Lwowie i w całej Polsce posiadał własny nowy samochód, którym, jak mówiono – jeździł po wariacku, jednak nikt nie był w stanie Go przekupić. Wśród złośliwych przytyków mówiono o nim, że jest handlowego wyznania. Lwowa nie sprzedałby za nic w świecie, pozostał zawsze wierny swemu miastu. On, Żyd, uczył nas, cośmy winni swemu miastu i jak Polak powinien kochać swoją Ojczyznę. On uczył nas patriotyzmu. W drugiej wojnie światowej walczył z karabinem w ręku pod Tobrukiem. Tu dopadł Go gen. Władysław Sikorski i rozkazał Mu nadal walczyć, ale w Londynie, piórem dla dobra Polski.

Gdy po wojnie Tuwim namawiał Go do powrotu do Warszawy, zapytał Tuwima, czy Bierut zapewni Mu wolność słowa i druku, a że Bierut tego zapewnić nie mógł, a może nie chciał, zrezygnował z komunistycznej willi i samochodu, pozostał w Anglii, jeździł starym samochodem kupionym z drugiej ręki, prowadził swój kabaret, pisał, drukował, podczas gdy Tuwim przestał pisać, a Broniewski napisał kantatę o Stalinie. Wielu wtedy kłaniało się komunie, łącznie z wielką Marią Dąbrowską i Jarosławem Iwaszkiewiczem, pomijając niegodnych miana Polaków Putramenta i Kruczkowskiego oraz innych dyspozycyjnych „pisarzy”.

Hemara nikt nie kupił, był nie do kupienia, psuł krew komunie, demaskował fałszywość i draństwo Anglików oraz oportunizm rodaków na emigracji, służył prawdzie i sprawiedliwości. *Był drażliwy ponad miarę, okazywanym zniecierpliwieniem łatwo zrażał sobie ludzi, doprowadzał do ostrych rozstań z przyjaciółmi, był bezkompromisowy, demonstrował brak uprzejmości o pozorach arogancji, pełnej nerwowego podniecenia, a przy tym umiał spieszyć z pomocą materialną i osobistą kolegom, gdy byli w potrzebie czy podczas choroby, choćby od lat nie zamienił z nimi słowa – pisał Juliusz Sakowski na wieść o śmierci Hemara. – Przybywał z pomocą*

**Marian Hemar**

## *Hemar o sobie*

Poznajcie mnie z tej strony,  
Że ja w kwietniu urodzony  
W pewnym, ślicznym i beztroskim,  
Bardzo dawnym kwietniu lwowskim,  
Który we mnie wciąż przeplata  
Trochę zimy, trochę lata,  
Trochę słoty, trochę śmiechu,  
Trochę cnoty, trochę grzechu,  
Trochę pluchy, trochę słońca...  
To dlatego już do końca  
Ja sam nie wiem, czy ja liryk,  
Czy piosenkarz, czy satyryk,  
Czy poeta, czy kupleciarz...  
Tyle wiem, żem kabareciarz!

*Z albumu Za dawno, za dobrze się znamy...  
Piosenki Hemara w wyborze. Londyn 1997*

**Krystyna Dzieciołowa**

## *Laurka dla pana Hemara*

Nie wiedziałam zupełnie  
(Nie ma w tym mojej winy),  
Że Pan właśnie obchodził  
Któręś tam urodziny.

Niech się Pan nie postarza,  
Niech się Pan nie przyznaje,  
Ile to lat stuknęło,  
To nie ważne. Bo daję

Moje słowo, że dla nas  
Właściwie Pan bez wieku.  
(Symbolem tej młodości  
Najpiękniejszej w człowieku).

Bo dla nas obojętne,  
Czy stary Pan, czy młody,  
Wysoki jest, czy niski,  
Czy z brodą, czy bez brody.

Czy głowa Pana siwa,  
Czy blond, czy może ruda.  
Bo kiedy mówię: Hemar –  
To widzę wielkoluda.

*i prosił o wybaczenie, tak odwiedził Zygmunta Nowakowskiego i Józefa Łobodowskiego, taki to był niezwykle człowiek! Nie chował urazy, umiał przebaczać i sam prosił o wybaczenie.*

Pisał ciągle niezmordowanie. Co tydzień kabaret jednoosobowy „Teatr Hemara”, w którym występowały najslawniejsze gwiazdy, żeby tylko wspomnieć Mirę Zimińską, Kazimierza Wajdę – legendarnego Szczepka, Władę Majewską, Karin Tiche, Krystynę Zbierchowską – wnuczkę poety.

Twórczość poety była wielostronna, różnorodna. Był znakomitym poetą, humanistą i erudytą. Pisał wiersze liryczne, satyry, fraszki, parodie i parafrazy i piosenki (mówią, że nawet pięć tysięcy piosenek pod różnymi pseudonimami), pisał przekłady poetyckie, sztuki teatralne od dramatu do komedii muzycznych, jednoaktówki poświęcone Fredrze, Kochanowskiemu, Chopinowi. Prozą pisał reportaże, felietony, eseje, krytykę literacką, a nawet traktat polityczny o Hitlerze (przełożony na język angielski). Był to fenomen w skali światowej. Człowiek tak niezwykle, że trudno w to uwierzyć, iż autorem tak różnej twórczości był On sam.

Dzisiaj należy Mu się pamiętać młodych pokoleń Polaków.

\* Marian Hemar zmarł 11 lutego 1972 roku w Dor-  
king pod Londynem, gdzie został pochowany.

To widzę, jak bajecznie  
Polskie się słowo mieni –  
Jak skrzy się i jaśnieje,  
Musuje, szumi, pieni...

Zawsze czytając Pana  
Wrażenie takim miała,  
Że się przed Panem kolia  
Perłowa rozsypała;

Pan nie przechował skarbu,  
Jakby to zrobił sknera –  
Każdemu oddał gestem  
Hojnego milionera.

Ja tylko małe  
Życzenie złożę w darze:  
Może tak kiedyś w Adrii  
Spotkamy się przy barze,

Może Pan będzie właśnie  
Obchodził imieniny  
W ten jasny dzień powrotu  
Do ojczystej krainy...

Bo wrócimy, ja wierzę,  
O tym jednym wciąż marzę.  
Tylko trochę poczekać,  
Drogi Panie Hemarze!

1966, USA

## ***Z okazji Wielkiej Nocy Zmartwychwstania Pańskiego***

***składamy naszym Sponsorom i Ofiarodawcom,  
Autorom i Czytelnikom  
najserdeczniejsze życzenia wszelkich łask Bożych,  
a nade wszystko zdrowia, sił i nadziei.***

***Szczególnie gorące życzenia ślemy do naszych  
Rodaków w Małopolsce Wschodniej, na Wołyniu  
i Polesiu, na Grodzieńszczyźnie i Wileńszczyźnie,  
a także na dalekiej Ukrainie i Białorusi oraz  
w Krajach Bałtyckich i innych krajach świata.***

***Zawsze myślimy serdecznie  
o zesłańcach na Syberię i do Kazachstanu oraz ich  
potomstwie – oczekując ich powrotu do Ojczyzny.***

*W roku 2009 Małopolskie Kuratorium Oświaty ogłosiło ogólnopolski konkurs pt. „Losy Bliskich i Losy Dalekich – życie Polaków w latach 1914–1989”. Poniżej drukujemy obszernie fragmenty nagrodzonej pracy laureatki konkursu, uczeniicy trzeciej klasy gimnazjum.*

**Katarzyna Siekańska**

# Historie prawdziwe

**Tematem mojej pracy ma być historia. Zatem chciałabym pokazać, jak wielkie wydarzenia historyczno-polityczne dwudziestego wieku wpływały na losy konkretnych osób. Przedstawię dzieje kilku pokoleń mojej rodziny, głównie Danuty z Trylskich i Zbigniewa Siekańskich – rodziców mojego ojca. Swoje opowiadanie opierać będę na relacjach ustnych, zachowanych dokumentach, listach, pamiątkach oraz informacjach z prasy i literatury.**

18 marca 1946 roku w południe na dworcu PKP w Krakowie z pociągu Poznań–Kraków wysiadła drobna, zabiedzona, dziesięcioletnia dziewczynka Danusia Trylska. Przyjechała po sześcioletnim pobycie w Północnym Kazachstanie. Od tego momentu zaczęło się jej „normalne” życie. Ale opowiem od początku...

Do września 1939 r. sześciuosobowa rodzina Trylskich mieszkała przy Szkole Rolniczej należącej do Liceum Krzemienieckiego w Białokrynicy koło Krzemieńca. Rodzice Danusi byli nauczycielami. Ojciec Zbigniew, inżynier rolnik-hodowca i równocześnie wybitny instruktor harcerski, uczył przedmiotów zawodowych i prowadził folkwark szkolny. W latach 1937–1939 kierował Główną Kwaterą Harcerzy ZHP w Warszawie. Matka Jadwiga, polonistka, początkowo uczyła, a później musiała zajmować się domem i dziećmi. Dzieci było czworo: Jerzy, Stefan, Zdzisław i Danuta. Szczęśliwe dzieciństwo w Krzemieńcu na Wołyniu przerwa-

ne zostało przez wybuch II wojny światowej i podział Polski na dwie okupacje: sowiecką i niemiecką. Wołyń znalazł się pod władzą Związku Sowieckiego.

13 kwietnia 1940 r. to kolejna data, która odmieniła ich życie. W środku nocy rodzina usłyszała gwałtowne dobijanie się do drzwi. Funkcjonariusze NKWD wtargnęli do mieszkania. Pokazali nakaz deportacji i dali dwie godziny na spakowanie rzeczy. Przerażeni domownicy pakowali wszystko, co było pod ręką: pościel, odzież, żywność... Enkawudziści sprowadzili nauczyciela z sąsiedztwa, który miał pełnić funkcję świadka i pełnomocnika podczas aresztowania. Sporządzona została lista przedmiotów codziennego użytku, które zostawały w Krzemieńcu i miały zostać częściowo spieniężone. Protokół z tych procedur zachował się do dziś. Następnie rodzina została odwieziona na stację kolejową w Krzemieńcu, gdzie stały już wagony towarowe czekające na inteligentną ludność polską wywożoną do azjatyckiej części Związku Sowieckiego. Mimoswolnym świadkiem całego zajścia stała się sąsiadka pani Nowakowska, która następnie zawiadomiła listownie rodzinę zsyłanych, opisując wszystko dokładnie. W rodzinie Trylskich deportacją objętych zostało sześć osób: Jadwiga, czworo dzieci i matka ojca, Rozyna (o Zbigniewie – patrz niżej). Była to druga wielka wywózka ludności polskiej z Kresów na Sybir.

10 lutego 1940 roku miała miejsce pierwsza wywózka. Ludzi transportowano w fatalnych warunkach, bez ogrzewania ani zapasów żywności, przy temperaturze bliskiej –40 stopni. Mróz i niedożywienie powodowały osłabienie, choroby, a często śmierć dzieci i starszych osób. Ze wspomnień aresztowanych, które zebrane zostały w książce Jana i Ireny Grossów, wynika, że Polaków szykanowano, kpiono z nich i znęcano się nad nimi w sposób nieludzki. Jeden z zesłanych opowiada, że wciąż był popychany i zmuszany do katorżniczej pracy, a jego siostra zmarła z głodu. Z materiałów zaprezentowanych na wystawie „Sybiracy” pod patronatem PAU dowiadujemy się, że łącznie na zesłanie w latach 1939–1941 (cztery wywózki) skazanych zostało ok. 1,5 miliona Polaków, a wielu z nich nie przeżyło pobytu na Syberii. Jednak faktyczna liczba ofiar pozostaje nieznana. Istnieją bowiem

różnice między danymi, którymi dysponuje rząd rosyjski a tymi, które znają Polacy.

\* \* \*

Ojciec, Zbigniew Trylski, zmobilizowany w 1939 r., znajdował się już od pół roku na Węgrzech. Tam, na polecenie władz polskich, zajmował się młodzieżą przebywającą w tym kraju, organizując dla niej metodami harcerskimi szkołę polską. Mieszkając przez kilka lat w Budapeszcie, współpracował z tamtejszą komórką AK.

\* \* \*

Po dwóch tygodniach jazdy na wschód w nieznaną pociąg zatrzymał się w stepie kazachstańskim na stacji Tajańcza. Podwodami i samochodami rozwieziono ludność deportowaną do kolchozów (gospodarstw o charakterze spółdzielczym) rozrzuconych w promieniu od kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów od stacji kolejowej. Pozostawiono ich własnemu losowi, bez prawa przemieszczania się. Rodzina Trylskich znalazła się w Liniejewce (ok. 16 km od stacji), w kołchozie z ludnością niemiecką przesiedloną w latach trzydziestych z nad Wołgi. Tu mieszkali dwa lata. Do czerwca 1941 r. (wybuch wojny niemiecko-sowieckiej) możliwa była korespondencja zesłańców z Krakowem i Krzemieńcem. Dzięki temu otrzymali kilka paczek, listów i kartek (tzw. korespondentek). Musieli utrzymywać się z chałupniczej pracy mamy i babci oraz sprzedaży resztek dobytku.

Do pracy na rzecz kolchozu zmuszeni byli wszyscy powyżej czternastego roku życia, w tym najstarszy brat Danusi – piętnastoletni wówczas Jerzy. Praca w kołchozie była niewolnicza, praktycznie bez wynagrodzenia.

Sytuacja zesłańców zmieniła się z chwilą podpisania w 1941 roku porozumienia między generałem Sikorskim a Stalinem i tworzenia armii przez generała Andersa. Wówczas chłopcy (szesnastoletni Jerzy, a potem dwunastoletni Stefan) wywędrowali do organizacji junackich (złożonych z niepełnoletnich kandydatów na żołnierzy) przy Armii Polskiej. Pierwsza informacja od braci o tym, gdzie się znajdują, dotarła w 1944 roku z Heliopolis w Egipcie. Rodzina, zmniejszona do czterech osób, licząc na wyjazd z Armią Andersa na południe, przemieściła się w pobliże stacji Tajańcza. Niestety, w związku ze zmianą na scenie

politycznej w roku 1943 (po odkryciu grobów w Katyniu nastąpiło zerwanie stosunków rządu sowieckiego z rządem polskim), nadzieja na wyjazd nie została spełniona. Polskim zesłańcom, wbrew ich woli, nadano obywatelstwo sowieckie. Trylskich czekały kolejne cztery bardzo ciężkie lata na obcej ziemi. Aby przetrwać, trzeba było chwycić się wszelkich możliwych prac zarobkowych.

Mama Danusi przez półtora roku pracowała w ogrodach należących do stołówki kolejowej. Do jej zadań należało na przykład: w lecie pilnowanie nocą ogrodów, a w zimie przebieganie ziemniaków i kapusty w piwnicy. Gdy po pracy udało jej się przynieść w kieszeniach coś do jedzenia, rodzina miała skromny posiłek.

*Ponieważ mieszkaliśmy przy linii kolejowej Karaganda–Pietropawłowsk, przez stację Tajańcza przejeżdżały transporty z węglem. Zdzich razem z kolegami wskakiwali na wagony, aby zrzucić trochę węgla. Przyносили go do domu na opał lub wymieniali na żywność. Ludzie podkradali to, co było państwowe, ale nigdy nie zabierali cudzej własności. Oszczędzaliśmy resztki tego, co było prywatne. Nawet dzieci radziły sobie, jak mogły. Na przykład ja, razem z innymi, zbierałam kłosa zboża, które pozostały na polu po żniwach. Wieczorem w domu łuskałam je, a ziarna miało się w żarnach.*

Złe warunki życia, niskie temperatury, brak żywności jak i wycieńczenie organizmów były przyczyną wielu chorób u zesłańców. Matka Danusi zachorowała na tyfus plamisty. Znalazła się w miejscowym szpitalu. Mimo ciężkiego przebiegu choroby wyzdrowiała. Niedługo potem Danusia dostała zapalenia płuc po odrze. Uratowała ją lekarka (Żydówka z Leningradu), która przyjęła dziewczynkę do szpitala kolejowego, wbrew przepisom (Jadwiga Trylska nie była już pracownicą kolei). Leczenie dziewczynki udało się dzięki temu, że lekarka dysponowała już sulfatiazolem. Ten ciężki rok 1945 miał być już ostatnim spędzonym na zesłaniu. Wojna się kończyła...

Za aprobatą Stalina w ZSRR działał Związek Patriotów Polskich. Przygotowywana była repatriacja. W lutym 1946 r. zesłańcy otrzymali karty repatriacyjne i, już jako obywatele polscy, wyruszyli ze stacji Tajańcza na zachód – do Kraju. Podróż do granicy na Bugu trwała trzy tygodnie. Dra-



matycznym wydarzeniem w tym czasie było pozostanie na trasie brata Danusi Zdzicha. Podczas jazdy nigdy nie sposób było przewidzieć, kiedy i gdzie zatrzyma się pociąg oraz kiedy znów ruszy. Podczas jednego z postojów Zdzich oddalił się od wagonu, a transport niespodziewanie odjechał. Niebezpieczeństwo było podwójne. Polegało na tym, że niespełna trzynastoletni chłopiec nie tylko został sam w nieznanym kraju, ale również mógł zostać złapany przez milicję radziecką jako tzw. *bezprizornyj*, czyli „bez dozoru”. Wtedy znalazłby się w sowieckim domu dziecka. Wszyscy bali się o to, czy zdoła dogonić pociąg przed granicą. Szczęśliwie udało mu się to po dwóch dniach.

*Pamiętam, jak 12 marca 1946 roku przejeżdżaliśmy przez granicę na Bugu. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach...* Od granicy trasa wiodła przez: Warszawę, Poznań do Krakowa. Kolejna „przygoda” miała miejsce w Warszawie, gdy transport odjechał, zostawiając na stacji *Warszawa Zachodnia* Jadwigę, Danusię i towarzyszące im inne panie, które podczas postoju udały się z wiadrami po zupę dla całego wagonu. Dogoniły transport w Kutnie, podwiezione przez pociąg z sowieckimi żołnierzami.

Kobiety, zwłaszcza matki, były największymi bohaterkami pobytu na Sybirze. To one utrzymywały całe rodziny, zmagaly się z chorobami swoimi i dzieci, a przy tym cierpiały, nie wiedząc nic o losie swych mężów.

## II

Po kilku dniach rodzina nareszcie dojechała do Krakowa. To miasto zostało wybrane na miejsce osiedlenia przez Jadwigę Trylską, ponieważ tu miała rodzinę i mogła liczyć na pomoc ze strony krewnych. Dzień, w którym znaleźli się znów w domu, opisała jedna z kuzynek, Alinka, w liście do swojego narzeczonego: ... *Dziś przyjechała ciocia Jadwinia z dziećmi. Głodni i zmęczeni, ale zdrowi i szczęśliwi z powrotu. (...) Danusia wygląda jak mały, zmęczony ptaszek. Jak na swoje dziesięć lat bardzo mała...*

Zaczęło się „życie cywilizowane”. Trylscy zamieszkali u siostry matki. Należało już myśleć o pracy i nauce. Po kilku tygodniach Zdzich zaczął chodzić do szkoły, jeszcze przez dwa miesiące przed wakacjami. Danusia została poddana kuracji odżywiającej i nareszcie zapuszczała włosy na obiecane warkocze. *W Kazachstanie, jak każda dziew-*

## Naszym zdaniem

### POLSKI NIE ZAUWAŻYŁ?

W styczniu, w „Dzienniku Polskim” przeczytaliśmy rozmowę red. P. Stachnika z Jerzym Bahrem, b. ambasadorem RP w Rosji, na Ukrainie i na Litwie, który powiedział: ... *W historii najnowszej dwa narody w Europie straciły najwięcej tego, co dawniej uważano za najcenniejsze, tzn. terytorium: Niemcy i Węgry.* Przypomnijmy: Węgry utraciły po I wojnie światowej kraje, które podbijali od średniowiecza: Chorwację (na rzecz Jugosławii, potem usamodzielnioną), Słowację (na rzecz nowo powstałej Czechosłowacji, potem samodzielnej), Siedmiogród (na rzecz Rumunii). Niemcy utraciły swoje ziemie wschodnie (z Wrocławiem i Szczecinem) na skutek decyzji jałtańskiej w 1944 r. Stalin-Roosevelt-Churchill – jako rekompensatę dla Polski, której zabrano jej ziemie wschodnie ze Lwowem (i regionem „galicyjskim”), pozostającym oraz rozwijającym się cywilizacyjnie i kulturowo w Królestwie Polskim od XIV w., zaś wcześniej zaludnionym przez prapolskich Lędzian); oraz Wilnem z tzw. Litwą Środkową i Grodzieńszczyzną, całkowicie spolszczoną w ciągu kilkuset lat, poczynając od XV wieku.

Dlaczego Pan polski Ambasador redukuje liczbę poszkodowanych narodów do dwóch? Tym bardziej, że nasze straty nie ograniczyły się do terytorium...

Pan Ambasador mówi: *Dziś dzwony, które biją w polskich kościołach (notabene kiedyś ewangelickich) na ziemiach zachodnich, są fundowane przez byłych mieszkańców tych miejscowości na zasadzie daru dla sąsiada, z którym można się zaprzyjaźnić...* Zapomina jednak, że my też wkładamy (czy usiłujemy wkładać) wiele, by ratować na wschodzie tragicznie zniszczone zabytki, dzieła sztuki, tylko jakoś to *zaprzyjaźnienie* nie idzie naprzód. Choć się staramy, może aż do przesady?

Panie polski Ambasadorze, myśmy wiele stracili, ale też nie podbijaliśmy. To nas podbijano nieustannie, więc pewnie dlatego nie zyskaliśmy Pańskiego uznania.

czynka, chciałam mieć piękne długie warkocze. Jednak na Syberii wciąż musieliśmy strzec się wszy. Najbezpieczniej było mieć włosy króciutko obcięte. Mama obiecała mi, że w domu będę mogła je zapuszczać...

Jadwiga, jako osoba uznana przez władze za „podejrzaną” i „wrogą klasowo”, miała trudności ze znalezieniem pracy (była represjonowana z Syberii i stanowiła potencjalne zagrożenie dla rządzących), ale trudności udało się pokonać dzięki ludziom dobrej woli. Po wakacjach, które wykorzystano na nadrobienie zaległości w nauce, dzieci od września poszły do szkoły, a Jadwiga rozpoczęła pracę w Zasadniczej Szkole Zawodowej. Zdzych i Danusia bardzo szybko dorównali rówieśnikom i należeli do najlepszych uczniów w swoich klasach.

Oprócz zajęć obowiązkowych kontynuowano również rodzinną tradycję, zapisując się do drużyn harcerskich, co równocześnie było spełnieniem marzeń dzieci. Niestety ta działalność została przerwana po paru latach, bo w 1949 r. ZHP zostało wchłonięte przez ZMP (Związek Młodzieży Polskiej – młodzieżowa przybudówka partii PZPR).

Lata szkoły średniej przypadły na czas szalejącego stalinizmu w Polsce. Miało to wpływ na atmosferę w domach, szkołach i miejscach zatrudnienia. Trzeba było uważać na to, co i gdzie się mówi.

Zdzych po bardzo dobre zdanej maturze i z dyplomem przodownika nauki i pracy społecznej dostał się w 1952 r. bez egzaminu na Politechnikę Krakowską. Dwa lata później zaistniała obawa, że Danuta ze względów politycznych (nie należała do ZMP i ojciec był na emigracji w Anglii) nie zostanie przyjęta na studia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dziekan (pochodzący ze Lwowa) oparł się nakazom politycznym i przyjął ją na Wydział Budownictwa Wodnego Politechniki Krakowskiej. Oboje radzili sobie bardzo dobrze. W połowie studiów, ze względów ekonomicznych (cofnięte zostało stypendium), Zdzych rozpoczął pracę zawodową jako asystent w Katedrze Matematyki.

Wkrótce przyszła tzw. „odwilż”. Po śmierci Stalina i po przewrocie październikowym w 1956 r., gdy do władzy w Polsce doszedł Władysław Gomułka, możliwe stały się ograniczone kontakty z rodziną w Anglii. *Na początku wymienialiśmy listy, ale potem stał się możliwy kontakt bezpośredni.*

*Dowiedzieliśmy się, że Jerzy i Stefan po opuszczeniu Związku Sowieckiego z Armią Andersa poprzez Bliski Wschód ze swoimi organizacjami junackimi trafili do Anglii. Gdy wojna się skończyła, Jerzy miał dwadzieścia lat, a Stefan szesnaście. Inną drogą, z Węgier, poprzez Włochy (II Korpus) dotarł tam również ojciec. Po kilku latach stworzyli w Londynie nowy dom. Ojciec pracował jako urzędnik aż do emerytury. Bracia zdobyli w Anglii wykształcenie, założyli polskie rodziny i doczekali się dzieci...*

W Polsce na początku rządów Gomułki w ludziach obudziła się nadzieja, że będzie więcej wolności. Rzeczywiście, wydawało się, że nowy sekretarz zamierza lepiej traktować obywateli, niż robili to jego poprzednicy. Wielu ludzi niesłusznie prześladowanych opuściło więzienia.

Na ten czas przypadło również odrodzenie Związku Harcerstwa Polskiego. Starzy instruktorzy zgłosili się do pracy. Cała rodzina Trylskich zaangażowała się w służbę instruktorską Hufca Kraków-Podgórze. Zdzych reaktywował swoją drużynę *Fioletową Trójkę*, a wkrótce stanął na czele Hufca Kraków-Podgórze. Jadwiga została członkinią Komendy Hufca i pracowała w komisjach. Danucie powierzono żeńską drużynę harcerstwa – 18 Pg DH. Okres odbudowy harcerstwa był również czasem największego nim zainteresowania wśród młodzieży. W samym prawobrzeżnym Krakowie (dzielnica Podgórze) zawiązało się około stu drużyn. Powstawały one niemal przy każdej szkole. Z zapałem organizowane były obozowe akcje letnie. Danuta i Zdzych osobiście zorganizowali po kilka obozów.

### III

Na przełomie lat 50. i 60. XX wieku oboje, najpierw Zdzych, a potem Danusia zaczęli myśleć o założeniu własnych rodzin. Zdzych już w harcerstwie poznał swoją przyszłą żonę Marysię Millan, drużynową podgóorską, a Danusia Zbyszka Siekańskiego spotkała na studiach.

23 XI 1960 r. w parafii w Łagiewnikach odbył się ślub Zdzisława i Marii Trylskich.

17 VI 1961 r. w kościele na Rynku Podgórkim małżeństwo zawarli Danuta i Zbigniew Siekański – moi dziadkowie.

\* \* \*

Zbigniew Siekański urodził się koło Olkusza w rodzinie nauczycielskiej. Zbyszek

wychowywany był przez samotną matkę Janinę najpierw w Bydlinie, potem w Rabce. Tam zdał maturę, a do Krakowa przyjechał na studia.

Jego ojciec Roman był organizatorem i pierwszym kierownikiem szkoły w Bydlinie, która działa do dziś. Prowadził tam bardzo ożywioną działalność pedagogiczną i kulturalną, m.in. stworzył młodzieżowy zespół muzyczny. Na ścianie budynku szkoły w 1989 r. umieszczona została tablica ku pamięci Romana Siekańskiego, który jako porucznik został zmobilizowany w 1939 roku do służby wojskowej. Do rodziny już nie wrócił, ponieważ aresztowany przez Armię Czerwoną na wschodzie Polski znalazł się z innymi oficerami w obozie w Starobielsku. Pisał do żony kartki, które dziś są jednymi z ważniejszych pamiątek rodzinnych. Wiosną 1940 roku zginął w Charkowie jako ofiara zbrodni katyńskiej.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski w 1939 roku aresztowanych lub wziętych do niewoli zostało blisko 22 000 jeńców polskich. Zostali oni przewiezieni do obozów jenieckich w Kozielsku, Ostaszkwie i Starobielsku. Na mocy decyzji Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechniżkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) z 5 marca 1940 roku, strzałem w tył głowy zamordowanych zostało 15 000 jeńców z obozów oraz 7 000 aresztowanych, przebywających wcześniej w więzieniach na terenach wschodniej Polski (od 1939 roku należących do Związku Radzieckiego). Jedną z ofiar tej zbrodni był mój pradziadek. [...]

\* \* \*

Dla mnie, która znam te zdarzenia i osobiście bardzo dobrze, historia Polski w okresie 1939–1989 nabiera zupełnie innego znaczenia. Mam świadomość tego, że decyzje Hitlera, Stalina, Gomułki, ale też genera-

łów: Andersa i Sikorskiego wpłynęły w realny sposób na los rzeczywiście, prawdziwych osób. Historia jako nauka nie istnieje bez ludzi. To oni ją tworzą i nadają jej sens przez własne doświadczenia.



Katarzyna Siekańska

# LWÓW, NASZ PEJZAŻ CENTRALNY

## Z pielgrzymką do Lwowa maj 1979

Tadeusz Krzyżewski

*Tekst, który niżej przedstawiamy, pochodzi sprzed trzydziestu kilku lat, z późniejszego okresu drugiej okupacji sowieckiej (ostatnie lata siedemdziesiąte). Ma więc dziś charakter historyczny i wiele faktów tam opisywanych straciło na aktualności. Dlatego niczego nie aktualizowaliśmy, zachowaliśmy spostrzeżenia Autora z tamtego czasu. Tak więc należy ten tekst odbierać.*

Napisał w jednym ze swych esejów zmarły niedawno w Krakowie prof. UJ Kazimierz Wyka\*, że przyrodzonym dobrodziejstwem dla każdego człowieka jest miejsce jego urodzenia, z którego pochodzi i do którego wraca. Jest to pierwszy kod zapisany w pamięci ludzkiej, pejzaż centralny, który kształtuje horyzonty i możliwości człowieka na całe życie. Idąc przez życie poszerzamy jedynie linię horyzontu, jaki zakreślił dla nas pejzaż centralny.

Odczuwają tę magnetyczną siłę pejzażu centralnego, jakim jest Lwów, nie tylko urodzeni w tym mieście, lecz również wszyscy pochodzący z *Buga*. Gdziekolwiek się znajdą w świecie – tęsknią i snują plany powrotu. Na ostatnią choćby w życiu wędrówkę... I nie jest to bynajmniej romantyczna mrzonka, bo tę siłę pierwotną miejsca urodzenia odczuwają w szczególny sposób przedstawiciele starych plemion i wiążą z nią możliwości życiowego przetrwania. – Np. Indianie w USA często przywożą dzieci na miejsce ich urodzenia i położywszy na ziemi toczą je w cztery strony świata. Dorośli przychodzą, aby „wytarzać się” w miejscu, gdzie stała ich kolebka urodzenia. Wierzą w to, iż cały szczerp mógłby wymrzeć, gdyby go odcięto od życiodajnej gleby rodzinnej.

Wiąże nas również z mahometanami jedna analogia: tak jak oni mamy obowiązek życiowej pielgrzymki do dwóch świętych miast, miast męczenników – Lwowa i Wilna.

HISTORIA

Przez 35 lat powojennych odraczałem termin mojej pielgrzymki. Nie chciałem bowiem nic uronić z urzekającej wizji miasta mej młodości i miłości. Ale wraz z wiekiem nadeszła pora odkrycia przed synem tej prawdy, wynikającej z każdej klęski narodowej, która ryta jest patetycznymi słowami Adama Mickiewicza na kamieniach Cmentarza Łyczakowskiego: ... *Walka o wolność gdy się raz zaczyna, z krwią ojca spada dziedzictwem na syna...*

Odczytać ją trzeba dzisiaj inaczej niż w dniach naszej młodości, przekazać następcom w prostej, życiowej formule: – *Poznaj i pokochaj to Miasto, walcz o nie wytrwale słowem oraz uczynkiem, bo to dobro zarówno Twoje, jak i ogólnonarodowe.*

Jak jednak wprowadzić młodych do rodzinnego miasta i jak ze względu na konieczność ograniczenia czasu pobytu zaaplikować im Lwów w dawkach homeopatycznych tak, aby pomimo okupacji obcej odczuli jego piękno, wielkość dziejową i tę atmosferę serdecznej wspólnoty, która narodziła się we Lwowie i łączy lwowiaków całego świata?...

Nielatwo doprowadzić do skutku wyprawę do Lwowa, nawet z Kraju. Pomijając koszty podróży i dewiz, jest to możliwe tylko na zaproszenie krewnych, a gdy tych nie ma we Lwowie – z wycieczką „Orbisu” lub innego biura turystycznego w ramach wycieczek organizowanych jako wyjątkowa atrakcja turystyczna. Są więc ściśle okazyjne, kosztowne i obsadzone na zasadzie osobistych znajomości w biurach podróży, przy czym obejmują tylko 2–3-dniowy pobyt we Lwowie. To ostatnie tłumaczy się trudnościami kwaterekowymi w mieście, które sowiecki „Intourist” uważa za perłę w koronie radzieckich miast, przeznaczonych dla turystów zagranicznych i jako takich nieco lepiej zaopatrzonych niż pozostałe skupiska miejskie w ZSRR.

Dla turystów indywidualnych wskazana jest raczej podróż koleją. Daje

przynajmniej gwarancję szybkiej odprawy celnej, rewizja zaś bagaży podróżnych odbywa się po stronie sowieckiej już w czasie ruchu pociągu. Przy indywidualnej wyprawie samochodem lub autobusem odprawa przeciąga się często ponad 6 godzin, stając się źródłem zdenerwowania i udręki podróżnych, mniej odpornych na tępe szykany sowieckiej służby celnej.

**O**bciażony mnóstwem wątpliwości, ze ściśniętym sercem jechałem autokarem do Lwowa w towarzystwie dorosłego syna, znajdującego w dodatku niezgorzej kraje zachodnie, w tym także Londyn, gdzie przebywał ponad rok. – Czy Lwów wytrzyma próbę czasu, czy sprawdzi się w oczach tych młodych, którzy widzą miasto nasze pierwszy raz, a fanatyczną miłość rodziców dla rodzinnego grodu uważają za nieszkodliwe hobby i po cichu mówią sobie, że Lwów nigdy już do tej polskiej Macierzy nie wróci?...

Biorąc pod uwagę tylko 2-dniowy pobyt, postanowiłem pokazać synowi możliwie dokładnie trzy najbardziej atrakcyjne oblicza Lwowa:

- śródmieście i stare miasto z jego kościołami, polskimi zabytkami i zapleczem handlowym,
- najpiękniejszy w maju – zielony Lwów, poczynając od Uniwersytetu, ogrodu Jezuitskiego, park Stryjski i pl. Powystawowy, aż po Żelazną Wodę z jej dzielnicą willową i trzema kąpieliskami,
- Łyczakowskie wzgórze – od parku Głowackiego, Cmentarz Łyczakowski, Obrońców Lwowa, ul. Piekarską – dzielnica zabudowań Akademii Medycznej.

**P**o odprawie celnej w Medyce nasz „wehiкул czasu” przesunął się w przeszłość. Cofnęliśmy się do pejzażu wytyczonego przed 40 laty. Kolejne stacje krzyżowe naszej pamięci – to Lacka Wola, Mościska, Sądowa Wisznia, Gródek Jagielloński, Bartatów, Pustomyty... Nazwy jakże bliskie każdemu lwowskiemu sercu! – Względnie czysto, nieliczne nowe domy pośród starych chat; zupełny brak nowoczesnego budownictwa typu zachodniego (płaskie dachy). Jedyne znamię postępu to anteny telewizyjne na dachach i brak chat krytych słomą, natomiast omszałe dachy z gontu trafiają się dość często!



Skromne ogródki, zabite na amen deskami kościoły i cerkwie. Liczne, natrętnie znane hasła propagandowe oraz portrety Lenina, a także pomniki wdzięczności Czerwonej Armii po obu stronach szosy.

Koło Skniłowa wzdłuż drogi potężne zwalły ziemi, wykopy i maszyny, jakieś wielkie roboty drogowe (obwodnica, a może metro?); objazd przez Lewandówkę, gdzie z dala wita nas znajomy sprzed wojny stareńki Dom Ludowy TSL, obecnie „Budynok Kultury”.

Wjeżdżamy do śródmieścia ul. Janowską, Kazimierzowską, Legionów z przystankiem koło hotelu George’a. Otrzymujemy przydział do nowego hotelu „Uljanowski”, z wyżywieniem u George’a. „Uljanowski” wybudowany został na posesji klasztornej ss. Sakramentek, naprzeciw opuszczonego kościoła. Powstała tam ulica nowoczesnie zabudowana, łącząca ul. Zieloną z Piekarską. We Lwowie zbudowano po wojnie jeszcze dwa inne hotele klasy turystycznej: „Lwiv” i „Turist”.

Jest upalne niedzielne popołudnie, gdy wyruszamy wspólnie do śródmieścia. Wspólnie i symbolicznie z kim?... Z W. Budzyńskim, M. Hemarem, ze Szczepkiem i Tońkiem, z J. Wittlinem i z tym serdecznym багаżem wspomnień, wierszy znanych jak pacierz, porównań, żalów i skarg, nagromadzonych w sercu i na końcu języka... Młodych te żale nie obchodzą, patrzą na wspaniale rozroste kasztany, chłoną ich zapach, przypatrują się murom i ludziom, wsłuchują w obcy żargon, klną szpetne bruki przy ul. Piłsudskiego i Batorego, dziwią się wystającym z bruku szynom tramwajowym, które wręcz zagrażają bezpiecznej komunikacji kołowej. Lwów ma obecnie 6 linii tramwajowych, na Stryjską kursują trolejbusy, a peryferie miasta obsługują przeładowane autobusy.

Śródmieście, wybrukowane przed 40 laty naszą znakomitą kostką bazaltową, wykazuje zadziwiającą trwałość, ale nieremontowane przez tyle lat, sprawia wrażenie prowincjonalnego zaniedbania. Niszczej nie tylko nawierzchnia uliczna Lwowa, sypią się stare mury, murszeje tradycja wieków skryta w murach kościołów zabitych deskami, zamienionych na składy i magazyny.

Ulica Akademicka jakby nam zmaląła; piękne, dorodne topole, dziś wystrzyżone jak pudel w gorące lato – odbierają prome-

nadzie charakter wielkomięjski. Gdzieś tu słycać szepty i zwierzenia, ktoś ukradkiem przemknął przez myśl jak przez ulicę, brzęknęła szabla o bruk... Nie ma Fredry i nie ma Ujejskiego – dlatego tak ludno i tak pusto.

Wraz z W. Budzyńskim dochodzimy do pomnika Mickiewicza:

...*Idę przez miasto, postać Wieszcza witam  
Mickiewicz głowę jeszcze wyżej wznosi,  
Może o wyrok Najwyższego pyta,  
Może o Polski wybawienie prosi?...*

Gdy mijamy pomnik, gdy patrzę na smukłą kolumnę i geniusza podającego Wieszczeni lirę, przypomina mi się drugi pielgrzym, kroczący ofiarnie przez świat z pastorałem papieskim. Czy nadejdzie chwila błogosławiona, gdy będziemy pytać, który z nich większy?... Mickiewicz na pewno przetrwa i doczeka, był bowiem pierwszym redaktorem „Trybuny Ludów”, a „Trybuna Ludu” dziś jest pierwszą w kraju, nadworną gazetą PZPR. Jestem – jak wszyscy lwowiaci – dziedzicznie obciążony frywolnymi myślami, bo oto przypomina mi się w tej chwili wyborczy dowcip *a’propos* śp. prof. S. Skowrona, znakomitego biologa, któremu się niegdyś żaliłem, że w PRL nawet pośmiać się nie ma z czego, gdyż nasz 35-milionowy kraj posiada zaledwie 2 czasopisma humorystyczne...

– *Dlaczego dwa, przecież mamy ich trzy?! – replikuje profesor.*

– *No, warszawskie „Szpilki” i łódzka „Karusela”...*

– *A o „Trybunie Ludu” pan zapomniał?!...*

Niczego nie zapomniałem. Ani Matki Boskiej, królującej w aureoli światła na pl. Mariackim, ani Sobieskiego na dziarskim bachmacie, ani Jana z Dukli, błogosławiącego miastu. Ślad po nich we Lwowie zagaśniał, jak po moim biurze przy ul. Kilińskiego i po kawiarni Wiedeńskiej.

Rynek niedzielny, cichy i opuszczony. Szczerbate lwiska tandetnie pobielone, studnie na narożach rynkowych osowiałe i bez wdzięku, jakiego im zawsze dodawały tryskające z lwich pyszczków bicze wodne, roje szczebioczących wróbla i przekupki rynkowe, moczące pietruszkę w krystalicznej wodzie. Napić się tej wody – dobrostańskiej, najlepszej w świecie – oto marzenie! Ale i dobrostańskiej już nie ma. Lwowskie wodociągi dostarczają obecnie wody pitnej, pochodzącej z ujęcia wodnego pod Brzuchowicami.



W milczeniu przechodzimy przed wyprężonymi na baczność kamienicami rynkowymi. Pełnią karnie swą historyczną wartość – i Czarna, i Królewska, i Bandinellich... Zmierzamy do kościoła Dominikanów, do osławionego już Muzeum Ateizmu i Historii Religii. Ostentacyjnie klękamy wraz z synem na stopniach

dawnego ołtarza głównego, by pomodlić się krótko i gorąco... Nie o przebaczenie, lecz o sprawiedliwość. Barbarzyńcy bowiem dobrze wiedzą, co czynią. Z każdego kąta pięknie odnowionych krużganków konwentu oo. Dominikanów szczerzą zęby nienawiść i obłuda. Małpoludami i neandertalczykami zaludniono miejsca naszych modlitw i humanistycznych kontemplacji; z historii mozołnych poszukiwań ducha i zbawienia wiecznego wybrano mord, koszmary inkwizycji, rasputinowskie wynaturzenia i przejawy harców złośliwego, wielkoruskiego biesa, którego pomiot dziejowy ucieleśnił się ostatecznie w postaci wychowawka ich seminariów duchowych – Stalina i jego *niebotycznego* pod względem ilości ofiar, inkwizycyjnego reżymu.

**S**iostry i Bracia – wszyscy Semperfidelisi – kto w Boga wierzy!...

Wołamy do Was słowami naszego Papieża: – Nie lękajcie się, włos Wam z głowy nie spadnie jako „inostracom”... Obowiązkiem Waszym jest odbyć tę życiową pielgrzymkę bez względu na trudności! To Wy winniście klęknąć w świetlistym kręgu posadzki Dominikańskiego kościoła i głośno, manifestacyjnie błagać Stwórcę o pomstę nad ciemnym, syberyjskim biesem! Nad barbarzyńcą, który udając *naukowość* przybiera szatę arbitra, znającego tajemnice doczesności i wieczności. Karła umysłowego, którego poczynaniom daje inspirację krętek błady, zrodzony z sojuszu Nienawiści i Ciemnoty!

Waszym obowiązkiem jest protestować bez przerwy, krzyczeć głośno przed światem, alarmować polskiego Papieża, że ciągle, od dawna i bez przerwy gwałci się we Lwowie

wolność, moralność i ludzkie obyczaje... Że niezgodnie z deklaracją helsińską i nową konstytucją sowiecką szerzy się fałsz i nienawiść na tle religijnym. Art. 52 konstytucji stanowi wyraźnie: ... *rozbudzanie wrogości i nienawiści w związku z wierzeniami religijnymi jest zakazane.*

Macie obowiązek protestować, informować wszystkich, że utrzymywanie muzeów bezbożnictwa w kościołach katolickich Lwowa, Wilna czy gdziekolwiek na świecie jest taką samą profanacją uczuć Polaków jak np. zamiana wzorcowej szkoły komsomolskiej na dom publiczny! Bez takiego uzasadnienia troglodyta azjatycki nie zrozumie, nie pojmie w „czom dieło”!...

Natomiast dobrze rozumiemą swoją robotę bracia Ukraińcy, gdy niszczą pracownie i przemyślnie ostatnie ślady 600-letniej polskości Lwowa! – Oto pod pozorem remontu starego Arsenalu Miejskiego przy ul. Wałowej zdarto, wyrwano żywcem z muru ostatnie już chyba rzeźbione i pięknie zachowane pod daszkiem herby Jabłonowskich, Sobieskich i miasta. Fotografii ich zamieszczono w naszym Biuletynie nr 32/1977 s. 56. – Ale czy należało je pokazywać i przypominać naszym braciom Ukraińcom na emigracji, którzy tak uważnie śledzą zewnętrzny zanik polskości we Lwowie?!...

Zanim udamy się na mszę św. do katedry, próbujemy pobieżnie prześledzić na przykładzie śródmieścia stan zagospodarowania miasta i logikę sowieckiego handlu (w niedzielę większość sklepów jest otwarta). Ruch samochodowy niewielki, nieliczne wozy osobowe wyłącznie radzieckiej produkcji, hałaśliwe ciężarówki przypominają epokę wojny ojczyźnianej. Sklepy prymitywne, zaopatrywane sporadycznie. Żywności na ogół nie brak, są trudności z gatunkowym mięsem, mleko do zdobycia tylko we wczesnych godzinach rannych.

W najbardziej ruchliwym punkcie miasta najdroższy lokal na parterze dawnej kawiarni „De la Paix” zajmuje salon gier zręcznościowych dla wyrostków pod firmą „Nowosti dnia” im. Łesi Ukrainki!... Przy ul. Szajnochy (boczna Kopernika) zauważyliśmy 9 lokali *zamurowanych* całkowicie starożytnymi rolekami!... Sprawdzaliśmy w dniu następnym, iż nie są użytkowane. Wiele sklepów w bocznych ulicach zamieniono na mieszkania, podobnie zresztą jak w polskich miastach.

O 19. wieczorem msza św. w Katedrze. Jakże pamiętne, dostojne wnętrza gotyckie; prawa nawa w remoncie, zabudowana rusztowaniem. Przeciskamy się z trudem przez tłumy wiernych. Polacy i Ukraińcy wspólnie modlą się po polsku. Chylą się chorągwie, wszyscy śpiewają z żarliwym przejęciem. Potem kazanie od ołtarza głównego. Młody ksiądz mówi równo, ma trudności z językiem polskim.

Konspiracyjnym szeptem powierzają nam starsi współuczestnicy nabożeństwa informacje o swoich duszpasterzach. – Przy Katedrze pracuje 3 kapłanów. Proboszczem jest franciszkanin – ks. Rafał Kiernicki. Do Lwowa otrzymał również skierowanie młody ks. Kamiński, z rodziny polskiej, deportowanej w 1940 r. do Kazachstanu. Jest dobrym księdzem i Polakiem, choć ma trudności z językiem polskim. Trzecim, skierowanym na b. obszary polskie, jest młody ksiądz pochodzenia ukraińskiego, podobno życzliwy i dobry duchowny. Opiekuje się pięcioma parafiami, odległymi o 100 do 300 km (w tym Krzemieniec i Złoczów). Wszyscy trzej kapłani są przepracowani i w okresach świątecznych nie mają czasu na sen.

**W** drugim dniu zwiedzamy autokarem odleglejsze obszary Lwowa. Przewodniczka, mówiąca zresztą pięknie po polsku z wschodnim akcentem, podaje następujący skład narodowościowy Lwowa, liczącego obecnie 700 000 mieszkańców (w r. 1984 – 730 000): 60% Ukraińcy, 25% Rosjanie, 5% Polacy, reszta inne narodowości. Słychać zresztą niemal wyłącznie język rosyjski, ale kto potrafi – chętnie odpowiada nam po polsku.

W mieście wychodzą 3 dzienniki (podobnie jak w analogicznym co do wielkości Krakowie), oczywiście z wyłączeniem języka polskiego. Dla porównania – we Lwowie przedwojennym, liczącym 350 000 mieszkańców, ukazywało się 8 dzienników, w tym 2 ukraińskie. Wręczony uczestnikom wycieczki prospekt turystyczny „Intourista” pt. *Lwów* na stronie 9 informuje z głupia frant, iż *do 1939 roku 70% dorosłej ludności miasta stanowili analfabeci*. Kto też czytał przed wojną w naszym kochanym Lwowie tych 8 dzienników wraz z całym wachlarzem różnych czasopism fachowych, z których ilością nie śmie się nawet przyrównać ruch

wydawniczy obecnej stolicy Ukrainy Zachodniej?! Na własną rękę ruszamy w kierunku zielonych, najbardziej atrakcyjnych obszarów Lwowa – w stronę Parku Stryjskiego i Żelaznej Wody. Tam chcę przekazać synowi symbolicznie jego iluzoryczne dziedzictwo w postaci 5-pokojowej wili rodzinnej, pozostawionej we Lwowie.

Park Stryjski w pełnym rozkwicie i zapachu. Zawsze najpiękniejszy park w środkowej Europie. Królestwo Roehringa\*\* pełne barw, uroczych wzgórz i dolinek jest jakby miniaturą Lwowa – posiada przecież analogiczne wzgórza dookoła i cudowną kotlinkę na dnie. Siadamy na ławkach, chłonimy balsamiczne powietrze i wspominamy. Mój syn „rozkrochmałił” się nareszcie i całkowicie. Z zadumą spoglądamy na nietknięty dotychczas pomnik Kilińskiego w konfederatce i z szablą w dłoni: ... *Podburzył on Warszawę, sprawił Moskalikom weselisko krwawe...* Bis, bis!... wtóruje mi towarzystwo pielgrzymów!

Oto na dwóch krańcach miasta ciągle trzyma straż dwóch przedstawicieli polskiego patriotyzmu i demokracji – chłop Bartosz Głowacki w Parku Łyczakowskim i mieszczanin szewc Kiliński w parku swego imienia.

Obrzeżem parku i placu powystawowego docieramy do Żelaznej Wody, maszerujemy ulicami św. Zofii, Dwernickiego, obok dawnego VIII Gimnazjum i wielkiego, krytego basenu pływakiego, który został wzniesiony na fundamentach niedokończonego kościoła naprzeciw Szkoły Technicznej. Wizytujemy willę rodzinną. Trochę się przeciągnęła mina synowi, gdy dowiedział się, że w pięciu pokojach rodzinnego domu mieszczą się aż 4 rodziny ruskie... Jest to *model wzorcowy* sowieckiej sytuacji mieszkaniowej! Wielu tu się porodziło, wielu młodych tu założyło już nowe rodziny. Problem, który właśnie będą musieli ci młodzi w przyszłości rozstrzygnąć. Historia dostarcza nam przykładów i na takie rozwiązania!...

Piękny i zielony to odcinek Lwowa – park Żelazna Woda u góry, kąpielisko otwarte u dołu (dziś zarządza nim klub „Dynamo”) z basenem krytym opodal oraz letnim basenem prywatnym, zwanym przed wojną „Zielone Oczko”. – Nie można się dziwić, że także i sportowcy radziecy zlakomili się na Lwów. W ubiegłym roku udzielił polskiej prasie wywiadu ukraiński pięcioboista Ledniew, który

uzasadnia w ten sposób rozwój pięcioboju we Lwowie: ... *Duże znaczenie miały pływakie baseny we Lwowie. Było ich sześć (z okresu przedwojennego!), podczas gdy w znacznie większym Kijowie tylko dwa...*

Pod wieczór ruszamy z wyprawą na Wysoki Zamek. Widok z pierwszego tarasu – jedyny na świecie. Nie widać stąd, kto rządzi tym miastem, w oddali rysuje się na tle zieleni najpiękniejsze na świecie skupienie wież Lwowa, dookoła nas kwitnące kasztany i bzy. Pachną jeszcze mocniej niż za czasów naszej młodości...

Kopiec Unii w remoncie, obsypał się groźnie w dwóch miejscach. Trwają prace konserwacyjne. Mozolnie, skrótami wspina się na szczyt, by jeszcze raz w życiu ujrzeć widok jedyny na świecie... – *Co tu dużo gadać, kiedy nima o czym mówić – rzekłby pewnie Szczepku na tym miejscu – Kocham czegoś ten Lwów, że niech go cholera weźmi...*

**P**óźnym wieczorem wstępujemy do poznanej przegrodzie rodziny polskiej. Gospodyni przezornie otwiera radio, aby zagłuszyć nasze ożywione rozmowy. – Odcięci od świata zachodniego chciwie słuchają prawdziwych nowinek z Kraju i Zachodu, przy czym nieustającym tematem wszystkich rozważań jest polski Papież. Rodzina jest typowa – mąż i żona pracują, zarabiają po 120 rubli (w Polsce kurs oficjalny 1 rubel = 27 zł), co ledwie wystarczy na utrzymanie, jedyna córka studiuje WF i należy przymusowo do komsomołu. – Źródłem ich informacji jest radio warszawskie i bardzo źle słyszalne Radio Wolna Europa. Można także odbierać polski program telewizyjny, ale to wymaga specjalnej anteny i zwraca uwagę. Ludzie ciągle się boją.

Opowiadają nam, że wiadomość o wyborze kardynała Wojtyły na ojca św. przyjęta została we Lwowie z entuzjazmem, wśród Ukraińców zrazu z niedowierzaniem, które ustąpiło całkowicie na wiadomość o odnaniu hołdu Janowi Pawłowi II przez kardynała Slipyja. Przypomniane są również słowa papieża, wypowiedziane w języku ukraińskim. Popularność naszego papieża wzrasta, każda rodzina pragnie posiadać jego wizerunek; cena kolorowej pocztówki z jego fotografią dochodzi w nielegalnej sprzedaży do 50 rubli.

Jeżeli chodzi o społeczeństwo rosyjskie, przeżywa ono ideową i gospodarczą depresję. Już i partyjni zdają sobie sprawę z tego, że komunizm nie daje ani zadowolenia moralnego, ani dobrobytu gospodarczego. Ludzie radzieccy powracają do wypróbowanych ideałów, znajdują je w kościele i wierze ojców. Młodzi z musu należą do komsomołu, ale i oni coraz częściej organizują tajne zebrania religijne, noszą krzyżyki na szyi. Modne są znów dawne stroje i romantyczny sposób życia. Na ulicy widzi się dużo dziewcząt z długimi warkoczami.

Także i wśród wierzących Rosjan, szczególnie zaś wśród Gruzinów, papież polski staje się popularny. Spodziewają się po nim wiele. Wierzą, że zna komunizm i cieszą się z jego ostrożnych posunięć dyplomatycznych. – Takich rodzin, jak informatorzy, jest w mieście tysiące i one są nadzieją polskiego Lwowa.

**T**rzeciego dnia rozpoczynamy pożegnalną wędrowkę od górnego Łyczakowa. Poprzez park Głowackiego kierujemy się zielonymi ścieżkami wzdłuż dawnego boiska-stadionu „Sokoła” ku cmentarzowi Łyczakowskiemu.

Pierwsze zetknięcie się z naszym Campo Santo jest przynębiające. Na pozór cały cmentarz pokryty jest grobami sowieckimi, aż dziw, że tyle ich umiera. – Ale to tylko potiomkinowska fasada, założona wzdłuż głównych alei. Szczególnie charakterystyczne są ustawione na sztorc płyty marmurowe, z wyrytymi na nich portretami zmarłych, z ich „własnoręcznymi” podpisami!

Idzie się więc taką aleją, a z obu stron straszą gęby sowieckie; niektóre groby ogrodzone kratą lub otoczone siatką. Tu i ówdzie, jak krwawe plamy na tle zieleni, świecą budki zbite z desek, polakierowane na czerwono, z gwiazdą u góry, często otoczone drewnianymi parkanami w kolorze jaskrawej czerwieni. Poganie...

Dużo polskich grobowców zostało zanektowanych przez sowieckich nieboszczyków, gdzieniegdzie pozostały nawet krzyże lub plakietki z Matką Boską na marmurze, jako dowód pochodzenia polskiego.

Za tą fasadą, z tyłu – nieprzeliczone zastępy polskich mogił i krzyży. – Dobrze utrzymane są grobowce Konopnickiej, Zapolskiej, Bełzy; zaniedbany pomnik Ordona, groby powstańców. W grobowcu z czarnego mar-



mur rodziny Riedlów pochowano w 1945 r. najznakomitszego matematyka polskiego prof. Stefana Banacha. Staruszka, polska strażniczka tych grobów twierdzi uparcie, że w grobowcu tym złożone zostały także doczesne szczątki Boya-Żeleńskiego i innych profesorów pomordowanych w 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich, a następnie wykopane i przewiezione na cmentarz. Zapowiada również w proroczym, przesadnym uniesieniu, że Lwów będzie polski już w przyszłym roku. Czekamy...

Na Cmentarzu Obrońców dziwny ruch – słycać pracę piły i szlifierek, jeżdżą samochody. W katakumby wbudowano piętrowy budynek przez całą długość tego Pola Chwały. Jest to warsztat kamieniarski, gdzie wykonuje się nagrobki, przerabia polskie na sowieckie. Za budynkiem, na górze, kaplica w dawnym kształcie, ale jakież funkcje przeznaczili jej profanatorzy?!... Zachowały się trzy elementy kolumnady Chwały: Stoi łuk-brama z napisem: „Mortui sunt ut liberi vivamus”... oraz końcowe filary. Reszta cmentarza jest już tylko wzgórzem, porośniętym trawą, ubogimi kwiatkami i nielicznymi krzakami bzu. Cmentarza nie zaorano, spoczywają tam dalej nasi chłopcy, choć ciągle jeszcze nie w pokoju...

Pobraliśmy świętą ziemię do woreczków. Niech to będzie obyczajem lwowiaków po wieczne czasy... *By lżejszym był mogilny głaz, sposobmy do ciężarów serce...*

Raz jeszcze w przypiływie bezradności i wewnętrznej prostracji siadam u stóp Pomnika Chwały, by okiem ogarnąć rozmiar klęski, rozważyć złośliwość profanacji i „miłości słowiańskiej”...

– Czy należy modlić się, czy przeklinać?  
– Prosić o pomstę czy o przebaczenie dla tych, „którzy dobrze wiedzą, co czynią”?...

– O Boże ojców i dziadów naszych, jak długo jeszcze z pielgrzymką do rodzinnego miasta jeździsz mamy na ziemię pogańską, gdzie prawda i moralność, wiara i religia oraz wszystkie wartości duchowe poddane są materialistycznej doktrynie negacji?

– Czy długo jeszcze czekać mamy na spełnienie się wszystkich prorocत्व, historycznych konieczności i naukowych prognoz?

– Czy nie nadszedł jeszcze czas upragniony, który przewidział w *Księgach narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* Adam Mickiewicz wieszcząc: *A Polak mówi Francuzom i Anglikom: jeśli wy dzieci wolności nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a wzbudzi obrońców wolności z kamieni, to jest z Moskali i Azjatów.*

Zmusiłeś, Wszechmocny Panie, Moskali do obrony wolności świata w latach 1941–1945, czy w miłosierdziu Twoim dopuścisz spełnienia się tego wszystkiego, co zostało napisane? – Niech spełnienie będzie tak całkowite, jak niespodziewane powołanie wymarzonego przez J. Słowackiego słowiańskiego Papieża na stolicę Piotrową. Prosimy Cię o to Boże, w imię tych Młodzianków, śmiercią pobitych w obronie Jedyne Miasta.

\* \* \*

Już w drodze powrotnej, w autobusie, pytam syna o pierwsze wrażenia. ... *Nie do wiary, że takie zielone, radosne miasto, tak bardzo zachodnie, oddano w ręce takich... Nie ma obawy, wrócimy, wszystko zrobimy, aby powrócić.*

Powracamy do kraju, aby godnie powitać naszego Papieża. W Nim nasza nadzieja.

*Pisane w czasie pobytu Papieża w Kraju 2–10.6.1979 r.*

\* Prof. Kazimierz Wyka zmarł w 1975 r.

\*\* Ogrodnik Roehring był twórcą Parku Stryjskiego (Kilińskiego) w XIX w. Na jego cześć nazwano we Lwowie jedną z bocznic ulicy Stryjskiej.



Pomnik sowiecki przed Teatrem Wielkim

Adam Wierciński

## Za szybkie pisanie

(fragment większego opracowania)

Z rozprawy znanego historyka: *Nikt Polaków z Kresów Wschodnich nie wypędzał [sic!], otrzymali oni tylko możliwość wyjazdu z ZSRR do Polski. Uczyniła tak ich większość [sic!], ponieważ nie chciała żyć w ZSRR sądząc, że Polska nie stanie się komunistyczna, albo sądząc słusznie, że nawet jeśli komunistyczną się stanie, będzie to bądź co bądź Polska i będzie się w niej żyło lepiej niż w ZSRR. Wielu Polaków, zwłaszcza uboższych, dla których ustrój socjalistyczny był korzystny, pozostało jednak na miejscu; na Wileńszczyźnie byli oni później nawet uprzywilejowani jako narzędzia przeciwko Litwinom oraz dlatego, że Rosjanom było językowo łatwiej porozumieć się z Polakami niż z Litwinami<sup>1</sup>.*

Aż trudno uwierzyć, że te zdania można przeczytać w książce wydanej we Wrocławiu, gdzie dotąd mieszkają wypędzeni ze Lwowa ekspatrianci i ich potomkowie. Z województw wschodnich II Rzeczypospolitej większość Polaków nie wyjechała do Polski w nowych granicach. Ależ skąd! Jedynie z ziem przyłączonych do republiki ukraińskiej większość ludności polskiej przyjechała do kraju. Pisał Piotr Eberhardt: *Główną falę repatriacji ludności polskiej datuje się na lata 1945–1946, tyle że cała akcja trwała do 1948 r. W tym okresie opuściło Ukrainę Zachodnią – 810,5 tys. osób [...]. Dane oficjalne były niekompletne, gdyż nie obejmują licznej kategorii osób, które wyjechały z terytorium ukraińskiego poza oficjalną repatriacją. Ocenia się, że ponad 1,5 mln Polaków opuściło swoje strony rodzinne, które obecnie są w składzie Republiki Ukraińskiej<sup>2</sup>.*

Inaczej było na pograniczu litewsko-białoruskim, gdzie w niektórych rejonach Polacy stanowili większość bezwzględna. Władzom zależało na wyjeździe Polaków z Wilna, ale ludność wiejską władze litewskie i białoruskie chciały koniecznie zatrzymać i utrudniały wyjazdy. Cytowany badacz przypuszcza, że szeroko pojęta repatriacja objęła około 400 tys. osób narodowości polskiej, które w rezultacie zmian granicznych opuściły bezpowrotnie terytorium Białorusi. Wynika z tego, że po zakończeniu repatriacji w 1948 r. na obszarze zachodniej

Białorusi pozostało jeszcze około 600 tys. Polaków wyznania rzymskokatolickiego<sup>3</sup>.

A kilka tysięcy Polaków z ziem przyłączonych do Białorusi, już po akcji repatriacyjnej, pojechało jeszcze nie z własnej woli na Syberię i do południowego Kazachstanu, deportowano ich jako „andersowców” w 1951 roku i jako „kułaków” w 1952. Ostatni polscy spiecpierielency. Kto o nich wie cokolwiek, kto o nich pamięta? O zesłańcach z 1952 roku ukazała się dopiero niedawno z talentem napisana książka wspomnieniowa Stanisławy Chobian-Cheron<sup>4</sup>. A współczesny polski historyk pisze z takim przekonaniem: *Nikt Polaków z Kresów Wschodnich nie wypędzał...*

Według spisu z 1959 roku na Litwie mieszkało ponad 230 tys. Polaków. Dlaczego tylu zostało, i to po drugiej fali repatriacji. Nie dlatego, że dla uboższych według Krasuskiego ustrój socjalistyczny był korzystny. Eberhardt tłumaczył: *Władze sowieckie nie spodziewały się, że rejestracja [osób chętnych do wyjazdu – A.W.] przybierze masowy charakter. W przypadku zrealizowania wyjazdów w tak dużej skali większa część Ziemi Wileńskiej stałaby się bezludna, co doprowadziłoby do upadku rolnictwa. Ograniczono więc możliwości wyjazdu do Polski<sup>5</sup>.*

A co o tych sprawach ma do powiedzenia Norman Davies, najchętniej dziś czytany historyk? Dla niego wszystko jest proste: *podjęto decyzję o przesiedleniu wszystkich [sic!] Polaków z obszarów położonych na wschód od nowej granicy na teren Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej [ta nazwa powstała o wiele później, w 1952 roku – A.W.], oraz o deportacji całej [sic!] ludności niepolskiej zamieszkałej po stronie zachodniej do ZSRR<sup>6</sup>.*

Łatwo się dziś pisze książki historyczne. I szybko.

<sup>1</sup> Jerzy Krasuski: *Polska – Niemcy. Stosunki polityczne od zarania po czasy najnowsze*. Wrocław 2009. Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

<sup>2</sup> Piotr Eberhardt: *Polska ludność kresowa. Rodowód, liczebność, rozmieszczenie*. Warszawa 1998. Wydawnictwo Naukowe PWN.

<sup>3</sup> Eberhardt, op.cit.

<sup>4</sup> *Wędrownie maki. Wspomnienia burzliwej młodości*. Warszawa 2007, 2009. PIW.

<sup>5</sup> Eberhardt: op.cit.

<sup>6</sup> Norman Davies: *Boże igrzysko. Historia Polski*. Wydanie poszerzone, przekład autoryzowany: Elżbieta Tabakowska, Kraków 1991. Wyd. „Znak”.

# KOMU POMNIK WE LWOWIE?

1 stycznia 2012 roku odsłonięto oficjalnie we Lwowie pomnik Stepana Bandery. Stał w najbliższym sąsiedztwie kościoła św. Elżbiety\*.

Plac, na którym stanął pomnik Bandery, w przedwojennym spisie ulic lwowskich nosił imię arcybiskupa Józefa Bilczewskiego – arcybiskupa o wielkich zasługach dla archidiecezji lwowskiej, wielkości duchowej i świętości, obrońcy polskości na Kresach (beatyfikował go papież Jan Paweł II). Dzięki metropolii wybudowano paręset kościołów i kaplic we wschodniej części archidiecezji, gdzie przy gęstej sieci parafii grekokatolickich postępował proces rutenizacji polskich chłopów. Metropolita nie chciał – jak pisał – ani jednej duszy zabrać z obrządku grekokatolickiego na łaciński. Był jednak adresatem bardzo ciepkich uwag ze strony kleru ukraińskiego.

Ten plac za kościołem św. Elżbiety (dziś cerkwi), związany z pamięcią wielkiego arcybiskupa, władze samorządowe Lwowa wybrały jako miejsce i tło dla pomnika Stepana Bandery. Dźwięk tego nazwiska zawsze będzie złowrogi dla polskiego ucha. Nie da się wyrzucić z historii Polski przed i po 1939 roku zbrodniczej, antypolskiej działalności Bandery, czołowego działacza i przywódcy radykalnego skrzydła Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, której podporządkowana była Ukraińska Powstańcza Armia – UPA – i której polskimi ofiarami były dzieci i starcy, kapłani, nauczyciele i chłopcy, a także przed wojną wysokiej rangi urzędnicy państwowi. W bezpośrednich antypolskich akcjach UPA brał udział brat Bandery, młodszy od niego 10 lat, o pseudonimie „Mytar”.

Dla Ukraińców obecnej *Zachodniej Ukrainy* – geograficznie i mentalnie sięgającej linii Zbrucza – Bandera jest bohaterem narodowym. Urodził się 1 stycznia 1909 r. we wsi Stary Uhrynów w powiecie Kałusz wojew. stanisławowskim, w rodzinie grekokatolickiego parocha (proboszcza) w tejże wsi. Wzrastał w domu, który był centrum nacjonalistyczno-politycznym całej okolicy i Kałusza. Jako uczeń gimnazjum należał już do nielegalnej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO). Rok przed zdaniem matury, w grudniu 1928 r., w stryjskim gimnazjum Bandera z ojcem zostali aresztowani za zorganizowanie antypolskiego wiecu we wsi Bereznica Szlachecka.

Sprawę później umorzono i Bandera rozpoczął w 1929 r. studia na Wydziale Leśno-Rolniczym Politechniki Lwowskiej. Jako członek Związku Ukraińskiej Młodzieży Nacjonalistycznej, działającej konspiracyjnie, wstąpił do OUN, gdzie w 1931 r. objął kierownictwo działu propagandy. Zorganizował m.in. tzw. akcję antymonopolową w II RP, mającą na celu ograniczenie dochodów państwa, w której wzięła udział prawie cała ukraińska społeczność wiejska Małopolski Wschodniej. Pod jego kierownictwem OUN przygotowała też akcję indywidualnego terroru wobec Polaków. Pierwszą ofiarą tej akcji był poseł Tadeusz Hołówko, zastrzelony w Truskawcu w sierpniu 1931 r. Po zamachu i zabójstwie ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w Warszawie 15 czerwca 1934 r. Bandera został aresztowany. W styczniu 1936 r. otrzymał karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Po wybuchu wojny – 10 września 1939 r. – zwolniony w Brześciu, gdzie odsiadywał karę.

Stepan Bandera w latach 30. związał się z niemieckim wywiadem (Abwehra). Tam też odbył przeszkolenie wojskowo-dyweryyjne. Kiedy do Lwowa 30 czerwca 1941 r. wkroczyli Niemcy, tuż za nimi pojawiła się grupa działaczy OUN z Bandera. Z jego inicjatywy 1 lipca 1941 r. proklamowano tam niepodległość Ukrainy i powołano rząd, wierząc w pomoc Niemiec. Rachuby zawiodły. 12 lipca rząd został aresztowany, a Bandera wywieziony do obozu w Sachsenhausen, ale przebywał tam z racji swoich powiązań z Abwehra na szczególnych prawach. Zwolniony został we wrześniu 1944 r. i osiedlił się w Niemczech. Wybrał status emigracyjnego przywódcy tzw. Zakordonnych Czastin OUN i prowadził działalność w zagranicznych ośrodkach tej nacjonalistycznej organizacji. Zginął w Monachium zastrzelony przez agenta NKWD 15 października 1959 r.

Terrorystycznej ideologii OUN-UPA był wierny całe życie.

Władze Lwowa uczciły ponadto tego nieprzejednanego wroga Polski nadając ulicy, przy której stoi gmach świetnej poziomem nauki i kształcenia w II RP Politechnice Lwowskiej, nazwę Stepana Bandery.

Historia była okrutna.

\* Świątynia wzniesiona w 1912 r. dzięki inicjatywie i materialnej pomocy arcybiskupa metropolity lwowskiego Józefa Bilczewskiego i polskich kolejarzy dzielnicy gródeckiej.

# Ze Zbigniewem Wawszczakiem

## rozmawia Janusz M. Paluch

**Poznaliśmy się dzięki Pana książce *Tam był nasz dom*. Opisuje w niej Pan losy Polaków, których wojna rzuciła w obce im strony. Dlaczego Pan zajął się tym tematem?**

Wie pan, dzieciństwo wywiera na człowieka olbrzymi wpływ, rodzi się takie przywiązanie do miejsc, które wraz z upływem czasu stają się magiczne. W czasach PRL nie można było pisać wprost o Kresach. Co najwyżej ogłędnie, pisząc o historii ludzi, wielkich Polaków, którzy tam, na Kresach, przyszli na świat... Dopiero rok 1989 otworzył możliwości pisanie i robienia audycji oraz filmów o Kresach. Pod koniec epoki Gierka, w 1978 r., zwolniono mnie z pracy w rzeszowskiej rozgłośni radiowej. Nie chciałem być piewcą tamtej epoki. Do prasy też nie chciano mnie przyjąć, więc na 12 lat wyleciałem z zawodu dziennikarskiego. Ceną, jaką zapłaciłem, był zawal.

Rozpocząłem jednak wówczas pracę w Rzeszowskim Towarzystwie Kultury. To był rodzaj federacji regionalnych stowarzyszeń kulturalnych. Ja bardzo miło wspominał tamten okres, choć rodzina mniej sympatycznie, bo miałem bardzo kiepskie zarobki. Poznałem społeczników z małych miasteczek i wsi, prawdziwych pasjonatów. Tego rodzaju organizacje nobilitowały niewielkie miejscowości. Społecznikowski ruch nie był mile widziany przez ówczesne władze, powstawał oddolnie, praktycznie poza kontrolą funkcjonariuszy politycznych. A my pracowaliśmy na rzecz podnoszenia kultury na prowincji. Do radia wróciłem dopiero po 1989 r. na zasadach współpracownika. W związku z zawalem byłem rencistą. Wtedy w Rzeszowie powstało też Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w Polsce zaczęły wychodzić pisma i biuletyny, organizowano pierwsze wystawy pamiątek i fotografii związanych ze Lwowem – pierwszą taką wystawę zorganizowała w Rzeszowie pani Kinga Sapetowa. Wtedy pomyślałem, że może najwyższy

czas, by tych ludzi pozbawionych swej małej ojczyzny kresowej, o których nie mówiono, nie pisano, w końcu usatysfakcjonować. Zabrałem się do pracy. Najpierw były to pojedyncze audycje poświęcone najciekawszym postaciom wywodzącym się z Kresów. A kiedy zauważyłem, jaka to ilość materiału, pomyślałem, by połączyć to w pewną całość i stworzyć Magazyn Kresowy. Pozwoliło to na zamieszczanie różnych form dziennikarskich, czy to komentarzy, czy to felietonów, a wszystko przeplatane muzyką i poezją kresową. Pomysł zrodził się w 1994 r. Mimo negatywnych opinii kilku kolegów, którym ta audycja się nie podobała, realizowałem ten program przez 14 lat! Niestety nie udało mi się czasowo rozszerzyć tego magazynu. A byłem już blisko – wiceprezes rzeszowskiego radia Andrzej Kamiński obiecał, że w nowej ramówce czas audycji kresowej zostanie wydłużony. Niestety wkrótce po tej obietnicy przestał być prezesem...

Oczywiście wielu Kresowian znałem wcześniej, choćby znanego nam pana Bolesława Opałka, który pracował w administracji Radia Rzeszów, i wielu innych. Ale dopiero te programy wywołały lawinę znajomości kresowych! Jeździłem po województwie, gdzie na każdym kroku Kresowianie zrzeszali się i chcieli opowiadać o swoich losach, sukcesach i krzywdach. Okres największej popularności audycja miała w latach 2000–2007, kiedy była nadawana regularnie o jednej porze – zawsze w niedzielę o 14.05. Słuchacze pisali do mnie mnóstwo listów, w których komentowali, sprzeczały się ze mną albo podawali jakieś nowe fakty, adresy ludzi, do których wartałoby dotrzeć. W ciągu 14 lat uzbierało się bardzo dużo materiału rozmaitej jakości. Było z czego wybierać do książki. I nadal jest z czego wybierać.

**W jaki sposób realizował Pan te programy? Dzisiaj można posłużyć się telefonem, komputerem... W tamtych czasach technologie te nie były jeszcze tak zaawansowane...**

Rzeczywiście. Praca dziennikarza radiowego wyglądała wówczas nieco inaczej. Ja musiałem do tych ludzi dotrzeć osobiście. Spotykaliśmy się w ich domach, w otoczeniu, w którym czuli się dobrze i pewnie. Opowiadali, otwierali się przede mną. Pokazywali mi pamiątki rodzinne, których nigdy do studia

by nie przywieźli. Między nami nawiązywały się przyjaźnie. To był naprawdę piękny czas! Pisali do mnie listy. Wyszła też sprawa terroru ze strony nacjonalistycznych organizacji ukraińskich OUN-UPA. Kresowianie nie zapomnieli o tym. Poznałem wielu ludzi, którzy z tych rzezi ocalili, przeżyli straszne rzeczy, którym tylko szczęśliwy przypadek pozwolił się uratować. I ciągle nie mogli i nie mogą zrozumieć, dlaczego ich to spotkało? Mieszkali na Kresach obok Ukraińców, Żydów, Ormian i innych nacji. Wzajemne stosunki były dobre. Wiedzano, że Ukraińcy nie są usatysfakcjonowani tym, że mieszkają w Polsce, ale nikt ich przecież nie mordował. Nikt ich nie wysiedlał. Społeczeństwo polskie nie stworzyło na Kresach organizacji, która stawałaby sobie za cel eksterminację ludności ukraińskiej. Problem polegał też na tym, że z OUN w żaden sposób nie można było się dogadać, bo oni negowali jakąkolwiek współpracę z Polską. Ukraińcy mieli też inne partie, które miały swych posłów i senatorów. Mieli nawet Marszałka Senatu Mudrija! Była to społeczność politycznie zróżnicowana. Dopiero w czasie wojny, poprzez terror, OUN zaczęła społeczeństwo ukraińskie opanowywać. Młodym Ukraińcom, którzy nie chcieli przystąpić do UPA, groziła nawet śmierć. A przecież nie wszyscy młodzi ludzie palili się do wstępowania do tej organizacji. Kadra UPA była policja ukraińska, Ukrainische Hilfspolizei, utworzona przez Niemców i im się występująca, a także współpracująca z SS Galizien. To ich rękami Niemcy dokonali holokaustu Żydów kresowych. Na polecenie Providu OUN ta policja z bronią zbiegła do lasu i w taki sposób powstało UPA. Niedawno ukazała się „Kresowa Księga Sprawiedliwych”, której autorem jest Romuald Niedzielko z IPN, opowiadająca o Ukraińcach, którzy zostali zabici za to, że udzielili pomocy Polakom. To jest ważna książka dla oceny naszych wzajemnych stosunków. Nie można bowiem wrzucać do jednego worka wszystkich Ukraińców. Znałe są wyroki śmierci wydawane przez UPA na Ukraińców, którzy

nie wywiązywali się z obowiązkowych dostaw żywności, odzieży, kożuchów dla UPA. Taka sama kara czekała tych, którzy ośmielili się ich skrytykować. Nie jest odosobniony przypadek ks. Mychajło Telepa z Rogoźna w pow. Tarnopol, który podczas nabożeństwa stanowczo potępił mord dokonany przez UPA na Polakach z sąsiedniej wsi Pyszówki. Niebawem został zamordowany z całą rodziną. Znany jest też jeden z wielu takich przypadków z Bieszczadów, gdzie UPA zażądała od Ukraińca, by zabił swą żonę Polkę i dwoje dzieci. Oczywiście on nie mógł tego zrobić. Następną wizyta skończyła się wymordowaniem całej rodziny. To było we wsi Tworylne, pow. Ieski. Banderowcy zabili Marię Kucharz z dwójkiem dzieci, śmierć poniosła również ukrywająca ich ukraińska rodzina Gałuszków i dwoje ich dzieci. Teraz, co najbardziej boli i z czym nie możemy się pogodzić, to jest fakt gloryfikacji ruchu nacjonalistycznego na Ukrainie. Czytam w „Wołaniu z Wołynia”, wydawanym przez ks. Józefa Kowalowa, zestawienie miast i miasteczek, które nadały honorowe obywatelstwo Stepanowi Banderze. Toż to istna epidemia! Chyba na palcach jednej ręki można policzyć miasta



na Kresach południowo-wschodnich, które jeszcze takiego obywatelstwa Banderze nie nadały. Nie wiem, jak samorządowcy ukraińscy sobie wyobrażają współpracę z Polską w cieniu Bandery? Jak współpracować z ludźmi pragnącymi narzucić nam kult przywódców, których ręce splamione są krwią tysięcy Polaków?!

**W Pana pracy dziennikarskiej na Podkarpaciu musiał się Pan zetknąć z problemem „Akcji Wisła”?**

Rzeczywiście trudno byłoby nie dotknąć tego problemu rozmawiając z ludźmi mieszkającymi na Podkarpaciu. UPA brutalnie terroryzowała południowo-wschodnie rubieże pojałtańskiej Polski. Próbowali systematycznie, tak jak wcześniej na Kresach, wymordować i wypędzić stąd Polaków, aby stworzyć załączek nacjonalistycznego państwa ukraińskiego. W powiecie Lubaczów nie ma jednej wsi, w której nie byłoby uprowadzeń, napadów i mordów, dokonywanych na pojedynczych ludziach. Ale i całe wioski terroryzowano. Choćby wieś Rudka. Przyszedł kureń „Żeleźniaka” – to echa rzezi humanicznej, niektórzy przywódcy przyjmowali pseudonimy z powstania hajdamaków w XVIII w. – i spalili wieś, która nie odrodziła się do dzisiaj, wymordowali znaczną część mieszkańców. Takie życie na pograniczu było straszne. Regularne wojsko nie mogło sobie z nimi poradzić. „Upowcy” siedzieli w kryjówkach, doskonale znali góry i nękali wojsko zasadkami, napadami. Na wioski uderzali wtedy, kiedy nie było wojska. W dzień przychodziło wojsko i rozpytywało o UPA, a w nocy pojawiali się „upowcy” i mordowali. Wiosną 1944 r. większość Polaków z powiatu lubaczowskiego, wszyscy mieszkańcy Lubaczowa i Cieszanowa, musieli opuścić swoje domy. To był słynny exodus Lubaczowian do Muniny pod Jarosław. Wyjechali na wozach konnych z najważniejszym dobytkiem. Jeszcze byli Niemcy. Napór sił banderowskich był wtedy tak ogromny, ponieważ ze wschodu napływały setnie uciekające przed Rosjanami. Oddziały AK walczyły z nimi na froncie stukilometrowej szerokości. Uciekinierzy do swych domów wrócili dopiero latem. Kto wtedy nie uciekł, nie przeżył. Po wojnie uganianie się za banderowcami kosztowało Polskę ogromne sumy i życie wielu żołnierzy i mieszkańców tych terenów. UPA spustoszy-

ła te i tak biedne gospodarczo tereny, paliła wsie, niszczyła mosty, większe budynki. Można by rzec, że banderowcy zawzięli się np. na Fredrę – w Hoczwi w Bieszczadach zniszczyli dwór wybudowany kiedyś przez ojca Fredry – Jacka, w Surochowie spalili pałacyk, w którym urodził się Aleksander Fredro, a w Dąbrówce Starzeńskiej nad Sanem spalili zamek z XVI w. Starzeńskich, w Horyńcu-Zdroju pałac hr. Ponińskich. Część ludzi opuszczała tamte tereny, sama nie mogąc wytrzymać ciągłego życia w strachu.

Obiektywny ogląd sytuacji wskazują, że nie było innej możliwości uśmierzenia tej wojny, jak tylko przecięcie więzów łączących oddziały „upowskie” z ludnością cywilną. Mieszkańcy wiosek chcieli czy nie – musieli pomagać banderowcom, inaczej zostaliby zamordowani. Uważam, że niezależnie od tego, jaki byłby rząd, czy komunistyczny, czy londyński, musiałyby wówczas podjąć taką decyzję. Proszę pamiętać, że ta dramatyczna sytuacja trwała tam na przestrzeni lat 1944–47. To była decyzja podjęta w obronie integralności Polski pojałtańskiej. Przecież chciano nam kawał tej ziemi oderwać! I jeśli są tacy historycy jak pan Grzegorz Motyka, którzy mówią, że przecież można było ten problem inaczej rozwiązać, to rozmijają się z prawdą. W jaki sposób można było ten problem rozwiązać? Czy należało przez kolejnych kilka lat narażać te tereny na destrukcję, terror i zniszczenia? A przecież operacją „Wisła” kierowali sanacyjni oficerowie, z gen. Mossorem na czele, którzy chyba się zgodzali z jej ideą. Poza tym operacja została przeprowadzona bardzo sprawnie. Przecież tych ludzi nie przesiedlano na puste miejsca. Tak jak sowietci wywozili Polaków, wysadzali w pustym stepie Kazachstanu i kazali ziemianki budować... Oni dostawali na zachodzie poniemieckie domy i gospodarstwa o niebo lepsze niż te, które zostawiali tutaj. Poza tym rząd uruchomił dla nich specjalne bezzwrotne pożyczki na zagospodarowanie się. To oczywiste, przymusowe przesiedlenie dla nikogo nie jest sprawą przyjemną. Zresztą Kresowianie sami wiedzą to najlepiej. Ale przecież gdyby nie było „upowskiej” rebelii, ta ludność by tam została! Kto by ją przesiedlał? W jakim celu?! Przecież taka operacja przesiedleńcza kosztowała mnóstwo pieniędzy. Wymagała zaangażowania państwa. Te cierpienia,

na jakie byli narażeni przesiedleni, Ukraińcy zawdzięczają w pierwszej kolejności swoim rodakom z OUN-UPA.

#### **Skąd wywodziła się Pana rodzina?**

Gniazdo rodzinne znajduje się w Szczepańcowej pod Krosnem. Tato po wojnie z bolszewikami znalazł pracę i mieszkanie w Bitkowie. Pracował przy wydobywaniu ropy naftowej. Ja się urodziłem w Bitkowie. Tam jest bardzo pięknie. Karpaty mają swój niepowtarzalny urok. Wielkie, dzikie góry, wspaniałe lasy. Te zapamiętane pejzaże karpaccie zawsze noszę pod powiekami i w sercu. Tam rozpocząłem edukację. W 1939 r. skończyłem drugą klasę szkoły powszechnej. W szkole nauczyliśmy się także języka rosyjskiego. Po dziś dzień pamiętam taki wierszyk: *Osiń, osiń, tyśc żołytye / czasto drobnyj doszczyk sije / wele osiń sine chmary / ale za to daje dary...* (śmiech). Doskonale rozumieliśmy się z kolegami Ukraińcami i jako dzieci nie mieliśmy pojęcia, że gdzieś tli się konflikt narodowościowy. Przed samą wojną policja odkryła jakąś zakonspirowaną komórkę ukraińskich nacjonalistów, która gromadziła broń. Ale o tym wiem z opowieści ojca. Ukraińcy, którzy w Bitkowie znaleźli pracę, byli z tego bardzo zadowoleni. W „nafcie” były niezłe zarobki. O tym, co się tam działo później, wiem z relacji córki państwa Głodów, którzy dopiero po wojnie opuścili Bitków i osiedlili się w Zielonej Górze. Udało im się przeżyć napad banderowców na Bitków, a kiedy bolszewicy – już po wojnie – nie chcieli wypuszczać fachowców pracujących przy wydobywaniu ropy, namawiając ich do pozostania, nie dali się zwieść obietnicom, bo już zbyt dobrze znali ten system.

**Z Pańskiej książki wiem, że wojna na długo rozdzieliła waszą rodzinę. Właściwie to mama zajmowała się wychowaniem Pana i pańskiej siostry, która zmarła jednak w bardzo młodym wieku.**

Moja matka okazała się bardzo silną kobietą. Kiedy wojna rozdzieliła naszą rodzinę, z matką, ze mną i siostrą znaleźliśmy się u rodziny koło Krosna, a ojciec w Bitkowie. Zimą 1940 r. matka postanowiła odwiedzić go. Przeszła przez zamrażnięty San, przekraczając nielegalnie granicę. San nazywano wtedy „rzeką wściekłych psów”... Pewna Żydówka z Łodzi przekraczała nielegalnie

San, żeby uciec z Generanej Guberni pod sowiecką okupacją. To ona tak nazwała San i tak już pozostało. Czasami zdarzało się, że w czasie przekraczania granicy ludzie ginęli. Mama była jednak tak zdesperowana, że chyba nie do końca zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie jej groziły. Była tam, pod okupacją sowiecką, przez dwa tygodnie. Chciała zobaczyć się z ojcem, wtedy nie wiedziała, że to będzie ich ostatnie spotkanie na długie lata rozłąki. Nikt nie podejrzewał, jak się potoczą losy naszej rodziny. Ja miałem wtedy 10 lat. Ojciec zaangażował się do pracy w konspiracji. Miał doświadczenie wojskowe. Brał przecież udział w kampanii kijowskiej, którą ukończył w stopniu kaprala, a jego dowódca kpt. Rutkowski chciał go skierować do szkoły podoficerskiej, ale ojciec odmówił. W czasie wojny jego komórka organizacyjna zajmowała się przerzucaniem oficerów polskich na Węgry. Karpaty są tam bardzo wysokie i nie było łatwo zwykłemu śmiertelnikowi przekroczyć góry. Trzeba było je znać. Tak więc zbierała się grupa zakonspirowanych uciekinierów, wśród których znajdowali się zazwyczaj oficerowie, łącznicy przenoszący ważne informacje z okupowanych terenów na zachód Europy. W końcu ojciec musiał sam skorzystać z tego szlaku. Bolszewicy wpadli na trop organizacji w Bitkowie. Organizacja miała jednak w tamtejszej milicji swojego człowieka, który uprzedził ojca, że jest na liście do aresztowania. Ojciec natychmiast opuścił mieszkanie. Wszystkie dokumenty, wraz z jakimiś odznaczeniami za wojnę polsko-bolszewicką, książeczkę wojskową, zakopał. Ukrył się u przyjaciół, państwa Głodów. Siedział u nich w piwnicy przez dwa tygodnie, aż zebrała się grupa uciekinierów. Podczas przeprawy na Węgry były przynajmniej dwa niebezpieczne epizody, które mogły się dla wszystkich skończyć tragedią. Raz o mało nie wpadli na patrol pograniczników, dosłownie w ostatniej chwili udało im się skutecznie ukryć. Na Węgrzech zastał mnóstwo Polaków, którzy docierali tam różnymi drogami zarówno z Generalnej Guberni, jak i spod rosyjskiej okupacji. Było mnóstwo młodych chłopaków, którzy chcieli się dostać do polskiego wojska. Ojciec opowiadał, że Polacy zachowywali się na Węgrzech bardzo nieostrożnie, w restauracjach czy barach dyskutowali głośno o tym, co

w okupowanej Polsce się dzieje, zapominając o zasadach konspiracji. Ta gadatliwość mogła spowodować potem różne represje. Środowiska uciekinierów penetrowali agenci niemieccy, czekający na Polaków uradowanych, bo udało im się umknąć czy to przed gestapo, czy to przed rosyjskim NKWD!

To był dopiero początek wojny, brak doświadczenia konspiracyjnego. Im się wydawało, że jak uciekli z GG czy ZSRR, to na Węgrzech stawali się wolni! Pamiętajmy, że mówimy o roku 1940. Gdy do Małopolski Wschodniej w 1941 r. weszli Niemcy, mieli doskonałe rozeznanie w środowiskach konspiracyjnych. Nie można wykluczyć, że wiele tropów udało im się podjąć również na Węgrzech, infiltrując środowiska polskich uciekinierów. Taką ofiarą był ksiądz Józef Smaczniak, proboszcz z Nadwórnej, którego Niemcy po wybuchu wojny z ZSRR w 1941 r., aresztowali. Udzielał pomocy Żydom, wysyłał paczki do Polaków na Syberii, w końcu u niego na plebanii była skrzynka kontaktowa dla kurierów przemieszczających pocztę między okupowaną Polską a Rządem RP na uchodźctwie. Nieco później były te straszne mordy w Stanisławowie. Niemcy aresztowali Polaków, oczywiście nie bez pomocy ukraińskiej policji, według przygotowanej listy. Czy nie mogli jej ustalić właśnie poprzez swych szpiegów na Węgrzech? Ofiarą zbrodni niemieckiej padło wówczas kilkaset osób. To była polska inteligencja. Chociaż w Stanisławowie nie było wyższej uczelni, ale było to duże miasto i miało wiele szkół średnich. Wśród ofiar spoczywających w Czarnym Lesie pod Stanisławowem znalazła się też inteligencja z sąsiednich miasteczek na Pokuciu. Długo nie wiadomo, gdzie spoczywają zamordowani przez Niemców Polacy. Tą eksterminacją osobiście kierował SS-Hauptsturmführer Hans Krüger, który chwalił się podczas przesłuchania aresztowanej w Stanisławowie hrabini prof. Karolinie Lanckorońskiej, że osobiście kierował eksterminacją profesorów lwowskich. Opowiada ona o tym w swoich wspomnieniach. Był pewien, że hrabina nie przeżyje wojny, dlatego nie bał się o tym do niej mówić.

**Wróćmy jednak do Pana ojca, który znalazł się na Węgrzech...**

Podobnie jak inni, czekał na sposobność, by iść dalej, do Francji, do polskiego

wojska. Zebrała się jakaś grupa i postanowili razem wędrować w kierunku Francji. Obrali jednak dość skomplikowaną marszrutę: najpierw przekraczali rzekę – chyba Drawę – oddzielającą Węgry od Jugosławii, potem przedostali się do Grecji, następnie do Turcji i poprzez Konstantynopol do Palestyny. Tam znalazł się w szeregach Brygady Strzelców Karpackich. Brał udział w początkowej fazie walk pod Tobrukiem. Nie był wtedy już człowiekiem najmłodszym. Nie wiem, czy udało by mu się przeżyć wojnę, która zbierała przecież ogromne żniwo. Jednak uśmiechnęło się do niego szczęście... Był członkiem PPS-u. Któregoś dnia przyjechał do ich obozu minister opieki społecznej w rządzie gen. Sikorskiego – Jan Stańczyk. Podczas nieoficjalnego spotkania zaproponował ojcu, żeby objął kierownictwo jednego z obozów uchodźców w Palestynie. Tam skończył swą żołnierską epopeję i dzięki temu mogliśmy się po latach spotkać. W Palestynie było mnóstwo Polaków, ludzi różnych zawodów, także pisarzy. Ojciec opowiadał o Władysławie Broniewskim, Anatolu Krakowieckim. Ten drugi już do Polski nie wrócił, a w Londynie wydał bardzo ciekawą książkę o losach Polaków na Syberii. Ojciec dotrwał w Palestynie do końca wojny i zajmował się też likwidacją tego obozu. Polacy wyjeżdżali zazwyczaj do Wielkiej Brytanii.

W tamtym czasie w Palestynie powstała bardzo niebezpieczna sytuacja, ponieważ żydowska organizacja rozpoczęła walkę o niepodległy Izrael. To była batalia, w której nie przebierano w środkach. Walczono z Brytyjczykami, którzy tam sprawowali rządy, walczyno z Arabami. Dalszy pobyt w tym miejscu stawał się już bardzo niebezpieczny. Wyjechał do Londynu i spędził tam 25 lat. Nie wracał, bo dochodziły słuchy, jak traktowano w Polsce wracających żołnierzy związanych z rządem czy Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie. Oczywiście byliśmy w kontakcie, ale też bardzo dyskretnie. Ja przecież rozpoczynałem studia w Krakowie i mieliśmy świadomość, że to może mi zaszkodzić w przyjęciu na uczelnię.

**Co Pan studiował na UJ?**

Historię i dziennikarstwo. Historię wybrałem za namową prof. Henryka Twaroga z Jędrzejowa, gdzie kończyłem szkołę śred-



nią. To był oficer AK. A ja wybrałem historię średniowiecza, bo to był najbezpieczniejszy kierunek. Moi profesorowie to Jan Dąbrowski, Roman Grodecki, Kazimierz Lepszy, Emanuel Rostworowski, Ludwik Piotrowicz. Nosiciele marksistowskiej idei nie było zbyt wielu. Najstłynniejsza była prof. Bobińska. Do współczesności miałem dystans. Pracowałem w radiu i publikowałem w prasie: w „Nowinach Rzeszowskich” i miesięcznikach „Profile”, „Prometem”. Zajmowałem się szeroko pojmowaną publicystyką kulturalną. W początkach lat sześćdziesiątych w Rzeszowie nie było jeszcze środowiska literackiego, ale byli różni twórcy wywodzący się z tych stron. Nagrywałem z nimi rozmowy, byli to m.in. Wilhelm Mach, Stanisław Pięta, Jan Maria Gisges, Julian Przyboś, Julian Kawalec, Jan Bolesław Ożóg. Zająłem się tą ciekawszą stroną rzeczywistości, wolną od nachalnej polityki.

#### **Kiedy Pana ojciec wrócił do Polski?**

Do Polski ojciec przyjechał pierwszy raz pod koniec lat 60., by przekonać się, jak wygląda tutaj sytuacja. Oczywiście nie było już terroru stalinowskiego i stwierdził, że można zacząć myśleć o powolnym powrocie. Był jednak mocno związany ze środowiskiem polonijnym. Najpierw postanowił zabrać tam na kilka lat mamę. Ich powrót przyspieszyła choroba mamy. Lekarz zaordynował zmianę klimatu. I w 1970 r. razem wrócili do kraju. Ale jego decyzja o powrocie do Polski spotkała się z bardzo chłodnym, wręcz nieprzyjaznym przyjęciem przez znajomych z emigracji. Dochodziło do takich sytuacji, że ludzie, których znał bardzo dobrze, widząc go, przechodzili na drugą stronę ulicy, nie chcieli podawać ręki. Uważali to za zdradę! No cóż, taki był czas. W rezultacie postąpił słusznie, bo mama wróciła w Polsce do zdrowia i przeżyli razem jeszcze wiele lat. Wie pan – bardzo żałuję, że nie spisałem jego barwnych opowieści o tułaczce po Europie i Bliskim Wschodzie.

#### **Czy wróciliście kiedyś do Bitkowa?**

Niestety nigdy. To jest dość daleko. W czasach sowieckich było to raczej niemożliwe. Później nie miałem możliwości, bo nigdy nie byłem zmotoryzowany, a i też stan zdrowia nie bardzo pozwalał na dłuższe podróże.

#### **Nie tylko rodzice Pana znaleźli się na Kresach...**

Pradziadek i dziadek byli kowalami w Szczepańcowej. Na wsi to był ważny fach! Część dzieci zdołała się wykształcić. Jednym z nich był ks. Józef Wawszczak. Był dziekanem w Jaryczowie Nowym pod Lwowem. Byłem u niego na wakacjach w 1938 r. Pamiętam takie błotniste uliczki, mnóstwo ptactwa wodnego, gęsi, kaczk... Pamiętam go jako dobrotliwego, starszego i siwego już mężczyznę. Jego brat – Stanisław Wawszczak był nauczycielem i przez wiele lat pełnił funkcję inspektora szkolnego. Dzieci Stanisława, moi kuzyni, urodzili się na Kresach, ale każde w innym mieście. Ponieważ stryj Stanisław był zwolennikiem Narodowej Demokracji, często popadał w konflikty z aktualnymi władzami i przenosili go ciągle na inne stanowiska. Jego synem też był Stanisław Wawszczak, który poszedł do seminarium duchownego we Lwowie. Po otrzymaniu święceń kapłańskich w 1936 r. wysłany został na studia do Rzymu. Po ich ukończeniu ks. dr Stanisław Wawszczak w lipcu 1939 r. wrócił do kraju. Młody ksiądz bez przydziału w chwili wybuchu II wojny światowej... Na szczęście miał stryjka ks. Józefa w Jaryczowie Nowym, gdzie na jakiś czas się schronił i pracował jako wikary. Z relacji rodzinnych wiem, że jakiś czas był wikarym we Lwowie w parafii św. Antoniego. W tamtym czasie zapadł na chorobę płuc, do czego przyczynił się panujący we Lwowie głód. W 1945 r. abp Eugeniusz Baziak powołał go na ojca duchowego wyższego seminarium we Lwowie. Jak opowiadał mi ks. Stanisław, abp Baziak nie bardzo kwapił się do opuszczenia Lwowa, bo wydawało mu się, że uda się i ten okres okupacji przetrwać utrzymując strukturę kościoła. W końcu musiał się poddać, ponieważ powiedziano wprost – jeśli nie wyjedzie, wszystkich kleryków wcielą do Armii Czerwonej. Seminarium przeniesiono wtedy do Kalwarii Zebrzydowskiej. Ks. Stanisław pracował tam z seminarzystami przez trzy lata. Jednak choroba płuc rozwinęła się na dobre. Przeszedł operację, odjęto mu jedno płuco i resztę życia spędził w Zakopanem jako kapelan sióstr na Jaszczurówce. Ks. prałat Stanisław Wawszczak zmarł w 1989 r. w wieku 76 lat, a dwa lata temu ukazała się jego biografia napisana przez ks. Jacka

Waligórze, proboszcza parafii w Niżankowicach, tuż za ukraińską granicą.

#### **A co się stało z ks. dziekanem Józefem Wawszczakiem?**

Nadszedł 1945 r. Z jednej strony było zagrożenie banderowskie, z drugiej sowieci domagali się, by Polacy opuścili Kresy. Wyjechał wraz z całą parafią pod Wrocław, gdzie po kilku latach zmarł.

#### **Skoro już mówimy o losach członków Pana rodziny, nie można pominąć wojskowych...**

To byli oprócz ojca jego bracia. Bronisław był leśniczym w Worochcie. Cudowna miejscowość letniskowa w Karpatach. Jeździliśmy czasem na niedzielę do stryja do leśniczówki. To były wspaniałe chwile! Ale czasem pełne grozy... Mama zbierając w lesie maliny przeraziła się strasznie, bo spotkała się z... niedźwiedziem! Na szczęście nic się nie stało. A w 1941 r. przyszli sowieci, kazali się spakować i wywieźli całą jego rodzinę na Syberię. Stryj trafił potem do I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, był saperem, uczestniczył w inwazji na Normandię. Po wojnie wrócił do Polski. Jego rodzina z Syberii trafiła do obozów w Afryce, gdzie też przeżyła wojnę. Najmłodszy z braci ojca – Tadeusz, też przez Syberię, trafił do Armii Andersa i przeszedł z nią bojowy szlak aż pod Bolonię. On też wrócił do Polski i spośród rodzeństwa zmarł najwcześniej. Synem Tadeusza, który wziął udział w bitwie pod Monte Casino, jest Mieczysław Wawszczak, człowiek bardzo energiczny, policjant, z przyczyn zdrowotnych rencista. Od lat gromadzi materiały, dokumenty i zdjęcia rodziny Wawszczaków, wywodzących się ze Szczepańcowej koło Krosna, na zachodniej granicy dawnego województwa ruskiego. Nawiązał kontakty z członkami rodziny rozrzuconymi w różnych częściach kraju, m.in. w Zabrzu, Wrocławiu, Bytomiu, Krakowie. Nie udało mu się dotrzeć do potomków Franciszka Wawszczaka, nauczyciela w Poznaniu. Jesienią 1939 r., po zajęciu Wielkopolski przez III Rzeszę aresztowany, znalazł się wśród ponad 20 tysięcy polskiej inteligencji zamordowanej przez hitlerowców. Mieczysławowi marzy się zorganizowanie zjazdu rodu Wawszczaków – oby mu się udało. Zawodowym wojskowym był kuzyn ojca kpt. Ignacy Wawszczak,

oficer piechoty, który stał się zapalonym „baloniarzem”. Sportowa pasja dała mu wiele satysfakcji. Wraz z partnerem Antonim Januszem zajęli w 1935 r. II miejsce w Międzynarodowych Zawodach Balonowych o puchar Gordon Benetta. Jego dalsze ewentualne sukcesy przerwała śmierć w nurtach Wisły pod Toruniem podczas wycieczki kajakowej.

**Pana książka *Tam był nasz dom. Wspomnienia Kresowian*, edytowanej przez rzeszowskie Wydawnictwo Carpatia w 2010 r., spotkała się dużym zainteresowaniem czytelników. Nakład tysiąca egzemplarzy rozszedł się w całości. Czy myśli Pan o kontynuacji i drugiej części tej publikacji?**

Kończę pracę nad drugim tomem tej książki, której pierwszą część opatrzył pan życzliwym wstępem, powinna ukazać się latem 2012 r. Wykorzystuję materiały, które zgromadziłem w okresie czternastu lat (1994–2008), kiedy w rozgłośni regionalnej „Polskie Radio Rzeszów” redagowałem wykreowaną przez siebie audycję cykliczną „Kresy, krajobraz serdeczny. Radiowy program publicystyczny poświęcony dawnym Ziemiom Wschodnim Rzeczypospolitej”. Ukazało się 514 odcinków tego programu. Wielu czytelników mej książki to dawni słuchacze audycji. Korzystając z okazji – gorąco dziękuję im za lata bliskiej współpracy i zainteresowanie, jakim obdarzyli książkę.

#### **Właściwie dlaczego musiał Pan drugi raz odejść z radia?**

Myślę, że już nie warto o tym mówić. Zawsze są ludzie, którzy bardzo gorliwie wypełniają jakieś zalecenia, wskazówki. Sądzę, że częściowe skrócenie emisji mojego magazynu, który na szczęście nie upadł, bo inicjatywę przejęli inni ludzie, i poświęcony Kresom magazyn jest nadal wydawany, wynikało z obawy, że ja poddamę w sposób dostojeńczy krytyce działalność nacjonalistycznych organizacji ukraińskich. Zgodnie z prawdą przecież! Jak mógłbym spojrzeć w oczy Kresowianom, gdybym próbował coś fałszować czy kłamać, jak to często się w naszej rzeczywistości zdarzało i nadal niestety zdarza.

**Dziękuję Panu za rozmowę.**

Remigiusz Węgrzynowicz

WSPOMINAM  
LWOWSKICH KSIĘŻY

Miałem okazję w pierwszej połowie lat trzydziestych wielokrotnie służyć do mszy św. odprawianej przez ks. Truszkowskiego\* w kościele oo. Jezuitów. Trudno zapomnieć postać wyróżniającą się wyglądem i zachowaniem. Wysoki, postawny, milczący. Do zakrystii wchodził z godnością, bez pośpiechu. Towarzyszył mu często ordynans noszący teczkę. Pod sutanną widoczny mundur wojskowy. Nie ośmielaliśmy się przerywać milczenia niepytani. Pomagaliśmy przy ubieraniu szat liturgicznych. Wspominam o tym w nawiązaniu do artykułu o. Marcina\*\*, w którym pisze: ... *Siedział w fotelu jak głaz marmuru; ani drgnął, ani okiem nie mrugnął... odniósł się do mnie nie bardzo życzliwie...* Nie było to szczególnie odniesienie do Ojca. Godną postać ks. kapelana (wówczas majora) pokrywała zawsze maska surowości i drylu wojskowego! Takim zachowałem tę charakterystyczną sylwetkę w pamięci.

Mszę św. odprawiał zawsze przy głównym ołtarzu. Oszczędne ruchy i sposób wypowiedzenia słów liturgii nadawały szczególnej dostojność nabożeństwu. Przez wiele lat codziennie w mszy uczestniczyła dama (w wieku balzakowskim), za którą kroczył kierowca. Wyróżniała się znacznie wyglądem. Wytworna, ubiory wysokogatunkowe, ale zbyt barwne jak na ówczesne czasy dla pań w tym wieku. Duże kapelusze z kwiatami stosowne do sukni. Makijaż z dużą przesadą, jak do występów scenicznych. Dama przyjmowała codziennie z rąk ks. kapelana komunię św., a po mszy przychodziła do zakrystii na krótkie rozmowy. Wspominam o tym, ponieważ była to jedyna



Helena Żołnierzowa

KONIEC WOJNY  
1939–1945

Od maja 1944, wysiedleni z ojcowizny w Ziemi Lwowskiej, mieszkaliśmy we wsi Czarna pod Łańcutem. Rodzice i czworo dzieci w jednym pokoiku. Śledziliśmy wszelkie doniesienia radiowe i inne o zbliżającym się froncie. Ze strachem, ale i z nadzieją, czekaliśmy na przejście frontu. Mieliśmy wielkie pragnienie powrotu do domu, aczkolwiek już z prasy podziemnej wiedzieliśmy, że alianci naszymi ziemiami handlowali. Front szybko się zbliżał. Był lipiec 1944, niedziela. Z siostrą i córką naszego gospodarza szliśmy do kościoła. Na łące za wsią natrafiły- ▶

osoba (jaką zauważyliśmy), prowadząca rozmowy z ks. kapelanem, który z natury był milczkiem.

Wspomniany w artykule ks. Kwiatkowski był katechetą w IV gimnazjum. W kościele Marii Magdaleny odprawiał msze św. na zmianę z ks. Świerzko, katechetą w XII gimnazjum.

Obydwóm kapłanom służyłem do mszy. Ks. Kwiatkowski wprowadził recytację liturgiczną, wykonywaną przez całą młodzież uczestniczącą w nabożeństwie. W pamięci pozostało mi piękne brzmienie potężnego chóru męskiego (wszystkie klasy gimnazjum), recytującego wersety liturgiczne po łacinie w murach doskonałej akustycznie świątyni. Obecnie pełniącej również rolę sali koncertowej.

\* Ks. kapelan ppłk Zygmunt Truszkowski (1876–1949) w latach 1946–1949 proboszcz parafii św. Marii Magdaleny we Lwowie

\*\* Artykuł o. Marcina Karasia CSsR *Kapłańska praca we Lwowie* CL 2/08, s. 49, notka biograficzna s. 69

śmy na okopanych w krzakach Niemców. Mówili, żeby wracać do domu, bo zaraz zacznie się walka. Byłam już wtedy po maturze, znałam język niemiecki, rozumiałam wszystko, co do nas mówili. Nim doszliśmy do domu, zaczęła się strzelanina. Od strony Łańcuta w kierunku Rzeszowa nacierali sowieci. Nasz gospodarz i ojciec przygotowali duży dół po starym rowie, przykryli gałęziami, i tu skryły się kobiety i dzieci. Mężczyźni pilnowali budynków na wypadek pożaru. Jeden z pocisków ściał drzewo, które spadło na schron. Nikomu nic się nie stało, było tylko trochę strachu, bo groźnie to wyglądało. Walki trwały cały dzień, nocą słyszeliśmy już tylko pojedyncze strzały. W Łańcucie paliła się gorzelnia Potockich.

Rano we wsi byli już sowieccy żołnierze. Przeważnie podpici, bo rozbili wytwórnię likierów w Łańcucie. Pytali, czy daleko do Berlina. Wygląd ich był taki trochę niewojakowski – mundury postrzępione, buty parciane, podarte. Usta pełne propagandy, że idą nas oswobodzić od ciemiężców i panów.

Już wcześniej dowiedzieliśmy się z prasy podziemnej, że nasze ziemie zostały za granicą. Było to dla nas wielkim szokiem, bo liczyliśmy na szybki powrót do domu.

Zaraz po przejściu frontu niektóre rodziny ze wschodu wyjechały do domu, bo granica nie była jeszcze szczelna. Moja krewna wyjechała z rodziną do Kamionki, tam zamieszkała we własnym domu. Ale bandy ukraińskie coraz częściej napadały na Polaków, więc oni znowu zarejestrowali się na wyjazd do Polski. Stąd też we wrześniu 1945 znaleźli się w gminie Święta Katarzyna koło Wrocławia, bo transporty ze wschodu były kierowane wtedy na Ziemię Odzyskaną. Ciocia była bardzo rozgoryczona, że tak daleko ich osiedlili. Gdy spojrzymy z dzisiejszej perspektywy, było to dla nich korzystne. Moi rodzice zostali w Jarosławiu, bo to blisko ojcowizny. Nie doczekali się powrotu, leżą na tamtejszym cmentarzu.

**Od sierpnia 1944** pracowałam w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim w Rzeszowie i tu przeżyłam zakończenie wojny 9 maja 1945. Ileż to było radości, że wreszcie koniec. Dla nas jednak, ludzi ze wschodu, przysła nadzieja na powrót do domu. O tym

jednak już wcześniej czytaliśmy w prasie podziemnej. Mówiono o krótkiej przerwie i wojnie z sowietami, ale tego wszyscy się bali, bo wszyscy już mieli dość wojny.

Zakończenie wojny władze Rzeszowa świętowały wspólnie z Kościołem. Po mszy w rzeszowskiej farze ruszył pochód na Rynek, gdzie odbywała się uroczystość. Pamiętam, że obok siebie kroczyli kapłani, wojewoda, generałowie. W oficjalnych przemówieniach była radość z zakończenia wojny. Wszyscy się cieszyli, że przeżyli. Prawie każda rodzina poszukiwała bliskich, tych z Sybiru, tych z Zachodu i tych z ukrycia. Jesienią 1945 odnalazł nas po wyjściu ze szpitala nasz kuzyn, który wywieziony do Kazachstanu szedł z Armią Polską ze Wschodu. Ranny na Wiśle w Sandomierzu przebywał pół roku w szpitalu. Jego rodzina wciąż jeszcze była w Kazachstanie. Jeszcze dość długo czekał na ich powrót do kraju.

Pracując w Urzędzie Ziemskim w Rzeszowie słuchałam wykładów wybitnych lwowskich profesorów w powołanym studium prawno-administracyjnym. Wykładali tu profesorowie Ingłot, Styś, Adam, Petru. Potem wszyscy oni wykładali na uczelniach Wrocławia.

W tym czasie trwała wędrówka ludów. Wszyscy się wzajemnie szukali. Ci z Sybiru, Kazachstanu, ci z zachodu i ci wysiedleni z ziem wschodnich. Mój krewny wyszedł w 45. roku z niewoli niemieckiej i dopiero w 46. odnalazł rodzinę w okolicach Wrocławia.

Po zamążpójściu przez ponad rok pracowałam z mężem w Urzędzie Ziemskim w Bystrzycy. Jesienią 1947 przenieśliśmy się do Wrocławia.

W 1948 roku odbywała się we Wrocławiu Wystawa Ziem Odzyskanych. Otwarcia dokonał Władysław Gomułka, a celem było zintegrowanie tych ziem z Macierzą. To wciąż był okres powojennego poszukiwania się bliskich. W tym czasie mieliśmy stale gości – krewnych, znajomych, bliższych, dalszych, często na noclegi, na dłuższy lub krótszy pobyt. Było to miłe, ale czasem aż uciążliwe. Tylko wtedy – po wojnie – chleb ze smalcem też był dobry na kolację. A i wiek nasz był taki, że teraz wszystko miłe się wspomina.

Józef Juzwa

# Ostatni proboszcz zaleszczycki ksiądz Andrzej Urbański

8 maja 1994 roku 60-osobowa grupa dawnych mieszkańców Zaleszczyk, leżących w dawnym województwie tarnopolskim, przybyła do swego rodzinnego miasta po półwiekowej nieobecności, by uczestniczyć w uroczystości odpustowej ku czci św. Stanisława – biskupa, patrona miejscowego kościoła. Witając w imieniu przybyłych społeczność zaleszczycką, przypomniałem postać ostatniego polskiego kapłana, księdza Andrzeja Urbańskiego, który podczas wojny pełnił trudne obowiązki duszpasterskie na tym skrawku przedwojennej Rzeczypospolitej.

Byłem Jego bliskim współpracownikiem, stąd znałem wiele problemów i tajemnic, jakie nałożyła wojna na Jego barki. To właśnie było powodem poinformowania mnie w pierwszej kolejności o otwarciu zdewastowanego przez bolszewików kościoła. Przed Świętami Bożego Narodzenia 1991 roku napisała do mnie szkolna koleżanka wzruszającą list, datowany 30 XI 1991: *Dzisiaj wielka uroczystość poświęcenia naszego kościoła (nareszcie). Było bardzo dużo ludzi, księży z różnych miast: z Czortkowa, Borszczowa, Kołomyi, Mikuliniec, Czerniowiec, Tarnopola i innych. Był także biskup ze Lwowa. Dużo ludzi było do komunii św. Gdy weszłam do kościoła, chciało mi się wyć z rozpacz, tak jest zniszczony... słowem nic nie ma... Pamiętam, jak żegnał się z naszym kościołem ksiądz Urbański. Wspomnienie to zawsze wyciska mi łzy...*

Nasza majowa pielgrzymka, jak też wspomniany list Barbary dodały mi bodźca do napisania krótkich wspomnień o księdzu Urbańskim, z którym nierozdzielnie związana jest historia naszego miasta w latach II wojny światowej. Dlatego ograniczę się tylko do okresu zaleszczyckiego, podobnie jak w mowie pożegnalnej wygłoszonej nad Jego grobem (pełny życiorys przedstawił ks. Biskup Bagiński celebrujący uroczystość pogrzebową).

Gdy kilka dni przed śmiercią zapytałem w bytomskim szpitalu bardzo już chorego księdza Andrzeja Urbańskiego, co chciałby jeszcze zobaczyć, odpowiedział z dziwnym uśmiechem i powoli: *Zaleszczyki*. W Jego długim życiu stosunkowo krótki dziesięcioletni okres pobytu w tym mieście tak głęboko wbił się w Jego świadomość, że nawet już przed powołaniem przed tron Najwyższego pamiętał o cudownym, uroczym zakątku bliskim Jego sercu Podola.

Zaleszczyki, dawna posiadłość ostatniego króla Polski, stąd zwane „królewskim miastem”, pieczętujące się „Ciołkiem” Poniatowskich, w czasach przedrozbiorowych administracyjnie należały do województwa podolskiego z siedzibą w Kamieńcu Podolskim, a pod względem administracji kościelnej do diecezji kamienieckiej. Po I rozbiore Polski miasto znalazło się w granicach Austrii i należało do archidiecezji lwowskiej, nadal pozostając w dekanacie jazłowieckim.

Obok wyjątkowych walorów klimatycznych miasto i najbliższa okolica szczyły się bogatą przeszłością historyczną. Między innymi przebywający w Zaleszczykach w roku 1899 Jan Kasprowicz tam napisał Hymn *Święty Boże, święty mocny...*, oparty na kościelnej pieśni błagalnej. To wydarzenie do 1945 roku upamiętniała tablica wmurowana na dworcu zamieszkałym przez poetę. Później zastąpiono ją inną, w której przypomniano, jak to Kasprowicz udzielił w Zakopanem pomocy... Leninowi (!). Po wojnie rozebrano również kapliczkę Kasprowicza z pięknym tympanonem Jarockiego.



Ks. Andrzej Urbański

W pobliskich Beremianach w powiecie zaleszczyckim urodził się w 1823 roku poeta Kornel Ujejski, autor wielu pieśni religijno-patriotycznych, jak chorągiew *Z dymem pożarów* czy *Z dawna Polski Tyś Królową*<sup>1</sup>.

W dekanalnym Jazłowcu, ongiś siedzibie biskupstwa ormiańskokatolickiego, w dawnym kościele dominikańskim znajdowała się tablica nagrobna z 1591 roku, świadcząca o przypuszczalnym miejscu pochówku Mikołaja Gomółki, twórcy melodii *Psałterza Polskiego*. W okresie międzywojennym Jazłowiec był znanym sanktuarium maryjnym, gdzie w lipcu 1939 roku koronacji figury dokonał prymas ks. kardynał August Hlond. Patronka Podola i 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich we Lwowie – Matka Boska Jazłowiecka wraz z siostrami niepokalankami znalazła po wojnie schronienie w Szymanowie k. Warszawy.

Przeuroczo położony w powiecie zaleszczyckim Czerwonogród, jedna z najstarszych osad Podola i przedrozbiorowej Polski, słynął nie tylko z czerwonej ziemi, odróżniającej to miejsce od podolskiego czarnoziemiu. Historyczne starostwo niegrodowe, lokowane przez Kazimierza Jagiellończyka, przechodziło z rąk do rąk wielkich możnowładców: Koriatiowiczów, Buczackich, Jazłowieckich, Ponińskich, Lubomirskich. Tam to księżna Ponińska zbudowała mauzoleum i ufundowała marmurową płaskorzeźbę dłuta słynnego Duńczyka Thorvaldsena *Alegoria Śmierci*<sup>2</sup>. Tam zamek z lochami, ciągnącymi się aż do Kamieńca Podolskiego. W niedalekiej Dżwiniacze n. Dniestrem osiadł w 1883 roku, po 20 latach syberyjskiego zesłania, niezłomny metropolita warszawski arcybiskup Zygmunt Szczęśny Feliński, bratanek autora *Boże coś Polskę*. W tamtej okolicy Buczaczy, Trembowla, Kamieniec Podolski, Chocim i wiele innych historycznych miejscowości, a także klimat pozwalający na dojrzewanie południowych owoców, jak: morele, winogrona i inne...

**D**o słynnej już przed wojną miejscowości, zwanej „Polskim Meranem”, w czerwcu 1935 roku przybył młody ksiądz Andrzej Urbański. Urodził się 7 lipca 1906 r. w Skolem<sup>3</sup>, wówczas powiatowym miasteczku galicyjskim w Karpatach Wschodnich. Był dziesiątym synem Michała i Ludwiki Urbańskich. Ojciec, podobnie jak starsi bracia, zatrudnieni byli w majątku barona Groedla w Demni Wyższej obok Skolego. Młody Andrzej początkowo uczęszczał do gimnazjum w pobliskim Stryju, następnie do małego seminarium we Lwowie (razem z późniejszym biskupem lubaczowskim i rektorem KUL-u Marianem Rechowiczem). Tam też wstąpił do Seminarium Duchownego i na wydział teologiczny

Uniwersytetu Jana Kazimierza. Wyświęcony na kapłana w czerwcu 1933 r., pracował początkowo w Sasowie, a po dwóch latach został przeniesiony na stanowisko katechety i wikarego do Zaleszczyk.

Praca w szkole i rozległej parafii z dojazdami każdej niedzieli do filialnych kaplic nie należała do łatwych. W lecie ogromne upały, przekraczające 50°C (najwyższa notowana temperatura 63°C), a w zimie trzaskające mrozy poniżej –20°C, przy obowiązującym wówczas poście od północy, potęgowały trudy pracy duszpasterskiej. Trzeba pamiętać, że dojazdy odbywały się furmankami.

**N**adszedł wrzesień 1939 roku. Z dnia na dzień rosła fala uchodźców z całej Polski. Zaleszczyki stały się celem tysięcy znękanych ucieczką cywilów, a także cofających się oddziałów wojskowych. Nie było już gdzie wetknąć przysłowiowej szpilki. Wszystkie domy, ogrody, place, skwerki wypełnione były ludźmi. 13 września pojawił się ksiądz prymas kardynał August Hlond, któremu odstąpił swój skromny pokój ks. Urbański. Ten gest dobrze sobie zapamiętał dostojnik Kościoła, o czym napisał po wojnie. Gorzej było z ulokowaniem towarzyszących księdzu Prymasowi księżmi Filipiakiem (późniejszym kardynałem) i Baraniakiem (późniejszym arcybiskupem poznańskim). Ksiądz Urbański, oddany do dyspozycji Gościa na czas pobytu w Zaleszczykach, 14 września żegnał na dworcu kolejowym odjeżdżających księży rumuńskim pociągiem do Czerniowiec. Nowy samochód nie posiadał jeszcze dokumentów umożliwiających przekroczenie granicy. Oprócz ks. Urbańskiego były na dworcu przy pożegnaniu dwie osoby: mój Ojciec i ja. Otrzymaliśmy wówczas obrazki zadedykowane ręką Prymasa. Odjeżdżający dostojnik prosił o przygotowanie locum dla zbliżającego się do Zaleszczyk nuncjusza apostolskiego. Na ten cel przeznaczono dom moich rodziców. Rzeczywiście 15 września zawiła w nasze progi ksiądz nuncjusz Filip Cortesi i sekretarz Nuncjatury ks. Alfred Pacini. Byli zaledwie dwa dni. Samochód ks. Prymasa zabrał dopiero w niedzielę 17 września, gdy Rumuni znieśli bariery paszportowe, franciszkanin o. Marian Wójcik, redaktor naczelny „Małego Dziennika”. W tym dniu tłumy ludzi przewały się przez most na



kać na Węgry, skoro mieliśmy 100 metrów do granicy rumuńskiej. Spojrzeli na mapę i dali się przekonać. Podróż tam i z powrotem trwała blisko 6 dni. Był akuratnie Wielki Tydzień i ksiądz wyjeżdżając nie spodziewał się takich perypetii, chciał koniecznie zdążyć na rezurekcję. Z Kołomyi jechaliśmy dorożką całą noc. Zmęczeni po tylu przygodach wjeżdżaliśmy do miasta, gdy ludzie szli ze święconym. Okazało się, że przyjazny ksiądz grekokatolicki Jan Czukur wypowiadał i zakomunikował parafian. Przygotowano Boży Grób. Po raz pierwszy nie zaśpiewano radosnej pieśni wielkanocnej, tylko *Przez Twoje święte zmartwychwstanie*, gdyż nikomu nie było wesoło...

**N**adszedł pamiętny czerwiec 1941 roku. Uciekający w popłochu sowioci zadali Zaleszczykom okrutny cios. Na most kolejowy wtoczono kilka wagonów z więźniami, most wysadzono, a następnie ze spalonego dworca opuszczono kilka wagonów z benzyną (był tam lekki spad). Dniestr palił się na całej szerokości (ok. 250 m). Wyszadzono również most drogowy odbudowany w 1938 roku.

Po ucieczce czerwonych oprawców weszły do Zaleszczyk wojska węgierskie. Powstały po zawaleniu się mostu zator nakazano oczyszczać ze zwłok ludzkich miejscowym Żydom. Były tam zwęglone zwłoki po wysadzeniu i spaleniu mostu, a także płynące Dniestrem zmasakrowane i torturowane trupy; ksiądz Urbański grzebał wszystkie zwłoki na katolickim cmentarzu. Było ich bardzo dużo.

Nowe miejscowe władze ukonstytuowali Ukraińcy. Od razu aresztowano kilkudziesięciu Polaków, w tym ukrywającego się w szpitalu oblata księdza Michała Kucharskiego, obywatela kanadyjskiego rodem z Zaleszczyk. Przybył on wiosną 1939 roku do Polski na święcenia kapłańskie do Obry w Wielkopolsce. Po kilkumiesięcznym pobycie w kraju przodków miał wyjechać na misję. Niestety zachorował i pozostał dłużej w szpitalu. Ksiądz Urbański zaczął natychmiast skutecznie interweniować. Wszyscy zostali wypuszczeni, a ks. Michał Kucharski otrzymał zameldowanie i następnie kenkartę.

Zaczęła się nowa okupacja, nowe problemy i obowiązki. Pracowałem wówczas w kancelarii parafialnej oraz jako organista. Byłem więc świadkiem wielu wydarzeń.

Z początkiem września 1941 roku, gdy nie działała jeszcze poczta i kolej, przyszedł młody oficer węgierski z listem od księdza z Nadwórnej, gdzie dotychczas stacjonował. Ksiądz Andrzej otworzył list, ręce mu zadrżały, a z oczu popłynęły łzy...

Ksiądz z Nadwórnej (również podobną drogą) dowiedział się, że po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej NKWD aresztowało (22 czerwca 1941 w nocy o godz. drugiej) w Skolem Polaków, w tym także wiele osób z rodziny księdza – w szczególności jedyną siostrę Adelę (kurierkę przeprowadzającą na Węgry), dwóch braci – Wilhelma i Rudolfa oraz jego narzeczoną. Po przewiezieniu ich do więzienia w Stryju, 72 osoby zamordowali uderzając w tył głowy tępym narzędziem, a następnie wszystkich wrzucili do kanału (uratował się jeden uczestnik aresztowania przez NKWD; schował się w odwróconej beczce po śledziach. Nazwiska nie znam. Po II wojnie podobno przebywał w województwie szwecińskim)<sup>7</sup>. Wszystko to miało miejsce 30 czerwca 1941 roku, tuż przed wkroczeniem oddziałów niemieckich. To już pięć ofiar spośród najbliższych...

**Ż**ycie okupacyjne toczyło się dalej. Wiosną 1942 roku zjawili się u księdza emisariusze z Warszawy, by nawiązać kontakt i wznowić przerzuty do Rumunii. Jak się okazało, zaczęły działać zręby nowej organizacji podziemnej i niewątpliwie ważną rolę odegrał w niej ksiądz Urbański, działający pod pseudonimem Most, który został mianowany kapelanem obwodu zaleszczyckiego AK. Często przyjeżdżali różni obcy do kancelarii parafialnej. Na pewno wielu z nich, prowadząc rozmowy z księdzem, było działaczami AK. Ksiądz jeździł do Czortkowa, gdzie znajdowała się siedziba Inspektoratu, do Tarnopola (Okręg) i do Lwowa (Obszar). Kilkakrotnie odwiedzał księdza Andrzeja wspomniany ksiądz Rechowicz ze Lwowa, którego z kolei ja odwiedzałem z polecenia księdza Urbańskiego. Były to sprawy organizacyjne, a nie kurii metropolitalnej. Trasę Lwów–Zaleszczyki przemierzałem od roku 1942 dość często, gdy dostałem się na studia medyczne do Lwowa. Wykonywałem wtedy polecenia księdza Urbańskiego, kontaktując się z ks. Rechowiczem, od którego otrzymywałem informacje.



Na probostwie zaleszczyckim przechowywani byli kilkakrotnie kurierzy, udający się za granicę. Pamiętam dwóch młodych mężczyzn, którzy po kilku tygodniach przysłali odkrytą kartkę pocztową z Turcji, ocenzonej wielokrotnie, na której skreślono krótko: *dziękujemy za wszystko*. Aż dziw bierze, że kartka doszła i nie spowodowała żadnych następstw.

Gdy w Tłustem zamordowano komendanta obwodu zaleszczyckiego Mariana Rościckiego, kondukt pogrzebowy w dniu 15 lutego 1943 roku prowadził ksiądz Urbański (choć mieszkał tam dziekan i wikary). W następnych dniach w Zaleszczykach odprawił ponownie mszę św. w intencji komendanta i spotkał się z jego żoną. Jak widać utrzymywał ścisły kontakt z władzami AK.

Pewnego jesienno-wieczornego, gdy wracał z apteki z kolacji, przy wejściu do probostwa spotkał patrol żandarmerii niemieckiej. W małym miasteczku wszyscy się znają, więc po wymienieniu *Grüss Gott* kapłan zamknął na zasuwę otwarte w dzień drzwi plebanii i zaświecił światło na schodach prowadzących na piętro. Momentalnie na górze ktoś je zgasił. Zaniepokojony zawołał: *Kto tam?* W odpowiedzi usłyszał ciche: *Sza, sza, to ja... rabin*. Słychać było jeszcze kroki odchodzących Niemców... W górze, na schodach stał ubrany w strój kobiety i chustę na głowie rabin. Ukrywał się w domu starszej kobiety niedaleko kościoła. Od tego czasu przychodził do księdza kilkakrotnie.

Na horyzoncie działań wojennych następowały ciągłe zmiany. Niemcy wycofywali się. Równocześnie nasiliły się mordy na ludność polską. Co kilka dni ksiądz Urbański odmawiał nad nimi egzekwie na cmentarzu.

Jesienią 1943 roku zjawiał się na probostwie ksiądz Teodor Kasperski, twórca Kalwarii w Winiatyńcach<sup>8</sup>. W nocy banderowcy otoczyli probostwo zamieszkałe przez wielu młodych Polaków, zatrudnionych tam w majątku (Liegenschaft). Pod groźbą podpalenia kazali wszystkim wyjść. Następnie powiązali ich długim sznurem i pogonili. Padał deszcz. Staruszek ksiądz padał w błoto i opóźniał marsz. Modlił się do Matki Boskiej, której wybudował Kalwarię. Jeden z oprawców, zdenerwowany opóźnianiem marszu, odciął sznur i zostawił księdza w błocie. Pozostałych tej nocy zmasakrowano.

25 marca 1944 roku pojawili się w Zaleszczykach ponownie żołnierze sowieccy. Trochę odmienieni, w mundurach przypominających armię carską, otrzymali nakaz innego niż poprzednio, w 1939 roku, traktowania księży i kościoła. Po kilku dniach, gdy już na dobre się rozlokowali, nastąpiło nagłe ostrzeliwanie miasta, ale od strony wschodniej. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Była to Niedziela Palmowa i trwała suma. Ludzie uciekli ze świątyni, a kanonada trwała. Przed wieczorem zebrało się w kościele więcej osób, ufając grubym jego murom. Przed kościołem czernoarmiści, twierdzili, że *germańców nie*, ale chcieli się dostać na wieżę kościelną z karabinem maszynowym. Na szczęście księżom udało się odwieść ich od tego zamiaru. W poniedziałek Wielkiego Tygodnia sytuacja nie zmieniła się. Dopiero wieczorem zaległa cisza. Około 2 w nocy usłyszeliśmy marszowy krok żołnierzy niemieckich. Sowieci wycofali się na drugi brzeg Dniestru i widzieli miasto jak na dłoni. Nie można było wyjść na ulicę, gdyż strzelcy od razu razili. Ludzie przechodzili przez płoty ogrodami, by uniknąć śmierci. Byliśmy w centrum frontu.

Nadeszła Niedziela Wielkanocna. Nie było mowy o jakiegokolwiek procesji. Garstka ludzi przedostała się przez boczne drzwi do kościoła. Nagle zjawili się trzej niemieccy żołnierze. Przystąpili do komunii św. Gdy powoli zaczął opróżniać się kościół, ksiądz Urbański powiedział: *Dziś święto wszystkich katolików, więc zaproszę tych żołnierzy na nasze skromne święcone. To na pewno porządni ludzie, skoro przystąpili do komunii świętej*. Zasiadliśmy więc do stołu wielkanocnego, dwaj księża, mój Ojciec ze mną oraz niemieccy żołnierze. Przez okno widzieliśmy drugi brzeg Dniestru i sylwetki Sowietów.

Jak widać z kilku przytoczonych faktów, ksiądz Urbański nie uznawał różnic ani narodowościowych, ani wyznaniowych. Był



Ks. Teodor Kasperski



łatwowierny i za bardzo wierzył ludziom, mówiąc o ich szlachetności. Dlatego oprócz powszechnie używanego przydomka „Mały” nazywano Go również „Szlachetnym”.

Jesienią 1944 roku przyjechał samochodem ciężarowym ksiądz biskup Baziak. Była to nieoficjalna – ostatnia wizytacja pasterska. Rozeznał tragiczną sytuację Polaków i wydał księżom dyspozycje. Nie żył już (zamordowany) dziekan jaźłowiecki ks. Szkodziński, więc ks. biskup przekazał urząd księdzu Szczepanowi Juraszowi z Czerwonogrodu. W tej niewielkiej historycznej osadzie gromadzili się Polacy z okolicznych wsi, tworząc w zamku, kościele i Domu Polskim twierdzą. Niestety 2 lutego 1945 roku po błagalnym nabożeństwie, gdy ksiądz z ludźmi mieli przenieść się do Zaleszczyk, nastąpiła zagłada Czerwonogrodu<sup>9</sup>. Całą noc trwała nierówna walka. Twierdzy nie zdobyto, ale straty były duże. Nie przeżył również proboszcz czerwonogrodzki. Po jego śmierci sukcesja dziekańska przeszła na księdza Urbańskiego w Zaleszczykach. Takim tragicznym zrządzeniem losu przypadł Mu jeszcze jeden, choć w tamtejszych warunkach mało znaczący obowiązek dziekana jaźłowieckiego. Na probostwie dogorywał ksiądz Kasperski. W okolicy łuny pożarów i zgłiszcza... A ksiądz Urbański trwał.

21 marca 1945 r. zmarł ksiądz Kasperski. Księżdz Andrzej czekały szykany, zmuszające Go do opuszczenia Zaleszczyk. Już zaczęła swą działalność machina „repatriacyjna”. Wiedział, że jak kapitan tonącego statku opuści Zaleszczyki jako ostatni. Wreszcie nadszedł ten dzień. Ostatnia odprawiona przez niego msza w zaleszczyckim

kościółce miała miejsce w dniu 16 października 1945 roku.

Przystąpiono do zdawania inwentarza. Obecna jako tłumaczka Koleta Dąbrowska, dawna uczennica i kurierka KAWON-u oraz AK, radziła, by ksiądz się do NKWD-dzistów nie odzywał. Sowieci otwierają tabernakulum i pyta: *A czasza gdzie? Lila odpowiada: Kielich to narzędzie pracy i ksiądz ma prawo zabrać.* Znowu pytanie, na które odpowiada ostro Lila. Ksiądz klęczy na stopniach ołtarza zakrywając dłońmi twarz. Nagle zrywa się i zaczyna krzyżeć: *Prześcić, to profanacja!!!*, gdy mołojec zaczął grać na organach *Katiuszę.* Organy zamilkły... .

Wyjechał ostatnim transportem 2 listopada 1945 r., opuszczając ukochane Zaleszczyki, gdzie pozostawił garstkę swoich parafian, którzy nie chcieli wyjeżdżać.

Zatrzymał się na krótko u rodziny w Krakowie i udał się do Opoli, przyjmując parafię w Kamienicy koło Paczkowa. W Krakowie dowiedział się o dalszej tragedii swojej najbliższej rodziny. Otóż z chwilą wycofywania się wojsk węgierskich wdowa po zamordowanym w Stryju bracie Wilhelmie przyłączyła się do taboru wojskowego, uchodząc z synkiem przed Sowiecami. Uciekał też przed nimi brat księdza Józef z żoną i dwoma synami. W nocy w Karpatach wywołano jego syna Adama (22-letniego) do lasu. Za nim pobiegł ojciec, a za nimi matka. Wszystkich okrutnie zamordowano. Ocalał tylko młodszy syn Jurek, który przedostał się na Węgry (po wojnie powrócił). Bilans wojenny rodziny księdza Andrzeja był straszny...

Do Kamienicy przyjechała wdowa po Wilhelmie i zajęła się gospodarstwem. Wkrótce ksiądz Urbański przeniósł się do Starczowa koło Kamieńca Żabkowickiego, gdzie przesiedlono wiele rodzin z okolic Zaleszczyk. Był więc między swymi. Ale władze polityczne PRL-u nie dawały Mu spokoju. Nękania, nagabywany przeniósł się po kilku latach do Bytomia, gdzie objął probostwo parafii św. Józefa. Tam już mieszkał nawet po przejściu na emeryturę, do końca swoich dni.

Zegnając zmarłego kapłana nad grobem w Dzień Zaduszny 1989 roku wyjawilem wszystkim zebranym Jego tajemnicę i osobistą tragedię. Nikt z zebranych, nawet kapłani, nie znali tych szczegółów z Jego życia. 2 listopada 1939 r. spadł na Niego ciężar

odpowiedzialności za losy wielu Polaków w odległych Zaleszczykach.

Po 50 latach, również w Dzień Zaduszny, przyjęła jego ciało ziemia, na której pracował. Będąc klerykiem we Lwowie często wstępował do katedry ormiańskiej, gdzie upajał się przepięknym freskiem Rosena *Pogrzeb św. Odyłona*. Ten mnich, benedyktyński opat w Cluny, ustanowił w roku 998 Dzień Zaduszny zaraz po uroczystościach Wszystkich Świętych, czyli 2 listopada. Czyżby kapłan Andrzej uprosił, aby ten dzień był Jego dniem udania się na wieczny spoczynek...?

Na podmiejskim cmentarzu bytomskim spoczywa skromny, małego wzrostu kapłan z dalekiego Podola, po dobrze spełnionym obowiązku wobec Kościoła i Ojczyzny.

*Przepisał Janusz Urbański – syn Wilhelma: w Bytomiu 6 X 2007 r.*

## PRZYPISY

- 1 Prawidłowo jest to trzecia zwrotka pieśni-modlitwy, zaczynającej się od słów *Grzeszni ludzie zapomnieli, Ojczyzna nasz...* (śpiewnik pieśni wydany podczas I wojny światowej przez Ottona Żukrowskiego w Krakowie).
- 2 Thorvaldsen pozostawił w Polsce kilka arcydzieł, pomniki: ks. Józefa Poniatowskiego, Mikołaja Kopernika w Warszawie oraz popiersie hr. Potockiego w Katedrze Wawelskiej.
- 3 Z. Dudrówna: *Skole, Skole moja miłość*, „Cracovia–Leopolis” 1/2002.
- 4 K. Zieliński: *Nieznany szlak kuriersko-przerzutowy*. Archiwum Wschodnie, Warszawa 1990.
- 5 J. Juzwa, K. Zieliński: *Nieznany szlak kuriersko-przerzutowy Zaleszczyki 1939/1940*. Biuletyn Armii Krajowej Obszar Lwów. Kraków 1994, nr IV–X.
- 6 Jak się dowiedziałem od rodziny ks. proboszcza po wojnie – ks. Adamski opuścił Zaleszczyki ostrzeżony przed aresztowaniem.
- 7 Krystyna Roszak-Misiak: *Likwidacja więzienia stryjskiego przy ul. Trybunalskiej (Hołówki) przez NKWD w 1941 roku*. Wrocław, „Semper Fidelis”, 1992, nr 1.
- 8 Ks. W. Szetelnicki: *Podolski Vianney – ks. Teodor Kasperski twórca, Kalwarii w Winiałykach*. Kraków, 1990, Instytut Teologiczny ks. Misjonarzy.
- 9 J. Juzwa: *Zagłada Czerwonogrodu*. Wrocław, 2000, Oficyna Wydawnicza „W Misji”.

## Janusz Wasylkowski

# Kraków 1945

Jest koniec 1945 roku. W barakach dla repatriantów na krakowskim Prądniku czeka na nas dziadzio, który wraz z moim ojcem zmuszony został, podobnie jak setki tysięcy lwowiaków i kresowiaków, do opuszczenia swoich rodzinnych stron. Ojciec odnalazł mamę, babcię i moją skromną osobę w Zakopanem, dokąd latem poprzedniego roku wyjechaliśmy po zbombardowaniu kamienicy, w której mieszkaliśmy, aby jakoś przeczekać front w gościnnym domu cioci i wujka. Wyjechaliśmy ze Lwowa w letnich ubraniach, sądząc, że po trzech, najwyżej czterech miesiącach wrócimy, ale los, a raczej nasi mniej lub bardziej lojalni sojusznicy zdecydowali w Jaltie inaczej.

Dwa dni turlaliśmy się góralską furką z Zakopanego do Krakowa (innej komunikacji nie było), zamieszkaliśmy w barakach i powstał problem: co robić dalej? O Wrocławiu i innych dolnośląskich miejscowościach krążyły dziwne, przerażające czasem wieści, mama marzyła o pozostaniu w Krakowie, bo bliżej do Lwowa i miasto podobne do Lwiego Grodu. Obawiała się także, żebym nie stracił roku szkolnego (byłem w piątej klasie). I nagle wieczorem dziadzio dostał wysokiej, ponad 41 stopni gorączki. Sprowadzony z miasta lekarz stwierdził ciężkie, obustronne zapalenie oskrzeli, zapytał o wiek pacjenta (69 lat) i wzruszył ramionami. Położyliśmy się spać pełni najgorszych przeczuć.

Obudziłem się około siódmej i ze zdziwieniem zauważyłem, że w naszym segmencie baraku nikogo nie ma. Okazało się, że rodzice wcześniej wstali i poszli do miasta pożyć pieniądze na pogrzeb i zorientować się, jak załatwić się pochówek. Babcia wyszła natomiast do wspólnej kuchni ugotować kawę na śniadanie. Ale co stało się z dziadkiem? Może wstał za potrzebą... Przeszukaliśmy wszystkie dostępne miejsca w barakach, dziadzia nigdzie nie było, nikt go nie widział. Wrócili rodzice, zaczęły się dalsze poszukiwania i – w szpitalach, pogotowiu ratunkowym, na milicji... Tak minął cały dzień. Gdy zrozpaczeni, skołowani zasiadaliśmy do improwizowanej kolacji, nagle zjawił się dziadzio, ubrany w piżamę jedynie...

– Gdzie ojciec był? – rozpaczliwe pytanie mamy.

– Zbudziłem się rano, było tak strasznie duszno, chciałem odetchnąć świeżym powietrzem...

– Ale gdzie ojciec spędził cały dzień?

– Tam za płotem jest łąka, położyłem się na trawie...

Koniec kwietnia, mokra łąka... Bez słowa zapakowano dziadzia do łóżka. Rano lekarz wchodzący do naszej pakamery z miejsca zapytał:

– A ten staruszek dawno już umarł?

A na to dziadzio:

– No, no, no! Niech mnie pan tak szybko na tamten świat nie wysyła. Jak wojnę przeżyłem, to jeszcze mam chyba prawo trochę pożyć, co?

Mierzmy gorączkę. 36,6 stopni... Jak to możliwe?

Po wielu latach od tamtego wydarzenia przeczytałem wspomnieniową powieść Beaty Obertyńskiej (także lwowianki) *W domu niewoli*. W Kazachstanie, już na tak zwanej wolności, nocą – w czasie ulewnego deszczu, otumaniona wysoką gorączką zasypia na gołej ziemi, będąc przekonana, że następnego dnia nie doczeka i że śmierć będzie dla niej wybawieniem z rozlicznych udręk, które ją spotkały na tej „niehumanitarnej” ziemi – jak później powie inny autor, któremu wreszcie udało się również wyrwać życie z sowieckich łagrów.

I nasza autorka budzi się następnego dnia, osłabiona wprawdzie, ale bez gorączki...

Chyba prawdą jest ludowe stwierdzenie, że ziemia „wyciąga chorobę”, zresztą w różnych częściach świata znane są podobne praktyki, stosowane przez lokalnych szamanów czy szarlatanów...

Wróćmy jednak do Krakowa.

Mieszkamy przy ul. Zamkowej na Dębnikach, w oficynie w jednoizbowym pomieszczeniu z wybitymi szybami, bez kuchni i pieca. Gnieździśmy się w sześć osób, przyjechała jeszcze ciocia i wujek ze Lwowa, ojciec wyjechał na zachód w poszukiwaniu pracy i kąta. Babcia gotowała obiady na prymitywnej „kozio”, której rura wychodzi za okno, jedynie widok Wawelu za Wisłą jest miłym akcentem tej scenerii.

Mamy też piwnicę, łaskawie nam przydzieloną, w której jest miał, zbity, wręcz skamieniały, który z trudem udaje się rozbić na kawałki, które z kolei niezbyt chętnie

się palą. Ale innego opału nie mamy. Nie mamy też pieniędzy na wynajęcie innego mieszkania, Kraków jest bardzo przeludniony, brakuje pracy, za mieszkania trzeba płacić ogromne pieniądze (łapówki).

Któregoś dnia pod zbryloną węglową mazią odkrywam kilka (sześć lub siedem) worków, które wypełnione są niemieckimi banknotami. Skarb! Nie bardzo jeszcze wiemy, co z nimi zrobić, gdy tego samego dnia czytamy w jakimś krakowskim dzienniku, że na terenie Niemiec została wprowadzona nowa waluta, marka okupacyjna, i że stare pieniądze straciły ważność... W tej sytuacji nasz skarb staje się łupem „kozy”, hajcuje się zdrowo, babcia jest zadowolona, nawet w takim towarzystwie zbrylony miał pali się znacznie lepiej. Jakiś worek wywalam na podłogę w piwnicy, razem z dwoma kolegami tarzamy się w pieniądzach, pęczki banknotów rozrzucam w szkole po korytarzach i klasach. Zabawa trwa. I tylko jako początkujący kolekcjoner odkładam po jednym banknocie z każdego nominału. W parę miesięcy później, gdy zamieszkałiśmy w Zbąszynku (duża stacja kolejowa potrzebowała kolejarzy i dlatego ojciec tam zawędrował), okazało się, że stare marki były ważne na terenie Niemiec jeszcze przez najbliższe dwa lata i to w relacji: 1 marka – 2 złote...

Łaskawa Fortuna raz jeszcze uśmiechnęła się do mojej rodziny, ale czy musiała w takich właśnie okolicznościach? Pozostało pytanie bez odpowiedzi: do kogo należał ten skarb – do jakiegoś okupacyjnego spekulanta czy folksdojczy – i co stało się z jego właścicielem?

I jeszcze opowieść z drugiej ręki. Latem owego 1945 roku pod Sukiennicami kilkunastu czy kilkadziesiątu handlarzy sprzedawało... niezszyte buty z cholewami. Ponoć masowo kupowali je sowietci, powracający do swojej ojczyzny z wojennej eskapady. Okazało się bowiem, że wszystkie „wojenne zdobycze”, w które bogato byli zaopatrzeni krasnoarmiejcy, odbierano im na granicy. Radziecka ojczyzna dbała nawet o to, aby jej obrońcy za bardzo się nie wzbogacili. Pozwalała łaskawie przewieźć przez granicę dwie pary niezszytych butów...

Któregoś dnia pojawił się pod Sukiennicami tęgawy *starszina*, obejrzał towar, pogrymasił, wreszcie zdecydował się na odpo-

wiadający mu towar, zapytał o cenę (bodajże wynosiła ona 1500 zł za parę) i powiedział:

– A marki chcesz?

Sprzedający skrzywił się.

– Z markami kłopot – powiedział – nie bardzo wiadomo, co z nimi robić, chyba że po kursie – jeden złoty – dwie marki...

Niczewo! – oświadczył *starszina*. Otworzył pękatą torbę i ku zaskoczeniu handlarza i oniemiałych świadków owego targu, wyjął plik zielonych setek i zaczął odliczać...

Kiedy podał dolary sprzedawcy, ten szybko schował je za pazuchę i po prostu zwiął, pozostawiając resztę towaru na ziemi.

*Starszina* mruknął: – Ot, durak! – i spokojnie zapakował swoje zakupy do torby. Handlarz, jak opowiadano, przez najbliższe dwa lata nie pojawił się w Krakowie...

I takie bywały uśmiechy chimerycznej Fortuny.

#### List od prezesa Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW:

Zarząd Oddziału we Wrocławiu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich składa serdeczne podziękowanie wszystkim Członkom i Sympatykom za wsparcie okazane przez zadeklarowanie i odpisanie 1% ze swych podatków na rzecz naszego Oddziału TMLiKPW jako Organizacji Pożytku Publicznego.

Zapewniamy wszystkich Ofiarodawców, że otrzymane środki zostaną wykorzystane zgodnie z zadeklarowanymi celami, jakie zostały wpisane w statucie OPP. Jednocześnie zwracamy się do członków i sympatyków naszego Oddziału TMLiKPW o zadeklarowanie 1% w kolejnych latach, za co serdecznie z góry dziękujemy.

Prosimy o zamieszczenie tego podziękowania w Waszym Biuletynie. Za życzliwość umieszczenia niniejszego komunikatu w Waszym wydawnictwie O. Wrocławski prześle stosowną kwotę na rzecz Waszego wydawnictwa jako sponsoring.

**Zdzisław Piwko**

**Alicja Olszowska**

## ZNAŁAM TYLKO Z OPOWIEŚCI

**Kresy znałam tylko z barwnych opowiadań mego ojca. Na początku lat dziewięćdziesiątych, po latach oficjalnego milczenia, co raz napotykałam publikacje, wspomnienia, albumy przypominające minioną sławę „przedmurza chrześcijaństwa”, jego fascynującą historię i nieklamane piękno. Dopiero latem roku 2001 miałam okazję do konfrontacji tego legendarnego, kresowego świata z rzeczywistością.**

Do wycieczki za wschodnią granicę, zorganizowanej przez Koło Tarnopolan z Opola, zachęcił mnie mój kuzyn Leszek Bielaków i jego żona Danuta. Program wycieczki, obok wspólnego zwiedzania szeregu miejscowości, przewidywał też sporą ilość wolnego czasu, którą uczestnicy mogli wykorzystać według własnego uznania. W rozsianych na Podolu miasteczkach i wsiach poszukiwaliśmy choćby najmniejszych śladów tego, co znało się tylko z rodzinnej legendy.

Przyznam się, że jeszcze zanim nasz autobus przekroczył wschodnią granicę, odkryłam coś nieokreślenie swojskiego i od dawna znajomego w gronie tych zmierzających ku wschodowi ludzi. Czy było to dźwięczne, gardłowe „h”, może niektóre zwroty, głęboki tembr głosu, specyficzne poczucie humoru, znajome piosenki?

A potem... niezmierzone przestrzenie falistego Podola z lasami, polami, łąkami rozbielonymi stadami pasących się gęsi i wyrastające co raz kościoły, cerkwie, ruiny zamków i twierdz, kamienne krzyże i kurhany. To prawda – większość zdewastowana nie tyle zębem czasu, co bestialstwem ludzi chorych z nienawiści, którzy do niedawna posiadali patent na urządzenie rajny na ziemi.

Ale coś jakby się zmieniła. Wyczuwa się, że ta nowo uformowana państwowość spogląda łaskawszym okiem na pamiątki świetności dawnej Rzeczypospolitej. Nie ma już mowy o celowym niszczeniu, raczej – przy pomocy bardzo ograniczonych środków – ocalaniu.



Na przykład Podkaminie. Pamiętam obrazek sprzed dwóch lat: monumentalne mury świątyni na samym szczycie skalistego wzgórza w paśmie Woroniaków. Dawny klasztor oo. Dominikanów, „druga Częstochowa”, jak określił pan Bronisław – jeden z uczestników wycieczki, który był tu jako mały chłopiec. Miejsce

rzezi 300 Polaków zamordowanych przez bojówki ukraińskie w 1944 r.

Dopiero gdy pokonawszy wijącą się w górę kamienistą drogę podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy kompletnie zdewastowaną budowlę. U stóp tego rozpadającego się olbrzyma dwóch młodych ludzi w roboczych ubraniach za pomocą łopaty mieszało wapno w drewnianym pojemniku. Okazało się, że byli to mnisi grekokatolicy z zgromadzenia studytów, którym władze oddały w użytkowanie ten obiekt.

Po upływie roku, wspinając się znowu znaną nam drogą, snuliśmy domysły, jak daleko mogły posunąć się prace przy remoncie kościoła. Naprzeciw naszej grupie wyszedł uśmiechnięty ojciec Metody. Jeden z tych, których zastaliśmy tu przy pracy poprzedniego roku. Powitał nas, poznał i z dumą otworzył drzwi prowadzące do niewielkiej części wyremontowanego kościoła. W urządzonych kaplicy odprawiają się już nabożeństwa. Byliśmy pełni nieskrywanego podziwu.

Obecny z nami ks. Józef ujął rękę młodego zakonnika i odwrócił, ukazując dłoń pokrytą odciskami. *Och, to nic* – powiedział z żażenowaniem ojciec Metody. – *Dzisiaj miałem tylko dyżur w kuchni.*

Wsparliśmy to chlubne przedsięwzięcie nie tylko dobry słowem, ale i skromnym darem materialnym, a na koniec utrwalił się na kliszy to iście ekumeniczne spotkanie.

Do Hołotek – miejscowości, gdzie urodził się nasz kuzyn, zdążyliśmy w upalny dzień wśród tumanów pyłu wciskającego się przez liczne szczeliny mocno wysłużonego autobusu. Leszek, z właściwą u wschodniaków swobodą, od razu nawiązał kontakt z przygodnymi współpasażerami. Wkrótce wszyscy już wiedzieli, że urodził się w Hołotkach, a chrzczony był we wsi Koszłak, w kościele, który zresztą widać było z okien jadącego autobusu.

Hołotki to wieś leżąca na krańcach Rzeszy, nieopodal granicy na Zbruczu, wieś o historii sięgającej XVII wieku. To tutaj matka Leszka była nauczycielką, a ojciec rządcą w majątku ziemskim rodziny Kańskich. Po zabudowaniach dworskich, w miejscu, gdzie był kiedyś park, pozostał tylko wyniosły drzewostan na widniejącym z daleka wzgórzu. Ale potomkowie rezydującej przez trzysta lat na tych ziemiach rodziny Kańskich pozostawili tu swój ślad. Przy okalającym niewielką drewnianą cerkiew cmentarzu znaleźliśmy kamienną płytę, wystawioną w 1988 roku, na której wyryto imiona kilkunastu członków starego rodu.

Utrzymała się natomiast szkoła. Przysiadzista, z kopertowym dachem, stojąca przy rozwidleniu drogi i chroniona starym, kutym z żelaza ogrodzeniem, pamiętającym czasy świetności rzemiosła kowalskiego. Ze względu na okres wakacji szkoła była nieczynna. Z pomocą mieszkańców odnaleźliśmy dość szybko miejscową nauczycielkę, panią Halinę Horoszko. Z ogromną chęcią i radością oprowadziła nas po świeżo wyremontowanej szkole. Zglądaliśmy do schludnych salek o niskich powalach i świeżo wylakierowanych podłogach. Potem nie obyło się bez poczęstunku w gościnnym domu pani Haliny i jej męża.

W drodze do Hałuszczyniec, rodzinnej miejscowości mego ojca, jak w kalejdoskopie przesuwaliśmy mi się przed oczyma barwne i pełne swady opowiadania mego ojca o wigiliach, pasterkach, saniach sunących po skrzypiącym śniegu, zatrzymujących się coraz to przy innym domu i zbierających chętnych do wspólnej zabawy. A wszystko to wśród wrzawy, śmiechu i odgłosu dzwonek.

Figura Matki Boskiej Podkaminerkiej przed kościołem



To tutaj między Hałuszczyńcami i Jacowcami tętniło kiedyś życie spowinowacanych od pokoleń rodzin. Ojciec mój był jednakim, ale ogromną ilość krewnych i powinowatych zawdzięczał nie tyle osiadłej od lat w Jacowcach rodzinie swojej matki Marii z Góreckich, co w większej jeszcze chyba mierze swemu dziadkowi Wiktorowi Solińskiemu, który w 1863 roku, pozbawiony przez władze carskie swego gniazda w Żytomierzu, osiadł w Hałuszczyńcach wraz z potomstwem z dwóch wcześniejszych małżeństw oraz trzecią żoną, Józefiną Hermannsdorfer – babką mego ojca.

Jak silne musiały być więzi łączące to środowisko, skoro te strony odwiedzam z moją kuzynką Luizą Zofią Feliks – wnuczką Floriana Góreckiego, z którą wspólnego przodka doszukałyśmy się aż siedem pokoleń wstecz.

Posuwając się szerokim gościńcem w stronę wioski, już z daleka można dostrzec zarysy kościoła. Kościół ten, od 1870 roku, przetrwał wszystkie zakręty historii, pozostając czynny przez całe lata wojen i komunizmu. Powiedziała nam o tym pani Halina Witiak, u której wraz z kuzynką mieszkaliśmy w czasie naszej wycieczki. W latach, kiedy w Tarnopolu nie było czynnego ani jednego katolickiego kościoła, właśnie tu, do Hałuszczyńiec przyjeżdżali Polacy na msze święte.

Przedziwnym zrządzeniem losu w momencie, kiedy podjeżdżaliśmy pod kościół, wyprzedziła nas czerwona łada, z której wysiadły dwie kobiety (jak się później okazało – siostry zakonne) i otworzyły zamknięte na klucz drzwi kościoła.

A wewnątrz – jakby czas zatrzymał się w miejscu. Dziewiętnastowieczne ławy i konfesjonały, dwa boczne ołtarze ze starymi obrazami, a przy nich figury świętych, pochylone, jakby ciągle wsłuchujące się w szept modlitwy. Na ścianie tablica ufundowana przez przyjaciół i parafian, upamiętniająca pierwszego proboszcza z lat 1870–79, Jana Stephany.

Z zagadniętym przypadkowo młodym mieszkańcem Hałuszczyńiec – Polakiem – Bogusławem Żądłą ruszamy w kierunku cmentarza. Tu, obok nowszej części, rozległy teren porośnięty krzewami i zaroślami, wśród których tkwią metalowe i kamienne krzyże oraz nagrobki. Brniemy przez te

chaszczce, każde w innym kierunku, w nadziei, że znajdziemy coś znajomego. I nagle słyszę wołanie kuzynki: *Słuchaj, tu jest twoje nazwisko!* Podchodzę bliżej. Tuż przy sobie stoją dwa duże metalowe krzyże z czytelnymi tablicami: *Emil Soliński... żył lat 84 zm. w 1943 r.* – to przyrodni brat mojego dziadka, a obok – Józef Myślicki, szwagier Emila. Potomkowie Józefa żyją we Wrocławiu. Nieco dalej kamienny krzyż z napisem – *Kozłowscy*, to też rodzina.

Dziwne to uczucie – gdy przez dziesiątki lat pierwszego listopada zapalało się świece na przypadkowych, nieznanach mogiłach.

Oderwani od korzeni, po blisko sześćdziesięciu latach milczenia mamy nareszcie możliwość mówienia i docierania do tych miejsc, tak bliskich naszym ojcom. Na tych ziemiach żyją teraz różni ludzie. Także i ci, którym zawierucha wojenna i reżim dwóch totalitaryzmów poplątały losy w niemniejszym stopniu niż wysiedlonym stąd Polakom. Są oni w znacznej części spadkobiercami tej przestrzeni kulturowej, jaką była kiedyś Rzeczpospolita. Bogactwo tej ziemi tworzyli przecież ludzie różnych narodowości i obyczajów. Rzeczpospolita poprzez swoje prawa, przywileje i tolerancję religijną umożliwiła rozwój i współistnienie tego kulturowego tygla.

Czy dzisiaj potrafimy znaleźć to, co nas łączy, a nie dzieli?

---

ALICJA KATARZYNA OLSZOWSKA, z d. Solińska, ur. we Lwowie. Mgr inż. rolny, wieloletnia pracownica Wydziału Rolnictwa w Urzędzie MK i Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie, główny specjalista w Małopolskiej Hodowli Roślin, obecnie na emeryturze. Członek Klubu Tarnopolan w TMLiKPW w Krakowie.

---



Kościół w Hałuszczyńcach

Stanisław S. Nicieja

## STOROŻKA – DOM NAD URWISKIEM

*Do kilku artykułów zamieszczonych w poprzednich numerach CL (ostatnio w nrze 1/12) na temat Skolego i Storożki dodajemy jeszcze poniższy (nieco skrócony), nadesłany nam przez p. prof. S.S. Nicieję. Dziękujemy i przepraszamy!*

**Przy wjeździe do Skolego, na urwisku stromej góry obok czynnego kamieniołomu baronów Groedłów, młodzi małżonkowie, lwowscy artyści, Wanda z domu Monné (rzeźbiarka, niegdyś narzeczona i muza Artura Grottgera) oraz Karol (malarz) Młodniccy wzniesli w 1882 roku duży drewniany dom z ogromną, wysuniętą na stok, porośłą winem werandą.**

Nazwali go Storożka, bo w zamierzonych czasach była tam strażnica służąca do obserwacji okolicy. Rozciągał się z niej fascynujący widok na leżące w dole, otoczone wieńcami gór, przecięte zygzakami rzeki Opór miasteczko Skole – z kościółkiem, cerkwią, synagogą i ratuszem. I od razu ten prosty w formie, ale obszerny, kryty gontem dom zaczął się wpisywać w legendę całej okolicy.

Młodniccy wybudowali swą letnią siedzibę z myślą o córce Maryli (1873–1930), chorowitej, zagrożonej gruźlicą, a w Skolem dla osób chorych na płuca było wręcz balsamiczne powietrze. I od dziewiątego roku życia do wybuchu I wojny światowej, a więc przez 32 lata, Maryla spędzała tam wszystkie letnie, a czasem i jesienne miesiące. Nazywała to miejsce „najmilszym zakątkiem świata”, który był dla niej tym, „czym dla ptaka powietrze, dla ryby woda”.

### MARYLA WOLSKA

Z owej kruchej Marylki wyrosła wybitna polska poetka, która po wyjściu za mąż za inżyniera wynalazcę i bogatego przemysłowca, właściciela szybów naftowych, Wacława Wolskiego (1863–1922), pod jego nazwiskiem weszła do historii literatury polskiej. Maryla Wolska od najmłodszych lat wychowywała się w świecie artystów. Jej ojciec był przyjacielem Jana Matejki i Artura Grottgera, dwóch najwybitniejszych malarzy tej epoki. Jej rodzicami chrzestnymi i stałymi gośćmi w domu byli: świetny portrecista Henryk Rodakowski i poeta, publicysta Kor-

nel Ujejski – romantyk, cieszący się w Galicji wyjątkową estymą, zwłaszcza po opublikowaniu poematów *Chorał* i *Maraton*.

Storożka w lecie, a willa we Lwowie, gdzie Wolscy mieszkali przez pozostałe miesiące roku, były nie tylko salonomi literackimi, ale też miejscem poetyckich spotkań awangardowej grupy „Płanetnicy”, do której należeli młodzi poeci, prozaicy i intelektualiści: Leopold Staff, Edward Porębowicz (poeta, ale też romanista, genialny tłumacz Dantego i Byrona, profesor uniwersytetu), Józef Ruffer, Antoni Stanisław Mueller, Jan Zahradnik, Kornel Makuszyński, Ostap Ortwın (znakomity krytyk). Tak więc życie Maryli Wolskiej upływało w klimacie wysokiej kultury artystycznej i intelektualnej. A ponieważ zbiegało się to z jej wyjątkową wrażliwością i oryginalnym talentem, musiało zaowocować znakomitymi utworami literackimi.

Najpopularniejszym dziełem Maryli Wolskiej był i jest tomik wierszy *Dzbanek malin*, wydany w 1929 roku, w którym w pięknych





poetyckich metaforach zapisała ulotność chwil, w tym i tych dla niej najpiękniejszych, które przeżyła w Storożce. Zmarła niespodziewanie po ataku kamieni żółciowych, w chwili gdy jej talent osiągnął apogeum. Krytycy nie mogli odżałować tej nagłej, niespodziewanej straty. Przemawiający nad jej grobem na Łyczakowie prof. Kazimierz Wrończycy nazwał jej twórczość „złotą struną, którą niechcący przerwał skrzydlaty bōżek snu Hypnos”. Sześćdziesiąt lat później wybitny filolog, Artur Hutnikiewicz, pisząc syntezę historii literatury polskiej, stwierdził, że twórczość Wolskiej mimo upływu lat nie traci nic ze swej świeżości uczuć i atrakcyjności.

### MITYCZNY ŚWIAT STOROŻKI

Obok baronów Groedlów to właśnie Maryla Wolska, a później jej córka, Beata Obertyńska, odegrały największą rolę w zmitologizowaniu Skolego i wprowadzeniu go do literatury polskiej.

Dom nad urwiskiem obrósł legendą właśnie dlatego, że przez dziesięciolecia był miejscem, gdzie w lipcu i sierpniu ściągała regularnie polska bohema artystyczna i intelektualista, głównie ze Lwowa. Któż tam nie przyjeżdżał! Czasem na dzień, czasem na tydzień, a bywało, że i na cały sezon. Wśród przyjezdnych i bywalców w Storożce przeważali krewni artystycznej rodziny Młodnickich i Wolskich, ale również liczne grono ich przyjaciół i znajomych. Wśród nich, oprócz wymienionych wyżej poetów, Jan Kaspro-wicz – autor hymnów i rektor Uniwersytetu Lwowskiego, Władysław Bełza, który swój znany wiersz *Katechizm dziecka polskiego*, zaczynający się od słów *Kto ty jesteś? Polak mały...* dedykował najstarszemu synowi Maryli – Ludwikowi Wolskiemu.

Przyjeżdżali tam również rzeźbiarze i malarze, jak choćby Tomasz Dykas – autor pomników lwowskich, w tym na Łyczakowie, malarka Zofia Albinoska, która tam namalowała portret Staffa. Nie brakowało profesorów Politechniki Lwowskiej, chemików i mechaników zaprzyjaźnionych z Wacławem Wolskim, który w tym czasie prowadził wielkie wiercenia w Chodnicy i Borysławiu w poszukiwaniu ropy naftowej. Przyjeżdżał tam też Lucjan Tatomir – wybitny pedagog, publicysta, globtroter, autor poczytnej książki *Ferie alpejskie*. W Storożce bywał również uczeń Frydery-

ka Chopina, znakomity pianista, jeden z twórców polskiej szkoły pianistycznej, a zarazem kompozytor Karol Mikuli. Odwiedzał Storożkę również fotografik Arnold Penther, pierwszy narzeczony Maryli Wolskiej, i to on uwiecznił na zdjęciach ten niezwykle dom nad urwiskiem.

W Storożce Maryla Wolska urodziła córkę Beatę Obertyńską (1898–1980), również wybitną poetkę, ale też aktorkę i pisarkę, która po przejściu przez łagry Sybiru i po wyjściu stamtąd z armią Andersa zmarła na emigracji w Londynie, gdzie napisała m.in. wstrząsający pamiętnik *W domu niewoli*, będący jedną z pierwszych relacji o sowieckich łagrach w literaturze polskiej. Jest też w dorobku Beaty Obertyńskiej tom opowiadań *Ziarnka piasku*, w którym akcja dwóch z nich – *Storożka* i *Hryń i Antonina* – dzieje się w Skolem.

– *Jeździliśmy tam – pisała Obertyńska – tylko na lato. Na powietrze, jak lubiły mówić służące. Rokrocznie, odkąd siebie pamiętam, stacyjki od Lwowa do Skolego – recytowaliśmy po kolei, jak inwokację Litanii Loretańskiej.*

Storożka znalazła bardzo mocne odbicie w twórczości Maryli Wolskiej. W jednym z jej ostatnich wierszy, gdzie żegnała się ze światem, czytamy:

*Nie wiem jaki tam będzie świat wtóry  
Jakie grzesznych radości ominą  
Moje niebo musi pachnieć świerczyną  
W moim niebie będą lasy i góry  
I rzeka tam szumieć powinna  
Ta jedna jedyna, ona  
Ta jak żadna inna Zielona*

To Opór był tą rzeką Zieloną, ze względu na kamienie tego koloru kryjące jego dno.

W lipcowe oraz sierpniowe dni oraz wieczory Storożka tętniła życiem i gwarem.



W wiklinowych, wyplatanych fotelach, na wygodnej, przestronnej werandzie toczyły się rozmowy, dyskusje, szkicowano landszafty, czytano na głos wiersze i opowiadania, śpiewano pieśni frywolne i patriotyczne oraz słuchano muzyki płynącej z wniesionego tam przez tragarzy w wielkim trudzie fortepianu, na którym koncertował Karol Mikuli. Ściany pokoi zdobiły obrazy, akwarele i sztychy m.in. Henryka Rodakowskiego, Kazimierza Sichulskiego, Zofii Albinoskiej oraz gospodarzy – Wandy, Karola i Maryli Młodnickich.

### RAJ ZBIERACZY RUNA LEŚNEGO

Storożkę otaczał „istny ocean zieleni”, wszędzie pachniała żywica świerkowa, a na nasłonecznionych wzgórzach okalających Skole czuło się aromat macierzanki, poziomek i górskiej gencjany. Był tam prawdziwy raj dla zbieraczy ziół i leśnego runa. W gorące letnie wieczory w Storożce, podobnie jak i w innych rozsianych wokół Skolego domach i willach w powietrzu unosiły się zapachy soków z malin, ostrężnic i jagód, które wyciskały gospodynie smażąc równocześnie dżemy, konfitury i różnego rodzaju owocowe wiktuały.

Z miedzianych rondli, żeliwnych i glinianych garnców unosił się rajski aromat klarujących się musów jagodowych i malinowych wywarów. Wszystkie te wakacyjne kulinarne poczynania trafiły później do literackich opisów i do lirycznych wierszy, podobnie jak grzybobrania w Storożce, które były tam szczególną atrakcją dla liczного towarzystwa.

Okolice Skolego zadziwiały bowiem urodzajem rydzów, maślaków, prawdziwków, czerwonych kozaków, podpieńków i gołąbków. Chłopki z sąsiednich wsi w barwnych wyszywanych koszulach przeczesywały te lasy, zbierając grzyby do szerokich chust, i znosiły na targ do Skolego. Był tam jeden z największych targów grzybowych w całej Galicji. Zdarzało się, że sprzedawano na nim grzyby giganty, szczególnie czerwone kozaki i kasztanowe prawdziwki, które osiągały czasem kilogramową wagę. W pocię-

tych jarami lasach skolskich spotkać można było grzybiarzy-turystów, którzy ściągali tam ze Lwowa, Stanisławowa, Stryja, Sambora, a wśród nich nie brakowało bywalców Storożki.

We wspomnieniach Beaty Obertyńskiej znajdujemy wiele literackich opisów grzybobrań. – *Na grzyby szło się do dnia, kiedy las był siwy i kapał, a gałęzie z nocy powiązane jeszcze pajęczyną. Ze sobą – ani kosza, ani torby, żeby grzybów nie spłoszyć.*

*Najwyżej z dużą kolorową chustą, do której zbierano grzyby. Bo grzyb to bardzo tajemnicza istota! Zwłaszcza prawdziwek. Jednych lubi, innych unika. Kto nie ma szczęścia do grzybów, może cały dzień wałęsać się po lesie i prawdziwka nie zobaczyć! (...) Powrót z lasu z grzybami był osobnym przeżyciem dla Storożki. Mimo porannej godziny kto żyw wylegał przed dom koło kuchni. Zaczynało się od selekcji: te do suszenia, te na marynatę, te na kolację.*

Grzybobrania i wędrowki po lesie zapamiętał też ze Skolego prof. Kazimierz Żygulski – wybitny socjolog, później minister



Ostatnie zdjęcie Maryli Wolskiej na tle panoramy Lwowa, Zaświecie 1930

# POEZJA

kultury, który z bratem Zdzisławem, historykiem sztuki, spędzał tam wakacje. I szczególnie utkwiły mu w pamięci wielkie, piękne motyle i ruchliwe salamandry przemykające między kamieniami.

Inną atrakcją dla letników w Skolem były kąpiele w Oporze, tej „Zielonej rzece”, którą szczególnie ukochała Maryla Wolska. Jej córka Beata wspominała: *Rzeka szła szerokim korytem, po kamienistym dnie, była miejscami płytka, miejscami głęboka, czasami rozlewała się płytko między niskimi brzegami, to znów spadała wodospadem. Każdy więc mógł wybrać, jaką kąpiel woli: czy taką z pływaniem w prądem i pod prąd, czy w huczącym ukropie wspięniowych wodospadów, gdzie nie słyszało się własnych słów...*

## DOBOSIEWICZOWIE – OPIEKUNOWIE STOROŻKI

Storożka tętniła życiem w lecie. W zimie wyludniała się zupełnie. Czasami zostawała tam któraś z ciotek Młodnickich. I wtedy opiekę domu nad urwiskiem sprawował Andrzej Dobosiewicz, wspomagany przez żonę Teklę. Przyjaźń Młodnickich z Dobosiewiczami zaczęła się od nieszczęścia. W nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek roku 1888 wybuchł w Skolem potężny pożar, który od rana strawił prawie połowę miasteczka. Płomienie gnane wiatrem zapędziły się aż do sąsiedniej wsi Dębina, gdzie później domek letniskowy wybudowała rodzina poety Stanisława Gottfrieda. W Skolem domy straciło ponad 200 rodzin, w tym Dobosiewiczowie, których znali Młodniccy, bowiem Andrzej, z zawodu szewc, nie tylko robił świetne buty, ale jako człowiek uczynny pomagał właścicielom Storożki przy różnych okazjach, m.in. przy zakupie ziemi. Gdy więc Dobosiewiczom pożar strawił dach nad głową, Młodniccy zaproponowali im, aby na czas odbudowy zamieszkali w części gospodarczej Storożki. Wtedy to Andrzej i Tekla sprowadzili się do Storożki z synkiem Stasiem. I dało to – jak napisała w swoich wspomnieniach Beata Obertyńska – *początek już nie znajomości, ale do trzeciego pokolenia trwającej przyjaźni z tymi najzacniejszymi, szanowanymi ludźmi, od których Storożka na przestrzeni półwiecza doświadczyła niezliczonych dowodów sąsiedzkiej życzliwości i oddania. [...]*

## Maryla Wolska

### *Dusza moja*

Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną,  
Co w las poszła o świcie, z dzbankiem, na jagody,  
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,  
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodej...  
Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną.

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,  
Ścieżką idzie samotną, wolna jak ptak w lesie,  
W pas się słońcu jednemu kłania o poranku,  
Niby wichur swobodna przez życie się niesie,  
Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku...

Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;  
Własna, swoja, niczyja, nie znana nikomu,  
W zaświaty boży swe serce poniesie dziewczęce,  
Niby malin, wieczorem, pełny dzban do domu –  
Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce!

(Dzbanek malin, 1929)

### *Szczęście*

Obiecało się dziewczynie  
W pięciolistnym biezie kwitnące,  
W czterolistnej koniczynie,  
Na rosami srebrnej łące...

Letnim rankiem przyszło do niej,  
Błyskiem słońca przyszło w swaty,  
Na miodowej zboża woni,  
Przez lny sine i bławaty...

Bez żegnania pierzchnęło potem,  
Jak ta mgła, co łąką płynie,  
Przez ścierniska wiejąc lotem  
Na jesienną pajęczynię!...

(Symfonia jesienna, 1901)

Kornel Makuszyński

# Koncert Paderewskiego

*Ze wspomnień dawnego lwowskiego  
szóstoklasisty*

Dnia jednego wieść biegła przez lwowskie ulice i pukała w okna, wołając zdyszczanym głosem: „Paderewski przyjeżdża!... Paderewski!”

Tego nie spodziewaliśmy się nigdy. Muzykalne serce szóstej klasy przestało bić na chwilę. Homer zakrył twarz ręką, pojąwszy, że nic tu teraz po nim. Równania algebraiczne nie chciały się zrównać, więc ich skorupy rzucono za piec. Machnął na nas ręką poważny Wergilli, widząc, że potężny obłęd ogarnął świętą klasę szóstą. Zadrżał cały Olimp...

Paderewski przyjeżdża! Zjawi się ten, o którym nie śmieliśmy marzyć. Wiedzieliśmy o nim wszystko, jak astronomowie o niedostrzegalnej gwiazdzie, krążącej gdzieś w zaświatach, lecz któż mógł przypuszczać, aby ta gwiazda najjaśniejsza w promienistym swoim pochodzie na naszym nikczemnym zjawiała się widnokrepu?

Lwów oszalał. Bo Lwów był, jest i będzie najmuzykalniejszym z miast polskich. To było najdziwniejsze, że dostojne głowy płonęły tym samym płomieniem co nasze.

Wielka, światłem zalana sala dyszy przytłumionym gwarem, jak rozbrzęczany ul. Już w niej nie ma miejsca, więc ustawiono krzesła na obszernej scenie.

Tłum ludzi otoczył ogromne, czarne, połyskami światła upstrzone pudło fortepianu. To słynny instrument marki Steinway, czarodziejska maszyna, w której Paderewski wozi najpiękniejszą muzykę świata.

Za chwilę usiądzie przy fortepianie.

Co czyni w tej chwili?

O, my wszystko wiemy! W tej chwili, zamknięty od kilku godzin w jakimś pokoju, jest sam. Przygotowuje się, skupia, oddziela się od świata i małych jego spraw.

Bo Paderewski to nie tylko wirtuoz, co oszołomi tłumy, zalawszy je brylantową ka-

skadą dźwięków. O, nie! To wielki w swej pokorze kapłan, co odprawi misterium na cześć sztuki najczystszej, boskiej harmonii. Dlatego jest teraz sam. Dlatego drży. Dlatego owinął się milczeniem, jak biała ofiarnicza szata. Dlatego, gdy do swego muzycznego zbliża się narzędzia, jest błądny i jakby cierpiący... Cierpieniem jego tajemnym, głęboko skrytym, jest trwoga. Wydaje się, że zbliżając się ku pięknu nieśmiertelnemu, które ma wywołać zaklęciem z mrocznej przepaści wśród gwiazd, powtarza szeptem: „Nie jestem godzien... nie jestem godzien...” On, mistrz, z wielkich największy!

Świat cały skłonił przed nim głowę, wielcy tej ziemi, królowie i królowe powstają, kiedy on się pojawia, we wielkie milczenie zapada zgłębienie, tumult i zaborcze szaleństwo, budujące babelskie wieże, a on z pokorną trwogą zbliża się do kastalskiego źródła, z którego bucha to, co nieśmiertelne. Tak mu każe czynić wielkość, bo wielkość, bo wielkość prawdziwa nie jest nigdy zuchwale pyszna.

Idzie!... idzie!... Wszyscy powstają z miejsc.

Odziany jakoś inaczej niż wszyscy wirtuozowie, których oglądaliśmy dotąd. Wygląda tak, jak go namalował słynny malarz angielski Burne Jones: głowa apollinowa w aureoli bujnych, złotawych włosów.

Podniósł swe prześliczne, o, jakże sprawowane ręce.

Codziennie przez kilka godzin ręce te, zwinne jak węże, przebiegają nieskończoną ilość razy po klawiaturze, bo ten mistrz nie ustaje ani na jedną chwilę, lecz szuka, wciąż szuka: idealniejszego dźwięku, pełniejszego tonu, bardziej wzruszającej słodczy, albo pioruna, co śpi w gęstwinie metalowych strun. Rozpoczął te męczące poszukiwania, kiedy był dzieckiem, dziś ma lat siedemdziesiąt sześć i szuka jeszcze i nasłuchuje\*. Do największego dotarł szczytu, lecz pragnie wlecieć jeszcze wyżej. Chyba aż tam, gdzie zgrzyt żaden z ziemi melodii nie mać!...

Sienkiewicz mówi, że w rzymskim cyrku było tak cicho, iż słychać było szelest węglików, osuwających się z pochodni. W tej sali jest chyba ciszej jeszcze. Słychać stukot serc. Nikt nie śmie odetchnąć. I te głosy srebrne, i nasze zielone. Wiedzą, że to nie koncert, lecz nabożeństwo. Znajdujemy się nie w sali koncertowej, lecz w wyniosłej świątyni ducha. Muzyka za chwilę rozwali te

mury, a nasze dusze, wzruszeniem uskrzydłone, wylecą aż pod czyste niebo, gdzie pieśń brzmi kryształowym tonem, a promienie gwiazd cichutko uderzają o siebie, najczystszy wydając dźwięk.

Już gra!

Nie, on nie gra, on się modli...

Otoczył się dźwiękami, szumem, pieśnią, melodią, hymnem...

Przymknął oczy, zatracił się, rozplątał w nadludzki jakimś upojeniu.

To już nie Paderewski w staromodnym czarnym obleczeniu i białej kamizelce, to już nawet nie ten, o którym powiedział muzyk francuski Saint-Saëns, że „to geniusz, który gra też na fortepianie”, lecz tajemniczy guślarz, co na tajemnym zebraniu wywołuje duszę narodu, aby przyszła promienista... I dźwiękami ją zaklina, aby łaską swoją dotknęła naszych serc. Kaja się przed nią, wielbi ją, śpiewa jej hymn uroczysty. A na nas pada nabożny lęk. Nam się wydaje, że pieśń odwieczna naszej ziemi, nabrzmiała jej sokami, jej potem i krwią, woła ku nam:

– Na kolana przed Duchem Polski, co jak orzeł zlatuje na nas spod niebiosów!

Coś nas chwyta za gardło, coś nasze serca ścisza: to Chopin śpiewa rycerską balladę o ojczyźnie, a Paderewski, jego służka serdeczny, gra mu do wtóru. Fortepian staje się siedliskiem burzy, matecznikiem piorunów. Ręce Paderewskiego kietznają je, jak rozhukane konie. Czyni to z widoczną męką, bo tak wygląda, jak gdyby w twarzy nie miał kropli krwi. Wszystko przelał w dźwięki, więc dźwięki są purpurowe. Ta burza wali się na nas, a my chylimy się jak kłosa na polu.

Słychać dudniące tupoty husarii. Słychać lwie pomruki tych armat, o których powiedziano, że je Chopin ukrył wśród róż. Słychać śpiewającą wielkimi głosami: potęgę, poszumy orlich skrzydeł, tumult wojny, „trąby Gradywa”...

Paderewski gra historię...

Polak gra Polskę...

Żaden pianista na świecie tego nie potrafi. Serca w nas się tłuką. Ten i ów zakrył ręką oczy, jakby go oślepiła łuna pożarów, dymiący kurz krwi... Inny położył rękę na sercu, jakby je chciał ochronić, bo ten nielitościwy człowiek przy fortepianie wyrывa mu je żywcem z piersi...

O, dajże nam odpocząć, pozwól nam schwytać oddech! Nie targaj, och, nie targaj



Ignacy Paderewski. Portret malowany przez Artura Szyka (lata międzywojenne), prezentowany na wystawie w Pałacu Sztuki w Krakowie, III 2012

tak biednych, cichych ludzi, co długo spali... Przysięgamy umęczonemu sercu Chopina, że nigdy i przegniły nie zapomnimy na jedną chwilę o tej ojczyźnie, której imię wybucha w tej rycerskiej balladzie!

Paderewski uciszył burzę, zdławił ją rękami. Pioruny przewaliły się w bulgotanie...

I znowu gra...

Pobił nas lękiem, przeorał sumienia, z serc powyrwał włókna. Duszę każdą chwycił, jak na arkan, i powłókł do stóp Ojczyzny, tej groźnej, sprawiedliwie walczącej i wielkiej, nawet w nieszczęściu.

A teraz śpiewa o tej, co jest dla swoich łaskawa, strzecha lazururowa, jak chłopska chałupa, nakryta, spowita smutkiem rozlewnych mgieł, zalana srebrnym, księżycowym potopem, po której miłość i tęsknoty snują się jak jesienne, błędne pajęczyny... Jest wieczór, gwiazdy palą się, jak złote świeczki... Gdzieś w mazowieckiej karczmie tańczą szeroko, zamaszycie, zwałiscie, tęgie wybijając rytmy...

Raduj się, ziemio polska, bo jesteś śliczna i prześliczna!...

Tańcz i śpiewaj tak, jak czynisz to od lat tysiąca, własnym tańcem, własną pieśnią, którą Chopin zapisał na wieki wieków... Bądź sobą!...

Patrz...

Paderewski jest wzruszony, przejęty, całą duszą zasłuchany w twoje głosy, o ziemio, polska ziemio!...

Co to znaczy?  
Czemu my wszyscy mamy łzy  
w oczach?

Co on z nami czyni, ten człowiek tajemniczy, co zamiast uderzać w martwe struny, bije w nasze serca? Nie patrzy na nas, jakby zapomniał o nas...

Paderewski rusza, a my za nim, jak urzeczeni...

Odbywa się wielka, niezrównana parada dostojeństwa, powagi, wielkości...

Posuwistym krokiem stąpa sława, wzniosłość, świetność...

„Taki mi się snuje dramat, jak polonez...”

Idą Polacy: od purpurowej wspaniałości – przez krzyżowe drogi – do zorzy, co się różowi gdzieś na skraju nieba. Nikt nie jęczy, nikt nie szlocha. Dumna, wielka, szlachetna duma stąpa w pierwszej parze poloneza...

Paderewski ma na twarzy hardość i zaciętość.

„To już ostatni, co tak poloneza wodzil!”

I znowu gra...

A potem jeszcze, i jeszcze...

Wszystko z siebie wygrał, i serce, i duszę. Nie zostawił sobie nic, chyba te ciężkie krople potu na czole. Już nie ma sił. Ślania się, nieludzko zmęczony. A żeśmy z nim po ojczyźnie wędrowali, jeszcze nam za to dziękuje i kłania się nisko, w pas po chłopsku. Na świecie tego gestu pojąć nie mogli, ale my rozumiemy...

Wyciągamy ku niemu ręce, gdy odchodzi...

Orfeusz, co potrafi poruszać kamienie...

Zuchwała szóstka klasa nie wstydziła się po raz pierwszy, że miała oczy pełne łez.

A nazajutrz zdumiał się Homer, że heksametry stąpają w rytmie poloneza... A wergiliuszowe wiersze tańczyły po chłopsku i z przytupywaniem, tak że tynek leciał ze szkolnej powały...

Pan profesor tylko się nie dziwił, bo był na koncercie i wciąż bardzo podejrzanie chwycił się ręką za niby srogie serce...

\* Ignacy Jan Paderewski urodził się w 1860 r. w Kuryłowce, zmarł w 1941 w Nowym Jorku.

**Tomasz J. Kotliński**

# Aleksander Mniszek Tchorznicki (1851–1916)

**Aleksander Mniszek Tchorznicki to współcześnie już niestety trochę zapomniana postać, która przez okres siedemnastu lat stała na czele sądownictwa Wschodniej Galicji i Księstwa Bukowiny. Aleksander Tchorznicki, jako prezydent Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie, był zatem jedną z najważniejszych osób w kraju, a wobec formalnego rozdzielenia administracji od wymiaru sprawiedliwości, jego pozycja równa była Namiestnikowi Galicji. Postać Aleksandra Tchorznickiego warta jest przypomnienia jednak nie tylko z racji zajmowanego przez niego urzędu, a raczej z uwagi na jego działalność, która według mu współczesnych miała być bez wątpienia pamiętana także u potomnych.**

## OD URODZENIA DO PREZYDENTURY

Aleksander Tchorznicki urodził się w szlacheckiej rodzinie 23 I 1851 r. w Cucułowcach na terenie Galicji Wschodniej. Ojcem Tchorznickiego był Konstanty, matką zaś Emilia Polikaprow. W 1867 r. Aleksander Tchorznicki wstąpił na Uniwersytet Lwowski jako student na Wydziale Prawa i Umiejętności Politycznych. Po ukończeniu studiów w grudniu 1871 r. Tchorznicki rozpoczął odbywanie praktyki conceptowej przy lwowskiej Prokuraturii Skarbu. We wrześniu 1872 r. uzyskał na Uniwersytecie Lwowskim dyplom doktora prawa. Pracę w Prokuraturii Skarbu zakończył w marcu 1873 r. i w tym samym czasie zaczął praktykę sądową. Przez cały kolejny rok pełnił służbę przy Sądzie Powiatowym w Mościskach<sup>1</sup>. W lipcu 1873 r. został mianowany auskultantem sądowym. W maju 1875 r. minister sprawiedliwości w związku z wprowadzeniem w Galicji Wschodniej ksiąg gruntowych dokonał aktu nominacji na stanowiska adiunktów sądów powiatowych

dla dwudziestu trzech osób. W grupie tej znajdował się również Aleksander Mniszek Tchorznicki<sup>2</sup>. Został on mianowany adiunktem sądowym w Sądzie Powiatowym w Jarosławiu. W następnym roku został przeniesiony w tym samym charakterze do Lwowa. Kolejne lata spędził Tchorznicki w Wiedniu. W 1877 r. otrzymał posadę w Najwyższym Trybunale Sprawiedliwości, rok później zaś został przeniesiony do ministerstwa sprawiedliwości. Ukoronowaniem służby w ministerstwie było otrzymanie w 1880 r. stanowiska sekretarza. W dwa lata później cesarz nadał mu tytuł podkomorzego. W 1883 r. mianowano Tchorznickiego radcą sądowym, wrócił do Lwowa, by objąć urząd przy tamtejszym Sądzie Krajowym. Powyższe daty pokazują, że Aleksander Tchorznicki bardzo szybko piął się po kolejnych szczeblach kariery. Jak sam jednak w późniejszych latach podkreślał, że byłby zarozumiały, gdyby twierdził, iż wszystkie te awanse zawdzięczał swoim genialnym zdolnościom. Były one w pewnej mierze wynikiem zbiegu okoliczności, przy czym z dumą podkreślał, że przez czterdzieści lat swojej pracy nigdy nikogo nie prosił o awans lub odznaczenie, a także w żaden sposób o nie nie zabiegał.

Prezydentem Sądu Obwodowego w Kołomyi Aleksander Tchorznicki został mianowany w listopadzie 1887 r. W okresie pobytu w Kołomyi zasługą nowego prezydenta było powołanie do życia miejscowego stowarzyszenia prawników, na wzór innych podobnych zrzeszeń, które od kilku lat istniały przy trybunałach sądowych. Kołomyjskie Towarzystwo Prawnicze ukonstytuowało się w 1888 r. i na swoim pierwszym posiedzeniu wybrało prezesem prezydenta Tchorznickiego<sup>3</sup>. Na stanowisku prezydenta Sądu w Kołomyi pozostawał Tchorznicki do początku 1890 r., kiedy to został przeniesiony do Wiednia, gdzie objął w ministerstwie sprawiedliwości referat do spraw Galicji. W styczniu 1890 r. cesarz najwyższym postanowieniem mianował Aleksandra Tchorznickiego radcą sekcyjnym w ministerstwie sprawiedliwości<sup>4</sup>.

W grudniu 1891 r. Tchorznicki został mianowany wiceprezydentem Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie. Po przyjeździe do Lwowa w dniu 1 lutego złożył przysięgę służbową wobec swojego przełożonego. Z kolei w trzy dni później odbyło się uroczyste powitanie nowego wiceprezydenta

przez gremium radców lwowskiej apelacji. Po przemówieniu prezydenta Simonowicza, Aleksander Tchorznicki podziękował za miłe przyjęcie, poprosił sędziów o służenie mu radą i doświadczeniem oraz zaapelował o wzmoczenie sił w pracy dla dobra i pomysłności kraju<sup>5</sup>. To przemówienie świadczy o skromności urzędowej Tchorznickiego oraz jego przywiązaniu do Galicji. Warto przy tym zaznaczyć, że Tchorznicki nigdy nie krył też swojej lojalności wobec domu cesarskiego, czego dawał wyraz przy okazji licznych spotkań i uroczystości urzędowych. Trudno jednak czynić mu współcześnie z tego tytułu jakiegokolwiek zarzuty.

### PREZYDENTURA

W styczniu 1895 r. dotychczasowy prezydent Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie Jakub Simonowicz<sup>6</sup> złożył wniosek o rezygnację z zajmowanego urzędu i przeniesienie go w stan spoczynku, co oznaczało konieczność obsady prezydentury Sądu. Minister sprawiedliwości zaproponował urząd prezydenta Aleksandrowi Tchorznickiemu. Objęcie urzędu prezydenta Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie stanowiło bez wątpienia u k o r o n o w a n i e kariery sędziowskiej. Przez ten akt nominacji Tchorznicki stał się zwierzchnikiem całego sądownictwa Wschodniej Galicji i Księstwa Bukowiny, a nadto podległy mu sąd był właściwym



w sprawie odwołań od decyzji konsulatu w Księstwie Mołdawskim. Formalne objęcie urzędu miało miejsce 28 stycznia 1895 r. Po przyjeździe do Lwowa zamieszkał Tchorznicki w kamienicy położonej przy ulicy Mickiewicza 24<sup>7</sup>. W tym mieszkaniu przebywał najpewniej do czasu wybuchu pierwszej wojny światowej. Przed wkroczeniem do Lwowa wojsk rosyjskich opuścił miasto. Tchorznicki był też właścicielem dóbr ziemskich położonych w Pisarowcach pod Sanokiem.

Wkrótce po objęciu prezydentury Tchorznicki przystąpił do przygotowywania apelacji lwowskiej na przyjęcie nowych cywilnych ustaw procesowych, które miały wejść w życie za dwa lata, a które w sposób zasadniczy zmieniały nie tylko zasady austriackiego postępowania sądowego, ale także wymagały zmian w samym urzędowaniu wewnętrznym sądów. Do tego zadania prezydent Tchorznicki podszedł niezwykle odpowiedzialnie. Już pod koniec 1895 r. wyjechał do Niemiec, a celem jego podróży było zapoznanie się z praktyczną stroną stosowania pruskiej procedury cywilnej<sup>8</sup>. Pod koniec roku 1896 Tchorznicki wydał instrukcję w sprawie nowych ustaw procesowych oraz zorganizował dla sędziów czterotygodniowe kursy według ustalonego przez siebie programu. Brał także osobisty udział w charakterze prowadzącego oraz obserwatora w kursie organizowanym we Lwowie i Tarnopolu<sup>9</sup>. Nadto w ciągu kilkunastu miesięcy wydał kilkadziesiąt instrukcji oraz zarządzeń mających na celu odpowiednie wprowadzenie galicyjskiego sądownictwa w „nową erę”. Nowe ustawy procesowe weszły w życie z dniem 1 stycznia 1898 r. W dniu następnym we Lwowie odbyły się uroczystości związane z rozpoczęciem obowiązywania nowych ustaw. Po nabożeństwach odprawionych w katedrze i cerkwi św. Jura w wielkiej sali krajowego sądu karnego odbyło się spotkanie przedstawicieli sądownictwa, władz samorządowych oraz innych korporacji prawniczych, któremu przewodniczył prezydent Aleksander Tchorznicki. W swoim przemówieniu prezydent wskazał, że *nowa ustawa uznając teorię swobodnego oceniania środków dowodowych miasto teorii legalnej, wkładając na sędziego obowiązek dochodzenia prawdy materialnej, a nie tylko formalnej i oddając instrukcję procesowi w ręce sędziego, ograniczając możliwość odraczania*

*terminów, przepisując koncentrację materiału procesowego i nadając sędziemu cały szereg uprawnień (...) łamie radykalnie dotychczasowe podwaliny procesu cywilnego i zdolna jest usunąć radykalnie zło, które się rozwiłmożniło*<sup>10</sup>.

28 stycznia 1905 r. w gmachu lwowskiego Sądu odbyło się uroczyste zebranie dla uczczenia dziesięciolecia prezydentury Tchorznickiego. W imieniu zebranych przemawiał wiceprezydent Dylewski, który podkreślił zasługi jubilata dla rozwoju wschodniogalicyskiego sądownictwa<sup>11</sup>. Przy tej okazji szereg wybitnych osób złożyło prezydentowi osobiste gratulacje, co bez wątpienia świadczyło o jego pozycji i uznaniu dla jego działalności na pełnionym urzędzie<sup>12</sup>. Kolejny jubileusz był obchodzony w grudniu 1911 r. w związku z przypadającą rocznicą czterdziestolecia pracy zawodowej Tchorznickiego w sądownictwie. Dla uczczenia tego jubileuszu grono lwowskich sędziów powołało do życia komitet, który jednocześnie wydał apel o wpłacanie składek. Miały one być przeznaczone na wybrany cel charytatywny. Ostatecznie w listopadzie 1911 r. komitet postanowił utworzyć fundację imienia prezydenta, której celem miało być udzielanie zapomóg dla sędziów, prokuratorów oraz kandydatów na sędziów bez względu na ich stan służbowy oraz wiek. Zapomogi miały być wydatkowane dla zaspokojenia potrzeb rodziny lub pokrycie kosztów leczenia<sup>13</sup>. Z kolei na początku 1912 r. pojawił się pomysł, by przechodzącego w stan spoczynku prezydenta Tchorznickiego uczcić zorganizowaniem domu letniskowego dla sędziów lwowskiej apelacji i ich rodzin. Placówka miałaby nosić imię prezydenta<sup>14</sup>. Ostatecznie wybrano pomysł stworzenia fundacji imienia prezydenta, z której miał on dożywotnio przyznawać zasiłki dla sędziów Wschodniej Galicji.

Jednym z pierwszych działań podjętych na urządzie prezydenta lwowskiej apelacji było rozpoczęcie rozmów z ministerstwem sprawiedliwości w sprawie zwiększenia liczby etatów w sądownictwie. Należy zaznaczyć, że pod tym względem Galicja pozostawała w tyle za innymi krajami koronnymi, a sprawa posad sędziowskich była przedmiotem dyskusji publicznej<sup>15</sup>. Jak ważna była to sprawa dla Aleksandra Tchorznickiego, świadczyć może fakt, że gdy otrzymał



od ministra sprawiedliwości propozycję objęcia urzędu prezydenta Wyższego Sądu Krajowego, oświadczył, że jest gotów objąć ten urząd tylko wówczas, gdy ministerstwo przychylnie rozpatrzy złożone uprzednio przez niego wnioski o powiększenie liczby etatów sądowych. Minister najwyraźniej zgodził się na swasty rodzaj szantażu



Tchorznickiego i już jesienią 1895 r. we lwowskiej apelacji przybyły 53 etaty sędziowskie, 65 posad kancelaryjnych, a także zatrudniono 67 nowych woźnych sądowych<sup>16</sup>. Kolejne zwiększenie liczby posad sądowych w Galicji Wschodniej miało miejsce w połowie 1901 r. Nie licząc etatów dla sądowych urzędników manipulacyjnych przybyło łącznie 71 posad sędziowskich<sup>17</sup>. W kolejnych latach prezydent Tchorznicki podejmował dalsze starania celem zwiększenia liczby etatów w okręgu lwowskiej apelacji<sup>18</sup>. Wysłano w tej sprawie do Wiednia kilka memoriałów, także przy każdej sposobności rozmowy prezydenta z ministrem sprawiedliwości zwracał on uwagę na niedostateczną liczbę sędziów i personelu kancelaryjnego, na czym cierpiało zarówno galicyjskie społeczeństwo, jak i sami urzędnicy, którzy na skutek przeciążenia zapadali często na choroby<sup>19</sup>. W 1909 r. udało się prezydentowi po raz kolejny przekonać ministerstwo sprawiedliwości do przekazania na rzecz Wschodniej Galicji dodatkowych środków finansowych na zatrudnienie nowych sędziów i urzędników. Ministerstwo postanowiło w ciągu kolejnych trzech lat przeznaczyć środki na utworzenie m.in. 31 nowych etatów radców i 20 etatów sędziów powiatowych<sup>20</sup>. W okresie siedemnastoletnich rządów prezydenta Tchorznickiego liczba etatów sądowych w Galicji Wschodniej i Bukowinie wzrosła z 627 do 1200, a ponadto przybyły 83 posady asystentów adjuwantów.

Zwiększenie liczby sędziów w Galicji Wschodniej nie było jedyną zasługą prezydenta, bez wątpienia sądownictwo tej czę-

ści kraju zawdzięczało mu także powstanie nowych sądów oraz rozbudowę i budowę gmachów sądowych. Warto zaznaczyć, że z chwilą obejmowania przez Aleksandra Tchorznickiego urzędu prezydenta lwowskiej apelacji stan budynków sądowych i infrastruktury sądowej znajdował się w opłakanym stanie technicznym<sup>21</sup>, a większość sądów mieściła się w wynajętych budynkach lub adaptowanych na ten cel byłych klasztorach.

Działania prezydenta Tchorznickiego, w tym jego osobiste zabiegi w ck ministerstwie sprawiedliwości, doprowadziły do budowy nowych gmachów sądowych. Pierwszym z nich był budynek trybunału sądowego w Stryju, otwarty uroczystie przy udziale prezydenta 31 października 1897 r. Warto przy tej okazji przytoczyć fragment przemówienia wygłoszonego przez Tchorznickiego, które charakteryzuje wyznawaną przez niego istotę powołania sędziego, jakże aktualną i dziś. Prezydent w mowie do zgromadzonych stwierdził, że *bojaźń, przyjaźń, namiętność, sympatie lub antypatie, czy osobiste, czy partyjne, w ogóle względy uboczne, wedle roty przysięgi sędziowskiej pozostają bez wpływu na sąd w spełnianiu jego wzniesłego zadania. Aspiracje narodowościowe, waśnie polityczne, dążenia stronnictw, spierających się z sobą wśród walk społecznych, niechaj więc zamilkną u progu tego gmachu, niechaj gmach ten, poświęcony prawdzie i prawu, będzie opoką, o którą rozbiją się wezbrane fale namiętności politycznych, narodowościowych i społecznych, łamiąc się na granicach, które ustawy im zakreślają, niechaj w gmachu*

tym przenika każdego poszanowanie prawa, a sędziego nadto też pełna świadomość zaprzysiężonych obowiązków<sup>22</sup>. Po przemówieniu prezydenta głos zabrał burmistrz Stryja, który podziękował prezydentowi za jego zaangażowanie w utworzenie nowego trybunału i budowę sądu. Nadto oświadczył, że w dowód wdzięczności rada miasta Stryja podjęła jednogłośnie uchwałę o utworzeniu wieczystej fundacji 200 koron rocznie imienia Aleksandra Tchorznickiego, z której miała być udzielana pomoc finansowa więźniom opuszczającym miejscowy dom karny i decydującym się na poprawę. Tchorznicki podziękował miastu i sam zasilił fundację kwotą 500 złotych<sup>23</sup>.

W październiku 1909 r. nastąpiło uroczyste otwarcie nowego gmachu dla sądów oraz domu karnego w Samborze. W uroczystości obok samborskich władz sądowych, powiatowych, miejskich i kościelnych uczestniczył także prezydent Tchorznicki, który i tym razem podkreślił w swoim przemówieniu, że w tej części kraju, wobec konfliktów narodowych, na sędziach spoczywają szczególnie obowiązki i tutaj, jak nigdzie indziej, muszą zawsze stać na stanowisku mężów bezstronnych i bezwzględnie sprawiedliwych<sup>24</sup>. Kolejna uroczystość odbyła się 1 listopada 1911 r., a wiązała się z nowo utworzonym Sądem Obwodowym w Czortkowie. Uroczystość ta, na którą przybył ze Lwowa prezydent Tchorznicki, była dwójaka: po pierwsze otwierano nowy okręg sądowy, po drugie nowo wybudowany gmach sądu. Na początku uroczystości burmistrz Czortkowa wręczył Aleksandrowi Tchorznickiemu dyplom honorowego obywatela miasta jako wyraz wdzięczności samorządu gminnego za jego pomoc przy tworzeniu trybunału. Następnie przemówił prezydent, który po przedstawieniu historii tworzenia trybunału wznosił toast na cześć Najjaśniejszego Pana, kończąc go słowami po polsku *Niech żyje* oraz po ukraińsku *Mnohaja lita*<sup>25</sup>.

Obok powołania dwóch trybunałów sądowych w Stryju i Czortkowie zasługą prezydenta Tchorznickiego było utworzenie ośmiu nowych sądów powiatowych w Galicji Wschodniej i na Bukowinie<sup>26</sup>. Z kolei inwestycje wdrożone przez Tchorznickiego doprowadziły do tego, że z chwilą jego ustępowania na trzysta sądów obwodowych w apelacji lwowskiej oddano nowe budyn-

ki dla pięciu trybunałów oraz wybudowano pięćdziesiąt pięć budynków sądów powiatowych.

Zasługą prezydenta Tchorznickiego było również doprowadzenie do otwarcia nowego samoistnego urzędu sądowych depozytów cywilnych we Lwowie. Dzięki osobistym staraniom prezydenta oraz na skutek jego wniosku skierowanego do władz centralnych zezwolono postanowieniem z sierpnia 1904 r. na odłączenie depozytów sądowych od urzędu podatkowego<sup>27</sup>. Uroczyste otwarcie nowego urzędu odbyło się przy udziale prezydenta oraz władz miasta.

Pod koniec 1911 r. Aleksander Tchorznicki podjął decyzję o przejściu na emeryturę. Jeszcze w grudniu tego samego roku cesarz mianował nowym prezydentem Wyższego Sądu Krajowego radcę Adolfa Czerwińskiego, a z okazji przeniesienia Tchorznickiego w stan spoczynku nadał mu w dniu 27 grudnia 1911 r.<sup>28</sup> Order Żelaznej Korony I Klasy. 14 stycznia 1912 r. w wielkiej sali karnej Sądu Krajowego we Lwowie odbyło się uroczyste pożegnanie byłego prezydenta przez środowisko sędziowskie. Na uroczystość przybył były prezydent w obecności swojego syna Henryka oraz nowego prezydenta Adolfa Czerwińskiego. Jako pierwszy przemówił wiceprezydent Wyższego Sądu Krajowego Stanisław Przyłuski, w obszernej mowie podkreślając zasługi ustępującego prezydenta. Następnie mowę wygłosił starszy prokurator państwa i radca dworu Alfred Hizne, który w imieniu Nadprokuratorii Państwa we Lwowie wyraził żal z powodu odejścia prezydenta oraz życzył mu wielu lat w zdrowiu i pomyślności. Z kolei w imieniu sędziów i urzędników z Księstwa Bukowiny przemówił w języku niemieckim prezydent Sądu Obwodowego w Suczewie radca dworu Erast Mandyczewski. Na wstępie zaznaczył, że jego obecność wynikała z potrzeby złożenia ustępującemu zwierzchnikowi wyrazu hołdu, po czym przedstawił zasługi byłego prezydenta dla rozwoju sądownictwa na Bukowinie. Podkreślał obiektywizm Tchorznickiego przy obsadzie posad sądowych na Bukowinie i na zakończenie wyraził przekonanie, że owocna działalność prezydenta pozostanie w żywej pamięci bukowiańskiego wymiaru sprawiedliwości<sup>29</sup>. Po tych przemówieniach głos zabrał sam Aleksander Tchorznicki, który podziękował przy-

byłym oraz podsumował swój okres prezydentury. Warto zaznaczyć, że odniósł się w swoim przemówieniu do czynionych mu publicznie zarzutów zbytniego przywiązania i oddania dla monarchii. Dla przedstawienia sprawy Tchorznicki wyjaśnił, że w ostatnich kilku latach liczne ugrupowania polityczne oraz ich gazety oczekiwały od wymiaru sprawiedliwości, by ten zamiast orzeczeń rzeczowych i opartych na prawie wydawał decyzje odpowiadające ich aspiracjom politycznym. Gdy orzeczenia w procesach politycznych nie były zgodne z oczekiwaniami określonych stronnictw, zarzucano Tchorznickiemu, że wykonuje on polecenia rządu wiedeńskiego oraz Namiestnika. Stąd też w ramach ostatniej przemowy podkreślił, że zarzucana mu ustępliwość, na którą z racji urzędu nigdy nie mógł publicznie odpowiedzieć, była niczym innym jak ochroną wymiaru sprawiedliwości. Dzięki temu z chwilą ustąpienia sądownictwo we Wschodniej Galicji jest wolne od polityki, sądy są niezależne i niezawisłe oraz nie ulegają nigdy naciskom ani krajowych stronnictw politycznych, ani rządu wiedeńskiego czy jego przedstawiciela w osobie Namiestnika<sup>30</sup>.

## MORSKIE OKO

Omawiając życiorys Aleksandra Tchorznickiego nie można pominąć znaczącej roli, jaką odegrał w trwającym kilka lat sporze o Morskie Oko. Spór ten toczył się między Austrią a Królestwem Węgier o prawo własności kilku parcel gruntowych położonych przy Morskim Oku, do których rościli sobie pretensje Węgrzy. Ramy opracowania nie pozwalają na omówienie genezy sporu i jego przebiegu, jednakże należy zaznaczyć, że na mocy ustaw parlamentu obu państw powołano do życia sąd polubowny, który ostatecznie ukonstytuował się początkiem 1902 r. W jego skład z ramienia Austrii powołany został właśnie Aleksander Tchorznicki, on też wraz z drugim arbitrem z Węgier dokonał wyboru superarbitra w osobie prezydenta Trybunału Związkowego w Lozannie Jana

Winklera. W kwietniu został przyjęty statut sądu rozjemczego, zaś w sierpniu w Grazu odbyła się pierwsza rozprawa, podczas której polski arbiter Aleksander Tchorznicki przemawiał m. in. na rzecz przyznania Galicji Morskiego Oka. Stronę Królestwa Galicji przez sądem reprezentował Oswald Balzer, który wiele czasu poświęcił na przygotowanie obrony i którego wywodom przypisywano główny sukces w sporze\*. We wrześniu sąd udał się na wizję nad Morskie Oko, po czym powrócił do Grazu na kolejne obrady. Wyrok w sprawie zapadł 13 września 1902 r. i stanowił, że całe sporne terytorium, z wyjątkiem części niewielkiej parceli leśnej, ma przypaść Austrii. Wedle relacji prasowych, jeszcze przed formalnym odczytaniem wyroku z sali obrad sądu rozjemczego wyszedł Aleksander Tchorznicki i zwrócił się wołaniem do zebranych dziennikarzy i publiczności słowami *Zwyciężyliśmy, panowie!*<sup>31</sup> Po odebraniu pierwszych gratulacji powrócił na salę obrad, a wieczorem wysłał telegram do lwowskiego Namiestnictwa, informując o treści orzeczenia. Wiadomość o wyroku niemal natychmiast przekazana została do Galicji, gdzie wywołała prawdziwą euforię. W wielu miastach Galicji jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych zorganizowano spontaniczne pochody, podczas których wznoszono okrzyki na cześć polskiego arbitra Aleksandra Tchorznickiego i innych osób, które współuczestniczyły w pomyślnym rozstrzygnięciu sporu. W Zakopanem pochód przerodził się w manifestację patriotyczną, podczas której górale śpiewali spon-



Morskie Oko



Posiedzenie sądu w Grazu w sprawie Morskiego Oka, 1902

tanicznie ułożoną pieśń o zwrotce: *Jeszcze Polska nie zginęła. Wiwat plemię nasze. Słuszna sprawa górę wzięła. Morskie Oko nasze*. W Okocimiu, na wieść o zapadłym wyroku, tamtejszy właściciel nakazał dokonać iluminacji browaru oraz budynków mieszkalnych. Prezydent Tchorznicki, już w dniu wydania wyroku, a także w kolejnych dniach otrzymał setki depesz gratulacyjnych od rad miejskich, instytucji i stowarzyszeń. Nie sposób wszystkich wymienić i zacytować, jedynie dla przykładu można podać treść telegramu gratulacyjnego wysłanego do polskiego arbitra Tchorznickiego przez lwowską Izbę Adwokatów. Wydział Izby pisał: *Za długoletnie, pełne poświęcenia trudy w interesie kraju podjęte, a znakomite i gorliwe, a świetnym rezultatem uwieńczone zastępstwo sprawy o klejnot polskich Tatr składa Waszej Ekscelencyi Wydział lwowskiej Izby Adwokatów (...) najgorętsze podziękowania i wyrazy czci*<sup>32</sup>. Z kolei miasto Sanok po wygranym procesie nadało Tchorznickiemu tytuł honorowego obywatela. Także w dniu 27 października 1902 r. prezydent Tchorznicki otrzymał dyplom honorowy od Wydziału lwowskiego Towarzystwa Prawniczego<sup>33</sup>, jako wyraz uznania za udział w sporze o Morskiego Oka. Dyplom wręczył wiceprezes Towarzystwa profesor Ernest Till, który przy tej okazji wygłosił przemówienie, podkreślając w nim rolę prezydenta w rozstrzygnięciu sporu<sup>34</sup>.

### DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Po objęciu wiceprezydentury Wyższego Sądu Krajowego Aleksander Tchorznicki zaangażował się w pracę Towarzystwa Prawniczego we Lwowie, by ostatecznie w 1892 r.

zostać wybranym jego prezesem. Godność tę piastował przez okres kilkunastu lat. Dla podkreślenia zasług prezesa w rozwoju stowarzyszenia nadano mu tytuł honorowego członka. Aleksander Tchorznicki w Towarzystwie Prawniczym przewodniczył m.in. dyskusjom oraz ankietom na temat nowego ustawodawstwa procesowego, instytucji sądów pokoju, nad regulatywem dla spółek akcyjnych, nad reformą austriackiego śledztwa wstępnego, w 1905 r. zainicjował zaś obrady nad reformą austriackiego prawa cywilnego. Tchorznicki nie tylko przewodniczył wielu posiedzeniom Towarzystwa Prawniczego, ale także w wielu przypadkach wygłaszał na nich opracowane przez siebie referaty<sup>35</sup>. Warto przy tym zaznaczyć, że Aleksander Tchorznicki jako prezes Towarzystwa był współinicjatorem zwołania zjazdu krajowych towarzystw prawniczych Wschodniej Galicji. Pierwszy zjazd odbył się we Lwowie w 1894 r. i jego przewodniczącym wybrano jednomyślnie prezydenta Tchorznickiego<sup>36</sup>. W lutym 1895 r. Tchorznicki wydał w imieniu Wydziału Towarzystwa Prawniczego odezwę w sprawie zwołania drugiego zjazdu<sup>37</sup>. Odbył się on w dwóch ostatnich dniach czerwca 1895 r. w Stanisławowie, a przewodniczącym Zjazdu wybrano ponownie Aleksandra Tchorznickiego.

Studia prawnicze, a po nich podjęcie pracy w galicyjskim wymiarze sprawiedliwości były konsekwencją wyboru, jakiego w młodym wieku dokonał Aleksander Tchorznicki. Od najmłodszych lat późniejszy prezydent wykazywał zainteresowanie sztuką, w tym zwłaszcza interesowała go muzyka. Być może względy praktyczne oraz doświadczenia ojca skłoniły go do podjęcia studiów prawniczych. Mimo to zawsze pozostawał wierny swoim zainteresowaniom. Stąd też już po ukończeniu studiów prawniczych został przyjęty w poczet członków Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie.

Największą jego zasługą była jednak popularyzacja w Galicji osoby i muzyki Fryderyka Chopina. W związku z przypadającą w 1910 r. setną rocznicą urodzin pianisty zawiązany został w grudniu 1909 r. komitet, którego celem było zorganizowanie we Lwowie uroczystych obchodów poświęconych pamięci Chopina. Prezesem honorowym obchodu został hrabia Stanisław Tarnowski, prezesem komitetu organizacyjnego wybra-

no zaś Aleksandra Tchorznickiego. To jemu właśnie Lwów zawdzięczał przygotowanie tygodniowego programu uroczystości jubileuszowych, które odbyły się w październiku 1910 r. W ramach programu, który został wydany drukiem, przewidziano szereg koncertów fortepianowych oraz otwarcie Zjazdu Muzyków Polskich. Obchody rozpoczęły się 23 października mszą w lwowskiej katedrze, po czym zaproszeni goście udali się do Teatru Skarbkowskiego, gdzie miała miejsce inauguracja uroczystości. Po koncercie w imieniu komitetu organizacyjnego jako pierwszy zabrał głos Aleksander Tchorznicki, który przywitał wielu znakomitych gości oraz stwierdził: *Otwieram uroczysty obchód, który niechaj będzie godnym wyrazem naszej wielkiej czci i miłości dla wielkiego ducha poety, muzyka, który ukochał ojczyznę i naród polski gorącą miłością i któremu tę miłość w całej pełni odwzajemniamy*<sup>38</sup>. Jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych odbył się w mieszkaniu Aleksandra Tchorznickiego raut na cześć przybyłego na obchody Ignacego Paderewskiego. Obok pianisty w salonach państwa Tchorznickich zebrała się liczna grupa dostojników świeckich oraz duchownych, wybitni artyści, literaci, a przede wszystkim polscy muzycy z wszystkich trzech dzielnic zaborczych. W kolejnym dniu obchodów Aleksander Tchorznicki dokonał także otwarcia pierwszego Zjazdu Muzyków Polskich, gdyż był jednym z głównych pomysłodawców jego zwołania<sup>39</sup>.

25 października 1910 r., w ramach trwających obchodów chopinowskich, odbyło się w siedzibie lwowskiego Koła Literacko-Artystycznego zebranie konstytuujące powstanie nowego stowarzyszenia. Zebranie otworzył Aleksander Tchorznicki, który przedstawił genezę zakładanego zrzeszenia. Otrzymało ono nazwę Towarzystwa imienia Chopina, a jego celem statutowym miało być krzewienie znajomości kompozycji muzycznych Fryderyka Chopina, pogłębianie ich rozumienia według zamysłu autora oraz rozpowszechnianie wiedzy o znaczeniu Chopina w historii muzyki. Statut stowarzyszenia opracował sam Tchorznicki, jeszcze tego samego dnia wybrano go też pierwszym prezesem nowego Towarzystwa<sup>40</sup>. Po kilku latach i doprowadzeniu do rozwoju stowarzyszenia Tchorznicki ustąpił z funkcji preze-

sa, otrzymał przy tej okazji dyplom członka honorowego. Powstanie omawianego Towarzystwa wynikało zapewne z wielkiego umiłowania Aleksandra Tchorznickiego do muzyki, zwłaszcza fortepianowej. Podczas pobytu we Lwowie w swoim mieszkaniu systematycznie wraz z małżonką organizował rauty muzykalne, na które zapraszali kompozytorów i wokalistów oraz liczne grono miejscowych melomanów. Podczas tych rautów Tchorznicki osobiście zasiadał przy fortepianie, znał współczesne sobie kompozycje, wydaje się, że szczególnie lubił grywać utwory Camilla Saint-Saënsa<sup>41</sup>.

Tchorznicki angażował się również aktywnie w prace innych stowarzyszeń poza wymienionymi. W dniu 18 września 1887 r. na walnym zgromadzeniu Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Dyatariuszy i Urzędników Galicji i Wielkiego Księstwa Krakowskiego został Tchorznicki powołany w skład prezydium Wydziału tego stowarzyszenia<sup>42</sup>. Przez kilka lat pełnił funkcję przewodniczącego lwowskiego Związku Towarzystw Muzycznych i Śpiewackich, był także członkiem Wydziału Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża Mężczyzn i Dam dla Galicji. Z racji zajmowanego urzędu był również prezydentem Wyższego Sądu Krajowego w sprawach dochodów skarbowych.

W dniu 6 września 1896 r. prezydent Tchorznicki otrzymał od cesarza tytuł tajnego radcy z jednoczesnym uwolnieniem od taksy<sup>43</sup>. Wśród innych zaszczytów, jakie spotkały prezydenta Aleksandra Tchorznickiego, należy wymienić powołanie go przez cesarza 15 grudnia 1902 r. w poczet dożywotnych członków Izby Panów<sup>44</sup>. Tchorznicki został także odznaczony przez monarchę w 1893 r. krzyżem kawalerskim orderu cesarza Leopolda, zaś w 1898 r. Wielką Wstęgą Orderu Franciszka Józefa. W tym samym roku Aleksander Tchorznicki został przez izbę poselską Rady Państwa powołany w skład Trybunału Stanu. Obok honorowego obywatelstwa Sanoka i Czortkowa, o czym była już wcześniej mowa, otrzymał podobne tytuły od samorządu gminnego Starej Soli, Wiśniczówki i Bukowska.

Aleksander Tchorznicki w okresie swojej prezydentury poza licznymi obowiązkami znalazł czas na prowadzenie działalności charytatywnej. Zaangażował się przede wszystkim w niesienie pomocy dzieciom.

Z jego inicjatywy w latach 1905–1907 powstało w Galicji 3083 gminnych rad sierocych odpowiedzialnych za niesienie materialnej i duchowej pomocy sierotom. Z początkiem 1907 r. Tchorznicki założył we Lwowie Towarzystwo Opieki nad Sierotami, które początkowo organizowało pomoc dla sierot na terenie lwowskiej gminy, a od 1910 r. zaczęło prowadzić działalność statutową na terenie całej Galicji.

W roku 1878 Aleksander Tchorznicki poślubił Marię z baronów Weckbeckerów. Ze związku małżeńskiego Aleksander Tchorznicki miał pięcioro dzieci, Henryka urodzonego w 1880 r., Emilię urodzoną w 1881 r., Stanisława urodzonego w 1882 r., Stefana urodzonego w 1885 r. oraz Konstantego urodzonego w 1889 r. 25 grudnia 1894 r. rodzinę Tchorznickiego dotknął, jak to pisała gazeta urzędowa, ciężki cios: w wieku dziesięciu lat zmarł we Lwowie syn Stefan<sup>45</sup>. Dla rodziny Tchorznickiego szczególnie był rok 1895, został on wtedy nie tylko prezydentem Sądu, ale także stracił kilka najbliższych sobie osób. 25 marca zmarł w Krakowie jego ojciec, na którego pogrzeb wyjechał ze Lwowa. Z kolei 31 sierpnia zmarła we Lwowie po krótkiej chorobie czternastoletnia córka prezydenta Emilia.

Żona prezydenta zmarła krótko przed nim, bo 22 grudnia 1915 r. w Tullu pod Wiedniem<sup>46</sup>. Sam prezydent Aleksander Tchorznicki zmarł dnia 8 stycznia 1916 r. w Zakopanem, gdzie został tymczasowo pochowany. Aleksander Mniszek Tchorznicki bez wątplenia czuł się lwowianinem, w tym mieście spędził najważniejsze lata swojego życia i tutaj widoczne były owoce jego pracy. Warto zaznaczyć, że Lwów pamiętał o byłym prezydencie swojego sądu i przez kolejne dwa lata w rocznicę jego śmierci odprawiano w mieście uroczyste msze święte.

\* Notka redakcji

Decydujące działanie O. Balzera zostało uhonorowane m.in. nadaniem jego imienia ulicy w Zakopanem, z Bystrego ku Morskiemu Oku, a także we Lwowie ulicy pomiędzy ul. ul. Zyblikiewicza i Jabłonowskich.

Roli Oswalda Balzera w obronie Morskiego Oka poświęcona jest książka R. Nowackiego *Oswald Balzer (1858–1933)*, omówiona w naszym kwartalniku CL 2/99. Patrz też artykuł w CL 3/99.

## PRZYPISY

- <sup>1</sup> *Dr Aleksander Mniszek Tchorznicki*, „Kuryer Lwowski”, 1895, nr 32.
- <sup>2</sup> *Mianowania*, „Kurjer Polski”, 1875, nr 125.
- <sup>3</sup> *Kołomyjskie Towarzystwo Prawnicze...*, „Kuryer Lwowski”, 1889, nr 2.
- <sup>4</sup> *Część urzędowa*, „Gazeta Lwowska”, 1890, nr 27.
- <sup>5</sup> *Ze Lwowa donoszą*, „Czas”, 1892, nr 28.
- <sup>6</sup> Formalnie przeniesienie prezydenta Jakuba Simonowicza w stan spoczynku nastąpiło 9 stycznia 1895 r.
- <sup>7</sup> *Księga adresowa Król. Stoł. miasta Lwowa*, Lwów 1913.
- <sup>8</sup> *Prezydent Wyższego Sądu Kraj.*, „Kuryer Lwowski”, 1895, dodatek do nr 349.
- <sup>9</sup> *Nowa procedura sądowa*, „Gazeta Lwowska”, 1897, nr 75.
- <sup>10</sup> *Szerzej: Przemówienie Jego Ekscellencji dra Aleksandra Mniszka Tchorznickiego prezydenta Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie na uroczystym obchodzie wejścia w życie nowych cywilnych ustaw procesowych*, „Reforma Sądowa”, 1898, nr 1.
- <sup>11</sup> *Szerzej: Dziesięciolecie: prezydentury JE. dra Aleksandra Mniszka Tchorznickiego i wiceprezydentury c. k. Wyższego Sądu Krajowego dr Jana Dylewskiego*, „Reforma Sądowa”, 1905, nr 11–12.
- <sup>12</sup> Osobiście udali się do prezydenta Tchorznickiego celem złożenia mu gratulacji z racji jubileuszu m.in.: namiestnik hrabia Andrzej Potocki, marszałek krajowy hrabia Stanisław Badeni, metropolita lwowski obrządku rzymskokatolickiego abp Józef Bilczewski, metropolita lwowski obrządku ormiańskiego abp Józef Teodorowicz oraz dyrektor Poczty Galicji i wiceprezydenci Dyrekcji Skarbu i Rady Szkolnej Krajowej.
- <sup>13</sup> Por. *Jubileusz służbowy JE. Aleksandra Mniszka Tchorznickiego*, „Czasopismo Krajowego Związku Sędziów we Lwowie”, 1911, nr 4.
- <sup>14</sup> Zob. *Letnisko dla sędziów*, „Czasopismo Krajowego Związku Sędziów we Lwowie”, 1912, nr 1.
- <sup>15</sup> Np. *Powiększenie liczby sił sędziowskich we Lwowie*, „Kuryer Lwowski”, 1909, nr 591, s. 9; *Pomnożenie sądów w kraju*, „Pogoń”, 1897, nr 52.
- <sup>16</sup> *Pożegnanie JE. Prezydenta wyższego Sądu Krajowego dra Aleksandra Tchorznickiego*, „Gazeta Lwowska”, 1912, nr 11.
- <sup>17</sup> *Status posad sędziowskich...*, „Kuryer Lwowski”, 1901, nr 172.
- <sup>18</sup> Zabiegi prezydenta Tchorznickiego o zwiększenie liczby etatów w sądownictwie Wschodniej

dokończenie na s. 55

# SYLWETKI

## WSPOMINAMY BARBARĘ UHMĘ

29 grudnia 2011 roku odeszła od nas na zawsze Barbara Uhma. Urodzona w Zimnej Wodzie koło Lwowa w sierpniu 1927 roku jako trzecie dziecko Anny i Stefana Uhma. Ojciec, dr praw, był osobą powszechnie znaną i szanowaną w mieście z racji czynnego udziału jako żołnierz w Obronie Lwowa, a następnie zajmowania stanowiska kierownika Intendentury Obrony tego miasta w stopniu porucznika. Z tego stanowiska przeszedł po wyzwoleniu Lwowa przez Armię Polską do X dywizji gen. Żeligowskiego, gdzie został szefem Intendentury. Po zakończeniu działań wojennych, zdemobilizowany, został powołany z konkursu na dyrektora Kasy Oszczędności miasta Lwowa. Basia swe dzieciństwo spędzała w mieszkaniu rodziny na 4 piętrze budynku przy ulicy Halickiej oraz w zakupionym przez rodziców majątku wiejskim w Zimnej Wodzie koło Lwowa – miejscu Jej urodzenia.

Szczęśliwe dzieciństwo przerwane zostało wybuchem wojny i okupacją sowiecką. Bracia: Maciej – lekarz (poległ w nieznanych okolicznościach) i Antoni – prawnik (brał udział w obronie Warszawy), obaj podchorążowie, zostali natychmiast zmobilizowani i wyjechali na front. Ojciec Barbary, uprzedzony o niebezpieczeństwie grożącym mu ze strony Rosjan, uciekł razem z żoną i córką przez „zieloną granicę” do Krakowa.

Barbara ukończyła w Krakowie 3-letnią Szkołę Krawiecką Sióstr Klarysek, angażując się równocześnie mimo młodego wieku w działalność konspiracyjną, jak szereg podobnych Jej młodych patriotów.

Tak opisywał te wydarzenia Czesław Skrobecki w swoim tekście *Podgórski Pluton Dywersyjny „Alicja” Szarych Szeregów w Krakowie*:

... *Michał Pańkow, mieszkający w Krakowie przy ul. Długiej 28, nacjonalista ukraiński, międzynarodowy agent hitlerowski uczestniczący w zamordowaniu kanclerza Austrii*

*Dollfussa w 1934 r., był w czasie okupacji niebezpiecznym pomocnikiem gestapo w Krakowie. Pracował w Arbeitsamcie przy ul. Lubelskiej. W 1940 r. wyspał 40 oficerów polskich pod pretekstem przeprowadzenia ich na Węgry, aby stamtąd mogli się udać na Zachód do armii polskiej. Sąd Polski Podziemnej skazał go na karę śmierci. „Powolny” otrzymał rozkaz zlikwidowania go. Dokładne rozpoznanie Pańkowa przeprowadziły dziewczęta z drużyny wywiadu plutonu „Alicja”: „Żyvia” (Anna Surowiec), „Olga” (Barbara Zawisza), „Grażyna” (Barbara Uhma) i „Alina” (Halina Dziedzic). Wyrok wykonał „Powolny” w październiku 1943 r. przez zastrzelenie Pańkowa na ul. Długiej po wyjściu agenta z domu. Ubezpieczał go „Spokojny” (Henryk Januszkiewicz), kolega „Powolnego”, również cichociemny.*

Barbara w następstwie tej akcji musiała uciekać z Krakowa do rodziny w Warszawie i wróciła dopiero po roku. Zaczęła się kształcić uczęszczając na tajne komplety licealne. Bez powodzenia, jako „osoba niewłaściwego pochodzenia”, starała się po wojnie o przyjęcie na studia medyczne we Wrocławiu i dopiero w roku akademickim 1948/1949 zdała egzamin na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Egzamin dyplomowy zdała 20 marca 1954 roku i w wyniku nakazu pracy rozpoczęła swe życie zawodowe w Jaworznie. Pracowała tam do 1959 roku, specjalizując się w Szpitalu Miejskim w chirurgii.

Po powrocie do Krakowa pracowała w szpitalach i przychodniach krakowskich, uzyskując drugi stopień specjalizacji chirurgicznej. Przez wiele lat czynnego życia zawodowego, jako lekarz zajmujący się przede wszystkim chirurgią naczyniową, ratowała niezliczoną ilość pacjentów, niosąc ulgę w chorobie i cierpieniu.

Basia, moja Ciotka i jednocześnie Matka Chrzestna, całe swe pełne pracy i oddania Rodzi-



com życie spędziła w Krakowie – mieście, które stało się Jej miejscem na ziemi, Jej życiową przystanią. Ale miastem, które pokochała i do którego zawsze aż do ostatnich dni życia biegnęły Jej myśli, był Lwów. Wyśnione, wymarzone miasto utraconych lat szczęśliwego dzieciństwa.

Niestety nie było Jej dane tam wrócić, choć jeszcze parę miesięcy przed śmiercią mówiła mi o swej tęsknocie do tego miasta, które tak zawładnęło duszami tych, którzy musieli je opuścić.

Marek Uhma

## ROMAN HNATOWICZ 1931–2012

Roman odszedł niespodziewanie. Trudno będzie się pogodzić z Jego nieobecnością na patriotycznych uroczystościach, spotkaniach, ogniskach. Trudno będzie się obyć bez Jego mistrzowskich recytacji, bez Jego głębokiego głosu, a przede wszystkim bez tego niezwykłego nastroju, który umiał stworzyć jak nikt inny. Wielu z nas doceni to dopiero teraz, gdy Go już zabrakło.

Roman urodził się w Gródku Jagiellońskim niedaleko Lwowa i z tamtej Ziemi – bo jakże inaczej – zacerpnął soki, które wystarczyły Mu na całe życie, gdziekolwiek się znalazł. Przez owe osiem dziesiątków lat rozwijał w sobie dwa szczególne uczucia: dla Ojczyzny i jej trudnej historii oraz dla Lwowa z jego kulturą i nieporównywalnym urokiem.

Wchodzić w dorosłe życie przyszło Mu już poza Lwowem. Najpierw krótko w Wieliczce, ale i tam znalazł się w gronie ekspatrianckiej młodzieży,

potem w Krakowie. Tu ukończył studia na Politechnice i pracował kolejno na różnych stanowiskach: w katedrze matematyki czy jako rzecznik patentowy.

Jednak nie to było życiowym powołaniem Romana. Od samego początku związał się ze środowiskiem niepodległościowym, był aktywny we wszystkich wydarze-

niach, gdzie chodziło o suwerenną Polskę. Był patriotą i piśmudczykiem, w czasie Solidarności został internowany. I zarazem był piewą polskiej kultury. Polska poezja – nie tylko ta niepodległościowa – była Jego chlebem codziennym, w każdym miejscu i w każdym czasie. Zarówno przed upadkiem komunizmu, jak i po roku 1990 – aż do Jego dni ostatnich.

W latach dziewięćdziesiątych założył w lokalu przy ul. św. Tomasza „Audialnię” im. Hemara i Kotlarczyka\*. Miejsce to stało się niezależnym salonem artystycznym, gdzie gromadzili się ludzie ze świata kultury, nauki i sztuki. Odbwały się tam niezapomniane imprezy: wernisaże, koncerty; zainicjował czwartkowe spotkania polonistyczne dla młodzieży, u której pragnął wzbudzić miłość do polskiego języka i piękna ojczystej literatury.

Poza tym Roman występował przez wszystkie lata w niezliczonych miejscach z recytacjami, których ludzie słuchali zawsze w skupieniu – również na spotkaniach naszego TMLiKPW. Tu przeważała oczywiście tematyka lwowska, którą chętnie prezentował także w innych środowiskach.

Dziękujemy Ci za wszystko, Romku. Pozostaniesz w naszej pamięci.

\* Mieczysław Kotlarczyk był twórcą i dyrektorem legendarnego Teatru Rapsodycznego w Krakowie, który w latach zniewolenia prezentował polską dramaturgię, niepokazywaną w wielkich teatrach. W teatrze Kotlarczyka wykształciło się wielu znakomitych aktorów. Z zestawienia nazwisk Hemara i Kotlarczyka wyczuwamy, co było dla Romana najważniejsze.





# Aleksander Mniszek Tchorznicki (1851–1916)

*Przypisy, dokończenie ze s. 52*

- Galicji miały doprowadzić do jego zatargu z ministrem sprawiedliwości. Jedna z gazet podała nawet, że z powodu różnic oraz niedostatecznego uwzględnienia wniosków lwowskiej apelacji Aleksander Tchorznicki zdecydował się na znak protestu złożyć z początkiem 1911 r. rezygnację z piastowanego urzędu; *Ze sfer sądowych*, „Czas”, 1911, nr 130.
- <sup>19</sup> *Pomnożenie sił sędziowskich w sądach Galicji Wschodniej*, „Gazeta Lwowska”, 1909, nr 12.
- <sup>20</sup> *Systemizowanie nowych posad sądowych*, „Kuryer Lwowski”, 1910, nr 602.
- <sup>21</sup> Stan budynków sądowych w Galicji i ich wyposażenie były przedmiotem licznych artykułów, które zamieszczała prasa codzienna i regionalna. I tak dla przykładu można wskazać, że zanim prezydent Tchorznicki doprowadził do wybudowania w Stryju nowego sądu, w starym budynku znajdowała się tylko jedna sala dla przeprowadzania rozpraw, której wyposażenie stanowiły: duży stół będący własnością miejscowych adwokatów, jeden mały stół, pięć małych stołków, z czego dwa połamane, zaś trzy sprawne stanowiły także własność jednego z adwokatów, oraz obdarty fotel sędziowski, ale tylko o dwóch nogach; *Nasz sąd*, „Gazeta Stryjska”, 1893, nr 5.
- <sup>22</sup> *Otwarcie trybunału sądowego...*, „Czas”, 1897, nr 252.
- <sup>23</sup> *Otwarcie nowego trybunału sądowego i poświęcenie nowego gmachu sądowego w Stryju*, „Kuryer Lwowski”, 1897, nr 306.
- <sup>24</sup> *Poświęcenie nowego gmachu sądowego*, „Gazeta Samborska”, 1909, nr 20.
- <sup>25</sup> *Poświęcenie i otwarcie gmachu nowego sądu obwodowego*, „Gazeta Lwowska”, 1911, nr 252.
- <sup>26</sup> Za prezydentury Aleksandra Tchorznickiego otwarto kolejne sądy powiatowe z siedzibami w Otyni i Podwołoszczykach w 1897 r.; Waszkowcach na Bukowinie w 1898 r.; Bojanie na Bukowinie w 1904 r.; Bołszowcach w 1905 r.; Jabłonowie w 1907 r.; Stolpikanach na Bukowinie w 1910 r.; Podkamieniu w 1911 r.
- <sup>27</sup> *Nowy samoistny cywilny urząd depozytowy...*, „Reforma Sądowa”, 1904, nr 11–12.
- <sup>28</sup> *Seine...*, „Wiener Zeitung”, 1911, nr 297.
- <sup>29</sup> Zob. relację prasy bukowskińskiej: *Feierliche Abschiednahme des Oberlandesgerichtspre-*

- zidenten b. Tchorznicki*, „Czernowiker Allgemeine Zeitung”, 1912, nr 2304.
- <sup>30</sup> *Pożegnanie J.E. Prezydenta wyższego Sądu Krajowego dr Aleksandra Tchorznickiego*.
- <sup>31</sup> O „Morskie Oko”, „Gazeta Lwowska”, 1902, nr 213.
- <sup>32</sup> *Po wyroku*, „Echo Przemyskie”, 1902, nr 75.
- <sup>33</sup> Dyplom przedstawiał widok Morskiego Oka, a jego treść brzmiała: *Lwowskie Towarzystwo Prawnicze swemu Prezesowi za nieustrudzoną, pełną poświęcenia pracę około zbadania i rozstrzygnięcia naszych nieprzedawnionych praw do Morskiego Oka wyraża hołd i wdzięczność*.
- <sup>34</sup> *J.E. Drowi Aleksandrowi Mniszek Tchorznickiemu...*, „Reforma Sądowa”, 1903, nr 1.
- <sup>35</sup> Np. w 1897 r. na temat zasad oszacowania nieruchomości na podstawie nowej ordynacji egzekucyjnej, *Z Tow. Prawniczego*, „Gazeta Lwowska”, 1897, nr 56.
- <sup>36</sup> Zob. *Zjazd delegatów tow. prawniczych*, „Prawnik”, nr 13.
- <sup>37</sup> *Odezwa*, „Prawnik”, 1895, nr 5.
- <sup>38</sup> *Mowa J.E. Tchorznickiego*, „Kuryer Lwowski”, 1910, nr 493.
- <sup>39</sup> Zob. *I Zjazd Muzyków Polskich*, „Kuryer Lwowski”, 1910, nr 493.
- <sup>40</sup> *Towarzystwo imienia Szopena*, „Kuryer Lwowski”, 1910, nr 496.
- <sup>41</sup> *Ze świata*, „Gazeta Lwowska”, 1897, nr 72.
- <sup>42</sup> *Walne zgromadzenie...*, „Kuryer Lwowski”, 1887, nr 268.
- <sup>43</sup> *Personalnachrichten* [w:] *Verordnungsblatt des k. k. Justizministeriums*, Wiedeń 1896.
- <sup>44</sup> *Część urzędowa*, „Gazeta Lwowska”, 1902, nr 289.
- <sup>45</sup> *Ciężki cios ugodził w dom...*, „Gazeta Lwowska”, 1894, nr 295.
- <sup>46</sup> *Zmarli*, „Kuryer Lwowski”, 1915, nr 505.

## Przeczytane

W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 12 III w rubryce *Wydarzyło się* przeczytaliśmy:

**1939** – „Kurier Poranny” pisał: *Policja przeprowadziła rewizję wśród lwowskich studentów. W wyniku rewizji zatrzymano: 16 rewolwerów, 2 flowery, 13 granatników ręcznych, 34 kastety, 2 sztylety, 4 łomy żelazne, 14 pałek okutych ołowiem, 10 kg ulotek, 4 nielegalne powielacze.*

Nie podano jednak, jacy to byli studenci (Polacy? Ukraińcy?). I o co ich podejrzewano?

# KULTURA NAUKA

## NIEDOKOŃCZONE MSZE WOŁYŃSKIE

24 lutego 2012, w ramach czwartego już spotkania z cyklu *Stacja Kresowa\**, w wypełnionej po brzegi auli Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie odbyła się konferencja ***Niedokończone msze wołyńskie – martyrologia duchowieństwa wołyńskiego, ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich podczas II wojny światowej\*\****. Konferencja poprzedzona była mszą św. w kościele pw. Najświętszego Serca Jezusowego, odprawioną w intencji kapłanów i wiernych, pomordowanych przez OUN-UPA na Wołyniu. Mszę św. prowadził i homilię wygłosił przybyły z Łucka ordynariusz diecezji – ks. biskup Marccjan Trofimiak, który następnie w hallu Biblioteki Jagiellońskiej otworzył towarzyszącą konferencji wystawę pod tym samym tytułem.

W swojej homilii ks. Biskup nawiązał do słów Modlitwy Pańskiej: *Bądź wola Twoja* i wyjaśnił, że w historii konfliktów nie była to nigdy wola Boża, ale zawsze zła wola ludzka. *11 lipca 1943 roku nastąpiła eksplozja ludzkiej nienawiści. Ginęli wtedy i wierni, i kapłani przy ołtarzach. Wiemy jednak, że miłość jest silniejsza, wiemy, że życie jest silniejsze od śmierci. ... Jednak ból pozostaje. I dlatego dzisiaj modlimy się za wszystkich. I za ofiary tamtych wydarzeń... i za tych, którzy się tych nieprawości, tej makabry dopuścili. ... Wiemy, że chrześcijaństwo to jest przede wszystkim miłość. Miłość przebacza. I w tym duchu dzisiaj stajemy przed Panem Bogiem i prosimy, aby nas nauczył przebaczać, darować, ale żeby dał również siły czynić tylko dobro, żeby nasz czyn był sprawiedliwy. Abyśmy z czystymi wargami mogli powiedzieć „Bądź wola Twoja”.*

Konferencję rozpoczęli referenci księży, którzy omówili od strony teoretycznej *niedokończone msze święte*, przerwane przez

napady i morderstwa dokonane na wiernych i kapłanach.

Współorganizacji konferencji podjęły się m.in. krakowski IPN, Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana, Sekcja Historyczna Polskiego Towarzystwa Teologicznego, a także Instytut Badań Kościelnych w Łucku. Konferencji patronował ks. bp Marccjan Trofimiak, ordynariusz łucki.

Uczestnicy konferencji mogli wysłuchać bardzo interesujących prelekcji. I tak ks. prof. dr hab. Józef Marecki z IPN w Krakowie mówił o duchownych, którzy na przestrzeni wieków zostali zamordowani podczas odprawiania nabożeństw i których uznano potem za świętych męczenników.

Ewa Siemaszko skoncentrowała się na normach moralnych w religii katolickiej i różnych kategoriach zbrodni popełnionych przez OUN-UPA na terenie nie tylko Wołynia, ale również w województwach Małopolski Wschodniej.

W swoim wystąpieniu Łukasz Gramza, prokurator krakowskiego IPN, uzasadnił dlaczego według prawa zbrodnie OUN-UPA na ludności polskiej należy uznać za ludobójstwo. Z kolei dr Leon Popek (IPN Lublin) mówił o stratach wśród duchowieństwa rzymskokatolickiego na Wołyniu, a dr hab. Andrzej Zięba z Uniwersytetu Jagiellońskiego o faktach i dokumentach, które wskazują na niejednoznaczny stosunek metropolity grekokatolickiego, arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego, do mordów OUN-UPA na ludności polskiej. Można wnosić, że autor tego wystąpienia zrewidował swoje dawniejsze, dość bezkrytyczne stanowisko wobec metropolity Szeptyckiego. Na sesję nie przybył prof. Włodzimierz Osadczy z KUL.

Wielce wzruszające było wystąpienie ks. Ludwika Kierasa z Piekar Śl., siostrzeńca bestialsko zamordowanego o. Ludwika Wrodarczyka. Prelegent dał świadectwo życia i męczeńskiej śmierci ks. Ludwika Wrodarczyka, który został zapamiętany nie tylko jako gorliwy kapłan, ale także człowiek, który leczył swoich parafian i pomagał im, jak też innym ludziom, bez względu na ich przynależność narodową czy religijną. Za tę postawę Instytut Yad Vashem uhonorował go pośmiertnie tytułem „Sprawiedliwego wśród narodów świata”.

W podsumowaniu konferencji dr Leon Popek wyraził żal, że wielu naocznych

świadków tych wydarzeń odchodzi, a instytucje czy organizacje, zobowiązane do gromadzenia i opracowania tych bolesnych tematów, działają bardzo opieszale. Nawoływał też do podjęcia działań w celu upamiętnienia mogił ofiar ludobójstwa. Na samym Wołyniu było 2 tysiące miejscowości, gdzie żyli i zginęli Polacy, a tylko 130 miejsc zostało upamiętnionych. Również Adam Macedoński (uhonorowany tytułem kustosa pamięci narodowej) zaproponował, aby zapelować do *społeczeństwa polskiego, do duchownych, twórców kultury, uczonych, historyków, dziennikarzy, polityków i działaczy społecznych – o godne upamiętnienie ofiar zbrodni dokonanej przez OUN-UPA na dziesiątkach tysięcy pracowitych polskich rolników z małymi dziećmi i starcami.*

Na wystawie towarzyszącej konferencji znalazło się 25 dużych plasz, przedstawiających sylwetki duchownych (w tym dwie siostry zakonne), którzy zostali zamordowani przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA. Kilku z nich zginęło podczas odprawiania mszy św., skąd tytuł i wystawy, i konferencji.

Wszystkie referaty wejdą w skład tomu, który zostanie niebawem wydany.

Anna Madej

\* Patrz CL 3/11.

\*\* Animatorem tego przedsięwzięcia był p. Maciej Wojciechowski.

## Poezja lwowska w Krakowie

Krakowski Salon Poezji przy Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie – prowadzony przez grono ludzi kultury z Anną Dymną na czele – gościł w kwietniu aktorów Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa z programem pt. *My jesteśmy z polskiej Florencji*. Wystąpili: dyrektor PTL Zbigniew Chrzanowski, Julia Czubak, Jadwiga Pechaty i Jerzy Głubin oraz przy fortepianie Zbigniew Rymarz. Przypomniano utwory lwowiaków: Zbigniewa Herberta, Mariana Hemara, Tadeusza Śliwiaka, Mieczysława Opałka, Adama Zagajewskiego, a także innych, ze Lwowem związanych, np. Marii Konopnickiej.

Program spotkał się z doskonałym przyjęciem zebranych gości.

Na tę poetycką imprezę zeszło się głównie grono stałych krakowskich bywalców Salonu, których nie trzeba nawet specjalnie powiadać. Traf chciał, że w niedzielę 15 kwietnia do Krakowa przybyli artyści lwowscy, jednak wcześniej mało kto o tym wiedział. Najchętniej czytany w mieście „Dziennik Polski” (na który często się powołujemy) podał tę informację na dalekiej stronie w wydaniu sobotnio-niedzielnym 14–15 IV – przecież nie zawsze studiowanym od deski do deski. W efekcie tylko nieliczni (i nie najmłodszy) krakowscy lwowiacy dowiedzieli się o przybyciu artystów ze Lwowa, niestety za późno.

Mamy więc wielki żal: czy tak trudno było zatelefonować do kogoś ze znajomych z prośbą o przekazanie dalej tej wiadomości? Nie powiedziano nawet Śródmiejskiego Ośrodka Kultury.

Dlaczego tak się stało?

Kazimierz Selda

## O KONCERCIE JUBILEUSZOWYM, ROMIE I PROMYKACH KRAKOWA

Roma (która nie ma rodzinnych koneksji z Kresami) i jakże uzdolnione „Promyki Krakowa” zapadły głęboko w serca naszemu krakowskiemu środowisku Kresowian. Podczas rozmowy zamieszczonej w CL 3/06 parę lat wstecz Roma opowiada o tym, jak pokochała nasze tamte strony i jak przekazywała swoje zainteresowanie Kresami młodzieży ze swego zespołu. Teraz przy każdej możliwej okazji jeżdżą tam wszyscy razem, aby chronić to, co zostało jeszcze z polskości, poprzez repertuar narodowy – polski, polskie stroje ludowe, uświetniać ważne uroczystości, a czasem zwyczajnie pobyć, pograć i pośpiewać. Zaangażowanie zespołu z Romą na czele jest imponujące, a słuchacze zawsze są.

Te wspólne tęsknoty sprawiły, że żyliśmy się; Promyki przychodzą do nas, sprawiają nam tym wiele radości. Zaprzyjaźniliśmy się, a jak przyjaźń, to i radość, i uczestniczenie w organizowanych przez Romę koncertach. Zatem byliśmy!

W sobotę 14 kwietnia w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie odbyła się piękna uroczystość – Jubileuszowy Koncert z okazji 25-lecia istnienia zespołu „Promyki



Krakowa" i 45-lecia pracy twórczej Romy Doniec-Krzemień, założycielki zespołu, kierownika, opiekuna i aranżera, ale przede wszystkim Osoby o niezwykłej charyzmie, fantazji, zaangażowaniu i umiejętności przekazywania idei patriotyzmu, hierarchii wartości tej wspaniałej młodzieży. Koncert był piękny – na scenie pojawiła się Roma i wkrótce z różnych stron zaczęli wchodzić grający na instrumentach członkowie zespołu, od sześciolatków „w górę”, ubrani w piękne kolorowe ludowe stroje. Po powitaniu nastąpiła lekcja historii Polski w piosence, którą rozpoczęła Rota – publiczność wstała i śpiewaliśmy wszyscy; wzruszenie nie do opisania! Po wielu piosenkach w tej „lekcji” na ekranie pojawiali się kolejni członkowie zespołu i mówili o swojej drodze, o przeżyciach, podróżach (szczególnie o Kresach, gdzie chcą jak najczęściej wracać) i o Pani Romie, jakże ciepło, z wdzięcznością i z wielkim uznaniem dla Jej starań. Słowa, które płynęły, świadczyły także o tym, jak bardzo jest im bliska. I dalej – podróże – kolejne miejsca w Polsce i w Europie, ilustrowane muzyką – zachwyciły solistki i soliści, a także cały zespół. W tej części był też – jak Roma to określiła – Kącik Lwowski, dla nas szczególnie wzruszający. Na koniec, specjalnie dla publiczności, utwór aranżowany na motywach muzyki Fryderyka Chopina.

I wreszcie nastąpił czas pięknych życzeń, gratulacji, słów uznania i wdzięczności. Nie miał końca „korowód”, rozpoczęty przez pana dyrektora Stanisława Dziedzica, który odczytał list gratulacyjny od prezydenta Majchrowskiego, a także podarował od niego wielki klucz do wszystkich zamków w mieście (tu komentarz Romy: „nie wie, co zrobił”). Podziękowania i bukiety kwiatów płynęły od wszystkich, a piękne było

to, że to, co zdarzyło się na tej scenie, było prawdziwe, szczere i serdeczne. Na koniec owacje, oczywiście na stojąco, i STO LAT; śpiewała cała sala. Uroczystość była piękna, wzruszająca, ale równocześnie zobaczyliśmy, ile można osiągnąć, gdy podaruje się innym swój TALENT i czas i porwie się za sobą dzieci i młodzież, a do współpracy – różnych Ludzi Dobrej Woli (m.in. ze Stowarzyszenia Przyjaciół Zespołu Promyki Krakowa).

Na tak piękny Jubileusz trzeba sobie zasłużyć, a Roma niewątpliwie oddała swój wielki Talent, a także Czas i Serce dla Wielkiej Sprawy – niepowtarzalnego zespołu „Promyki Krakowa”.

Z podziwem i wzruszeniem  
Anna Stengl

## ERRATA

W numerze CL 1/12 na s. 53 znalazł się karygodny błąd, dotyczący imienia Pani Zarugiewiczowej: Jadwigi, a nie Stefanii. Pomyłka ta (powtórzona w tekście parokrotnie) ma podwójny wymiar, bo – po pierwsze błąd jest zawsze błędem, po drugie – dotyczy Osoby i wydarzenia związanych mocno z historią Lwowa i bohaterstwem młodego Żołnierza, walczącego o wolność naszego Miasta i naszej Ziemi. Jest i trzeci wymiar: błąd ów znalazł się na łamach kwartalnika, którego intencją jest przekazywanie Polakom – szczególnie młodym – wielowiekowych dziejów tamtej strony Ojczyzny i ludzi, którzy jej bronili. Dlatego żaden, nawet najmniejszy błąd nie jest dopuszczalny. Serdecznie przepraszamy Czytelników, a przede wszystkim Rodzinę Jadwigi Zarugiewiczowej.

Wyjaśnienie: Nastąpiła zamiana imion. Pani Jadwidze Zarugiewiczowej przypisano imię Jej córki Stefanii.

# Ksi<sup>1</sup>żki czasopisma

## Nowe książki

📖 Z końcem ubiegłego roku ukazała się niezwykle ważna – szczególnie dla nas – książka **Dietera Schenka** pt. **Noc morderców. Kaźń profesorów we Lwowie i Holocaust w Galicji Wschodniej** (tytuł oryginalny: *Der Lemberg Professoren-mord und der Holocaust in Ostgalizien*, przekład P. Zarychta), wydana przez krakowskie wydawnictwo „Wysoki Zamek”. Już sam tytuł niesie z sobą tragizm zdarzeń, jakie miały miejsce owej lipcowej nocy 1941 r., kiedy to Niemcy dokonali okrutnej zbrodni wobec profesorów lwowskich, ich bliskich, a także osób, które przypadkowo znalazły się w zasięgu dramatycznych wydarzeń.

Autor z niezwykłą determinacją starał się dotrzeć do prawdy analizując nie tylko przyczyny tej tragedii, ale i powody zaniedbań, jakich dokonano w sądownictwie powojennych Niemiec. Niezwykle interesująca dla polskiego czytelnika jest część poświęcona śledztwom, które prowadzono w Niemczech, w Polsce, a także innych krajach, po 1945 roku.

Owocem trudnej pracy i niezwykłej dociekliwości Schenka jest omawiana książka, na którą składa się 6 rozdziałów (każdy z kilkoma podrozdziałami), zawartych na 440 stronach, a wśród nich prócz właściwego tekstu i aneksu znajdują się odniesienia do literatury i dokumentów (859 przypisów!), bogaty materiał ilustracyjny (ponad 100 fotografii), w tym unikatowe zdjęcia archiwalne – często ze zbiorów prywatnych, mapy, a także bardzo obszerna bibliografia wraz z uzupełnieniami do wydania polskiego oraz indeks nazwisk, które pojawiają się w tekście. To, że ten cenny materiał uj-

rzał światło dzienne, dzięki ogromnej pracy i zaangażowaniu Autora N i e m c a, jest nie do przecenienia.

Druga część książki przedstawia historię Holocaustu na terenie Galicji Wschodniej i opis zbrodni na narodzie żydowskim.

Dlaczego tak wiele trudu, ale i osobistych emocji poświęcił autor by, przynajmniej w jakimś stopniu, poznać prawdę i zrozumieć fakt, że nikt za niemieckie zbrodnie wojenne nie został w Niemczech ukarany? Na pewno jednym z motywów była próba rozliczenia się z własną historią. Książka jest skierowana do czytelnika niemieckiego w celu uświadomienia Niemcom ich zbrodni i nagłościenia okoliczności zbrodni na polskich profesorach. W jednym z wywiadów, udzielonym red. Aleksandrze Solarewicz, autor powiedział to, czego nie dano mu powiedzieć na uroczystości odsłonięcia pomnika profesorów we Lwowie: *Do końca życia nie przezwyciężę w sobie bólu wynikającego ze świadomości tego, jakie okropności zostały dokonane w imieniu narodu niemieckiego i jak barbarzyńsko zachowali się nasi dziadkowie i ojcowie. Wywołuje to u mnie bezradność, przygnębenie, ale i wściekłość. Pisanie jest dla mnie wentylem, by dać ujście tym uczuciom.*

Po ukazaniu się omawianej książki autor uczestniczył w spotkaniach w wielu miastach naszego kraju, m.in. w Warszawie, Wrocławiu, Gliwicach i innych, także w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim i w krakowskim Muzeum Galicja, o czym przeczytaliśmy w „Dzienniku Polskim” (1 lutego 2012 r.) w artykule pt. *Kolejna biała plama została usunięta.*

Reasumując: opracowanie niezwykle, intencja i odwaga Autora godna podziwu, a książka osobom ze starszego pokolenia wiele dopowiada, młodszym pokoleniom ukazuje zaś udokumentowany dramat tamtych czasów, tamtych zdarzeń.

Warto zakończyć cytatem, którym posłużył się Dieter Schenk w niewygodnym przemówieniu, przygotowanym na uroczystość odsłonięcia pomnika pomordowanych Profesorów Lwowskich na Wzgórzach Wuleckich w 70. rocznicę tego okrutnego wydarzenia: *Gdy o Niemczech myślę w nocny czas, sen mnie opuszcza aż po brzask* (Heinrich Heine, 1844 r.). Nie przypuszczałem, że po 100 latach od czasu, gdy słowa



te zostały napisane, też nie będzie mógł spać! I będzie uparcie dążył do ujawnienia prawdy. (AS)

DIETRICH SCHENK (ur. 1937) – kryminolog, były wysoki funkcjonariusz Federalnego Biura Kryminalnego, historyk, publicysta, autor książek dotyczących zbrodni hitlerowskich na terenie okupowanej Polski; dotarł do źródeł w niemieckich archiwach, nieznanym polskim historykom.



📖 Ogromną satysfakcję i pożytek dała nam najnowsza książka z cyklu *Wielcy Ludzie Kościoła*, pt. **Arcybiskup Józef Bilczewski**, traktująca o największym arcybiskupie w 600-letniej historii Kościoła lwowskiego. Napisali ją **Stanisław i Małgorzata Dziedzicowie**, opierając się na bogatej literaturze zarówno biograficznej, jak i dotyczącej różnych aspektów działalności Arcybiskupa,

a także zbierając całkiem nowe wiadomości o Jego życiu i dziele (m.in. od dość szeroko rozrodzonej rodziny, noszącej niegdyś nazwisko Biba, jak również gałęzi noszących – po córkach – inne nazwiska. To samo dotyczy gniazd rodzinnych: Bibowie pochodzili z Wilamowic k. Kęt, a dziś ich potomkowie żyją w wielu miastach Polski i poza Polską).

Józef Biba (ur. w 1860 r., nazwisko *Bilczewski* przyjął już po święceniach kapłańskich, w wieku 25 lat) urodził się we wspomnianych Wilamowicach, jego ojciec był rolnikiem i cieślą. Przodkowie mieszkańców tej miejscowości przybyli na ziemię polskie w XIII w. z Flandrii czy Nadrenii, a swoim specyficznym językiem – obok polskiego – posługiwali się aż do XX wieku. Od stuleci odczuwali głęboką więź z polskością. Szkołę „trywialną” ukończył Józef na miejscu, dalsze nauki pobierał w Kętach i w gimnazjum w Wadowicach. Wszędzie był doskonałym uczniem.

Po maturze wstąpił na wydział teologii UJ w Krakowie, święcenia otrzymał w 1884 r. Jego pierwsze placówki duszpasterskie to podkrakowska Mogiła i parafia WW Świętych w Krakowie. W międzyczasie były studia uzupełniające w Wiedniu i Rzymie, wreszcie habilitacja na UJ.

W 1893 r. Bilczewski przeszedł do Lwowa i tam został profesorem zwyczajnym dogma-

tyki; szybko zyskał wysoką pozycję naukową. W r. 1900 objął urząd rektora Uniwersytetu Lwowskiego. Namiestnik Galicji L. Piniński upatrzył Go na arcybiskupa po śmierci dotychczasowego, a sakrę biskupią otrzymał w 1901 r. Współkonsekratorami byli: książę-biskup krakowski Jan Puzyra\*, arcybiskup greckokatolicki Andrzej Szeptycki i biskup przemyski Józef S. Pelczar; uczestniczył także m.in. arcybiskup ormiański Izaak Isakowicz.

W kolejnych rozdziałach autorzy omawiają niezwykle wielostronną działalność Arcybiskupa, opartą na dogłębnym rozeznaniu złożonej problematyki terenu, na którym przyszło mu pełnić swe dzieło. Kilka rozdziałów poświęcają tematowi *Antynomie kresowej archidiecezji i Kościół bliżej wiernych*. Tu przypomnijmy, że w okresie 23-letnich rządów Bilczewskiego powstało 238 nowych kościołów i kaplic\*\*.

Trudno tu streszczać liczne sprawy i działania podejmowane przez arcybiskupa lwowskiego, a dotyczyły one nie tylko Jego archidiecezji. Ważne tu są rozdziały: *Inicjator nowych form edukacji oraz Wierny Kościołowi i Ojczyźnie*. Jego zasługą było m.in. wprowadzenie do litanii loretańskiej wezwania: *Królowo Korony Polskiej...* Ciekawy i ważny jest rozdział *Bilczewski – Szeptycki*, wyjaśniający wiele problemów rzekomej niewinności władcy świętojurskiego.

Arcybiskup Józef Bilczewski zmarł w marcu 1923 r. i został pochowany – zgodnie ze swoją wolą – na Cmentarzu Janowskim, wśród najuboższej ludności Lwowa.

Książkę Dziedziców kończy opis starań o wyniesienie Bilczewskiego na ołtarze, a następnie Jego beatyfikacji (Lwów 2001) oraz kanonizacji (Rzym 2005). Szczałki – relikwie Świętego zostały przeniesione – dla bezpieczeństwa – do lwowskiej Katedry Łacińskiej.

Uważamy, że książeczka Stanisława i Małgorzaty Dziedziców powinna być jak najszerzej rozprowadzona w naszym społeczeństwie, przede wszystkim wśród Małopolan – także tych za wschodnim kordonem. Jej ogromnie bogata i interesująca treść, przystosowana do szerokiego odbioru, będzie nauką o jednym z czołowych Polaków i Kapłanów w naszej historii.

\* Jeszcze nie kardynał.

\*\* Architektami, którzy działali na tym polu byli m.in. Wawrzyniec Dayczak (patrz CL 2/99) i inni.

📖 Niezwykłą książkę nadesłało nam Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia”. Jest to praca Sługi Bożego **ks. Władysława Bukowińskiego**, napisana w... łągrze Dżekazganie (Kazachstan), w którym Ksiądz przebywał w latach 1949–1956. Nie był to Jego jedyny pobyt w miejscach odosobnienia oraz pracy przymusowej. W sumie w więzieniach i obozach pracy spędził 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni.

Książka nosi tytuł ***Historia nauczycielką życia*** i jest 70. tomem wydanym w ramach Biblioteki WzW (Biały Dunajec – Ostróg 2010).

Przypomnijmy: ks. Bukowiński urodził się w 1904 r. w Berdyczowie na Ukrainie. Ukończył najpierw studia prawnicze na UJ w Krakowie. Lata studiów wypełniała mu również intensywna działalność w Akademickim Kole Kresowym. Po dyplomie podjął studia teologiczne na UJ, a święcenia kapłańskie otrzymał w 1931 r. Był duszpasterzem i katechetą w Rabce i Suchej, ale w 1936 r. na własną prośbę wyjechał na Wołyń. Był wykładowcą w Łucku oraz proboszczem tamt. katedry. W 1935 r. został aresztowany wraz z bpem A. Szelażkiem i innymi księżmi oraz skazany na 10 lat karnych obozów pracy. Tak się zaczęło...

Ks. Władysław postanowił w łągrze napisać historię Polski na użytek współwięźniów oraz Polaków z rodzin zesłańców żyjących na nieludzkiej ziemi, stawiając sobie za cel popularyzację postaci i wydarzeń dla wychowania patriotycznego. Dla Polaków, którzy nie znali historii Ojczyzny, ponieważ urodzili się na zesłaniu, była to jedyna lektura historyczna i wychowawcza.

Ks. Bukowiński daje na początku swego opracowania ogólne omówienie historii Polski i podział na historyczne okresy, a następnie pisze noty biograficzne kolejnych królów polskich, aż do rozbiorów. Potem omawia wiek niewoli, powstania i I wojnę światową. Na tym rękopis się kończy, nie doszło już do omówienia okresu współczesnego, od 1918 roku. Z trzech ostatnich linijek wynika, że Ksiądz zamierzał opisać istnienie niepodległego państwa polskiego 1918–1939, okupacji niemieckiej 1939–1945 i – co najmniej – *zamaskowanej okupacji* (1945–...). Na tych słowach rękopis



kończy się ostatecznie. Być może chodziło o drugą okupację sowiecką. Tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

📖 Z okazji 125. rocznicy koncertu Ignacego Paderewskiego w Krakowie w 1902 r. wydano upamiętniającą to wydarzenie broszurkę (Fundacja Willa Polonia, Kraków 2008), zatytułowaną ***Koncert Paderewskiego***. Chodzi tam jednak nie o ów koncert w Krakowie, lecz we L w o w i e, a jest to sentymentalne wspomnienie dawnego lwowskiego szóstoklasisty – **Kornela Makuszyńskiego**. Tekst ten – za zgodą Wydawcy – przedrukowujemy w całości w tym numerze CL jako *Proza*.

📖 Wielką przyjemność sprawił nam album ***Huculsczyczna*** (Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010), opracowany przez dobrze już znanego fotografika **Krzysztofa Hejkego**. Większa część zamieszczonych w albumie zdjęć jest jego autorstwa, pozostałe pochodzą z jego kolekcji fotografii różnych autorów z lat przedwojennych.

Album (dużego formatu) zawiera piękne krajobrazy gór i połonin, rzek i potoków, z Czarnohory i Gorganów, a także z różnych rejonów Pokucia. Ponadto fotografie ze wsi huculskich, domów i ich wnętrz, liczne fotografie budowli zabytkowych (cerkiewek i kościółków) i z lat międzywojennych (wiadukty, obserwatorium). Dużą część stanowią fotografie ludzi – w domu, w pracy, na uroczystościach i rozrywkach, zdjęcia rodzinne. Wiele zdjęć strojów, sztuki, zdobnictwa. Nie brak scen z turystyki, sportów.

Zbiór pięknych i ciekawych zdjęć uzupełnia kilka tekstów, omawiających różne strony tematyki huculskiej, czy szerzej – wschodniokarpackiej. I tak: Jacek Wnuk opisał *Huculsczyczynę – krainę wyśnioną* i *Geografię*. Jan Skłodowski napisał rozdziały: *Historia, Kultura, Ludzie, Pamięć* oraz *Inspiracje*. Lektura tych tekstów zaspokaja nasze ogromne zaciekawienie wobec legendarnej, tragicznie utraconej ziemi naszych wschodnich gór i ich podnóży. Tu znaleźliśmy tylko jedno niespełnienie oczekiwań: zbyt mało napisano i pokazano huculskiej ceramiki, a przecież dla wielu z nas jest to główny łącznik z tamtym niezwykłym regionem. Staramy się to uzupełnić, pokazując fragment dzbanka z autografem najslawniejszego, polskiego twórcy ceramiki huculskiej, Bachmińskiego.



I jeszcze jedna uwaga, dotycząca wstępu: nie nazywamy Huculów *grupą etniczną ukraińskich górali*. Huculi nie są Ukraińcami, bo nie przyszli ze wschodu, zza Dniepru, lecz z południa, z Wołoszczyzny, byli więc najbliżsi dzisiejszym Rumunom, a także Węgrom. Pod wpływem greckokatolickich księży (choć przyszli jako prawosławni, jak inne ludy znad Morza Czarnego) ulegli częściowej rutenizacji. Ich język\* i ich folklor w sensie tradycyjnym nie pokrywają się z tym, co podciąga się dziś pod miano *ukraińskie*. Takie starania są oczywiście w tamtym państwie czynione, my jednak nie musimy się temu poddawać.

\* Został u nas wydany *Słownik huculski* opracowany przez prof. Jana Janowca (Kraków 2001).

**Zbigniew Wawszczak**, dziennikarz, w książce *Tam był nasz dom*, z podtytułem *Wspomnienia Kresowian*, zebrał relacje, opowiadania i wspomnienia osób związanych z Ziemią Wschodnimi II Rzeczypospolitej (wyd. „Carpatia”, Rzeszów 2010). Relacje te na przykładzie życiorysów konkretnych ludzi przedstawiają historię tamtejszych Polaków w XX wieku, w tym przede wszystkim w okresie II wojny światowej i po jej zakończeniu.

Autor mieszkający w Rzeszowie, związany jest z regionem podkarpackim. Ponieważ przez 40 lat pracował w Polskim Radiu Rzeszów, w tym przez 14 lat prowadził autorską audycję pt. *Kresy, krajobraz serdeczny*, miał okazję poznać różnych ludzi i ich losy. Z bogatego materiału wybrał 32 wątki grupując je w 4 rozdziały tematyczne.

Trudno oczywiście omawiać tu kolejne materiały autorskie, poprzestajemy więc na ich wymienieniu z krótkimi wyjaśnieniami.

## Rozdział 1. NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Zawarte tu opowiadania-wywiady przedstawiają różne dzieje Sybiraków rozproszonych po świecie. Autor swój pobyt w USA

w 2004 r. wykorzystał do przeprowadzenia trzech wywiadów z Polakami osiadłymi za oceanem. Ich życiorysy, zaczynające się na Kresach II Rzeczypospolitej, prowadziły przez Syberię i łągry do owocnego życia zawodowego na obczyźnie. Są tak bogate w wydarzenia, że nadają się do osobnego traktowania. Natomiast 2 pozostałe rozdziały mówią o Sybirakach, którzy po repatriacji ułożyli sobie nowe życie w powojennej Polsce.

- *Z lasów koło Archangielska – pod Arnhem*. Rozmowa ze spadochroniarzem M. Głowaczem-Henzlem (Kalifornia).
- *Z Drohobycza do łągrowskiej Wokuty*. Wspomnienia łągiemnika K. Chmury (Leżajsk).
- *Piętno zesłania*. Opowieść Sybiraczki L. Argasińskiej (Lubaczów).
- *Kresowy pałac przed zagładą*. Losy rodziny ks. Juliana Pużyny ze Stryhowa na Polesiu opowiedziane przez ks. I. z Pużynów Lubomirską (Kalifornia).
- *Sybiracy to wyjątkowi świadkowie, patrioci i ludzie*. Rozmowa z ks. M. Ciesielskim, proboszczem polskiego kościoła w Los Angeles.

## Rozdział 2. „SMERT LACHAM”

Tytuł sugeruje, że opowiadania dotyczą ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu i terenach sąsiednich w latach 40. XX wieku. Są tu wstrząsające relacje naocznych świadków. W dwóch rozdziałach poruszony jest rzadko spotykany temat mieszkańców Ziemi Sokalskiej (tzw. Grzęda Sokalska), którzy najpierw w 1944 r. ucierpieli od napadów UPA, a ratując życie stracili cały dobytek. Następnie ci sami ludzie po powrocie do swych osad z trudem odbudowali gospodarstwa, by znów w 1951 r. przymusowo porzucić ojcowiznę i na nowo zacząć życie w Bieszczadach (w 1951 r. nastąpiła zmiana terenów przygranicznych między Polską a ZSRS). W innym rozdziale poruszony jest temat życia w powojennym pasie przygranicznym w okolicach Horyńca, gdzie do 1947 r. uboga ludność polska była terroryzowana przez bandy UPA. Obecnie tereny te stopniowo wyludniają się.

Rozdział pt. *Z Londynu na Wołyń* zawiera obszerny opis wyprawy 79-letniego Polaka z Londynu do miejsca urodzenia na Wołyniu koło Dubna. Cenna jest rzetelna informacja historyczna dotycząca Dubna i zamku dubieńskiego.



- *Śmierć przychodzi o świcie*. Opowieść J. Gromadzkiej o zagładzie wsi Ostrów k. Krystynopola...
- *Tato, porozmawiajmy...* A. Łysoganicz rozmawia z ojcem Franciszkiem Flakiem (Czarna Bieszczadzka).
- *Losy Wołyniaka, którego ominęła deportacja i śmierć z rąk UPA*. Historia W. Grzebyka (Rzeszów).
- *Wołyń, moja utracona, ukochana Mała Ojczyzna*. Opowiadają Maria i Władysław Kluzowie (Łańcut).
- *...Miał głowę odrąbaną siekierą, a w ręku różaniec*. Relacja W. Baran o napadzie UPA na wieś Nowiny Horynieckie k. Lubaczowa.
- *Ukraińcy ratujący Polaków*. Refleksje o książce R. Niedzielski „Kresowa księga sprawiedliwych”.
- *Wspomnienie o Mieczysławie Buziewicz* (1934–2007).
- *Z Londynu na Wołyń*. Opowieść o podróży potomków polskich ziemian do rodzinnego majątku.
- *Kresowy diament*. O losach poety Zygmunta Rumla.
- *Pomnik w Wiśniowu*. Wzniesiony ku czci zabójców nieomal na prochach ofiar.

### Rozdział 3. W KRĘGU LWOWA I BORYSŁAWIA

W pierwszej części tekstów tu zamieszczonych przedstawione są sylwetki osób związanych ze Lwowem pochodzeniem, jak i późniejszą działalnością na rzecz utrwalania wiedzy i pamięci historycznej o znaczeniu Kresów dla całej Rzeczypospolitej. Na czoło wysuwają się osoby Bolesława Opałka – wieloletniego prezesa Tow. Miłośników Lwowa i KPW o. Rzeszów, oraz Andrzeja Chlipalskiego – redaktora naczelnego kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, wydawanego przez krakowski oddział TMLiKPW. Tu przedstawiona została nie tylko sylwetka zasłużonego działacza – lwowianina, ale także m.in. idea powołania Instytutu Polskiego Dziedzictwa, Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Do wywiadu dołączono dwa teksty z kwartalnika dotyczące sytuacji w Kościele. W drugiej części zamieszczono wspomnienia o Borysławiu.

- *Lwowiak z dziada pradziada*. Spotkanie z Bolesławem Opałkiem, twórcą i wieloletnim prezesem oddziału TMLiKPW w Rzeszowie.
- *Cudowna scena*. Teatr Wielki we Lwowie we wspomnieniu poetki Jadwigi Sibigi (Jarosław).
- *Ocalić od zapomnienia*. Wywiad z red. Andrzejem Chlipalskim „Cracovia–Leopolis” (Kraków).

- *Chłopak spod Mościsk*. Opowieść Edwarda Kupiniaka (Tarnów).
- *Moje miejsce na ziemi*. Wspomnienia borysławianki I. Konieczko (Brzozów).
- *Borysławiak z wyboru*. Sylwetka lekarza Albina Pietrusa (Jasło).
- *Zbigniew Tołoczyński (1939–2007)*. Przypomnienie informatyka (Rzeszów).
- *Miasto naftą pachnące*. Relacja J. Sadowskiej (Krosno).

### Rozdział 4. WYGNAŃCY Z ZIEMI WILEŃSKIEJ

W tej części zgrupowane zostały wspomnienia i zapisy rozmów z siedmioma przedstawicielami rodzin z Wileńszczyzny (w tym z Braślawia). Wśród różnych kolei losów jest i dostatnie życie, i partyzantka, i łagry, i ucieczki, i deportacja do Kazachstanu, i szlak bojowy Armii Andersa – w sumie pełny wachlarz polskich losów.

W omawianej książce teksty opatrzone są licznymi fotografiami archiwalnymi i współczesnymi, przypisami, a także indeksami nazwisk i miejscowości. W literaturze dotyczącej polskich Kresów – obecnie już dość bogatej – jest to bardzo znacząca pozycja, zawierająca mnóstwo cennych wiadomości.

- *Partyzant z oddziału Kmicica*. O Zdzisławie Szyteyce, pisarzu prawie nieznanym.
- *Szabel nam nie zabrakło*. Rozmowa z kresowym żołnierzem Józefem Daleckim z Braślawia (Rzeszów).
- *Zwyczajne świąteczne u wilnian osiadłych na Mazurach*. Rozmowa z M. Bonarek (Tarnobrzeg).
- *Moje życie w kraju i w Ameryce*. Rozmowa z hr. Adamem Tyszkiewiczem, lekarzem med.
- *Wojenne losy rodziny Żurawskich ze Słobódki*. S. i J. Żurawscy.
- *Wspomnienia z Braślawia*. Rozmowa z J. Żurawskim (Kazimierz Dolny).

W książce znalazły się ponadto liczne zdjęcia ludzi, obiektów i krajobrazów oraz rysunki.

W sumie książka red. Z. Wawszczaka przynosi obszerny, wartościowy i ciekawy materiał. (DTS)

Anna Stengl (AS)  
Danuta Trylska-Siekańska (DTS)  
Andrzej Chlipalski

## Wertując wydawnictwa

➔ Dostaliśmy broszurkę sprzed ¾ wieku, a mianowicie wydaną w 1938 r. odbitkę z „Przeglądu Krajoznawczego” – organu Oddziału Lwowskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego pt. *Wędrówki ludności podmiejskiej do Lwowa*, autorstwa Wacława Kaczorowskiego. Autor omawia przyjazdy kolejną ludności podlwojskiej do miasta poczynając od roku 1861, tzn. od chwili uruchomienia pierwszej linii kolejowej do Lwowa. Okazuje się, że w tym właśnie roku do Lwowa pociągiem przyjeżdżało dziennie średnio 16 osób (w ogóle, nie tylko dojeżdżających)! Ale już w latach 1870–72 przybywały średnio dziennie 454 osoby – były już wtedy 3 linie kolejowe. W 1938 było około 5800 dojeżdżających. Przez Lwów przechodziły wtedy 143 pociągi w ciągu doby ośmioma liniami kolejowymi, a największą osobą dojeżdżało z Zimnej Wody, Brzuchowic, Winnik, Barszczowic, Podborzec; mniej z Obroszyna, Skniłowa, Rzęsnej Polskiej, Sichowa itd.

Jak jest dzisiaj? Zapewne podmiejskie koleje – jak wszędzie – plajtują, bo zastępują je autobusy, „marszrutki” i oczywiście samochody prywatne. Także tam...

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 14 I '12 ukazał się artykuł inż. Jerzego Kapłona – naszego autora z ubiegłych lat – pt. *Piękno utraconej ojczyzny, folklor i tradycja*, z podtytułem: **Odkrywanie Huculszczyzny**. Autor, przewodnik górski i wielki miłośnik gór, dyrektor Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK, pisze o Galicyjskim Towarzystwie Tatrańskim, które powstało w grudniu 1873 r., ale w kilka miesięcy później – gdy autonomia galicyjska okrzepła na dobre – odrzucono przymiotnik *Galicyjskie*. Towarzystwo to było niezwykle aktywne we Lwowie i innych miastach ówczesnej Gali-

cji wschodniej, tamtejsi działacze traktowali działanie w stowarzyszeniu jako spełnienie patriotycznego obowiązku krzewienia polskości. Dążono do integracji ludności huculskiej – niemającej však pochodzenia ruskiego, lecz bardzo mieszane, z korzeniami wołoskimi – z narodem polskim.

Autor wymienia czołowych pionierów wschodniokarpackiej turystyki i autorów przedmiotowej literatury w XIX i XX wieku. Te nazwiska warte są zapamiętania (wielu z nich to postacie dobrze znane): Aleksander Zawadzki (1798–1868), Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879), August Bielowski (1806–1876), Ludwik Nabelak (1804–1883), Seweryn Goszczyński (1801–1876), Karol Szajnocha (1818–1868), Wincenty Pol (1807–1872) i jego syn Władysław (1857–1928), Hiacynt Łobarzewski (1814–1862), Wacław Zaleski (1799–1849), Alojzy Alth (1819–1886), ks. Eugeniusz Janota (1823–1878).

Autor przypomina, że to w utworach Wincentego Pola pojawia się określenie Kresy Wschodnie jako pojęcie nieodłącznie związane z polskimi tradycjami rycerskiej walki o niepodległość i z nostalgią za wielkością Rzeczypospolitej.

➔ W posiadanych – nie najnowszych – tomach Teki Komisji Urbanistyki i Architektury (lata 80. XX w.) znaleźliśmy kilka interesujących nas artykułów:

- Kazimierz Kuśnierz: *Zarys rozwoju przestrzennego **Brzeżan** w XVI i XVII wieku* (tom XVII, 1983);
- Józef Tomasz Frazik: *Osiemnastowieczne projekty architektoniczne kościoła, kolegium i szkoły Jezuitów w **Samborze*** (tom XVIII, 1984);
- Edmund Małachowicz: *Obóz i obszar warowny **Lwów*** (tom XXII, 1988) [czasy zaboru austriackiego].

Zainteresowanym Czytelnikom możemy przesłać nieodpłatnie odbluki kserograficzne wybranych opracowań.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Na koniec całkiem inny temat. W Towarzystwie Miłośników Lwowa i KPW w całej Polsce działało i nadal działa sporo osób twórczych, które zostawiają po sobie – dla nas wszystkich i dla naszych potomnych – wiele bezcennego materiału o naszej wspólnej, lecz utraconej Małej Ojczyźnie: książki – dzieła naukowe i literackie, albumy, czasopisma lub serie artykułów, filmy, a nawet całe zespoły artystyczne, i inne jeszcze formy działalności. O osobach tych – nawet w naszych środowiskach – nie wszyscy wiedzą, nie wszyscy znają ich nazwiska i dzieła. A cóż dopiero mówić o całym narodzie!

Chodzi oczywiście o osoby, po których zostają dokonania wybitne. Przykładami niech będą takie postacie jak Witold Szolginia, Jerzy Masior, Jerzy Janicki czy w Krakowie Tadeusz Krzyżewski. Jest ich na pewno dużo, a była naprawdę – w ciągu minionych dwóch trzecich wieku – niemała liczba.

Wypadałoby więc uczynić coś dla zapamiętania i spopularyzowania dokonań takich ludzi i dzieł ich życia. Dzieł wyraźnie nakierowanych na pamięć o utraconej Ziemi, o jej obronie i twórczym zagospodarowaniu, o Polakach, którzy wielu wieków nie zmarnowali.

Postacie te, ich podobizny i krótkie objaśnienia, chcielibyśmy pokazać – na dobry początek – na okładkach naszego Kwartalnika, tak jak pokazywaliśmy polskich królów czy lwowskich uczonych. Potem pomyślimy, co zrobić dalej.

Prosimy przeto Czytelników z różnych Oddziałów TMLiKPW o propozycje ze zwięzłymi notkami biograficznymi i możliwie – fotografiami.

Z góry dziękujemy i pozdrawiamy.

Redakcja

---

## **LISTA OFIARODAWCÓW (7)** **na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS**

Zofia Dudrówna, Kraków; Waław Fastnacht, Kraków; Marcin Kawalec, Zaczernie; Jolanta Olbrycht-Roguska, Kraków; Franciszek Szayner, Wrocław; Jan Szczepanik, Szczecin; Tadeusz Tomasiuk, Dokudów; Adolf Zabuski, Wrocław; Adam Żurawski, Bytom; Darczyńca Anonimowy

### **Składamy serdeczne podziękowanie w imieniu redakcji i Czytelników.**

---

## Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)  
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościak

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Anna Stengl, tel. (12) 632 44 72, kom. 669 969 809

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Słowo od redakcji	Nasza Ziemia	
Z WIOSNĄ POWIAŁO OPTYMIZMEM	II Alicja Olszowska	
Archiwum	ZNAŁAM TYLKO Z OPowieści	35
WIELKANOC	Stanisław S. Nicieja	
Hemar	1 STOROŻKA – DOM NAD URWISKIEM	38
Krzysztof Bulzacki	Poezja	
NALEŻY MU SIĘ PAMIĘĆ...	Maryla Wojska	
Marian Hemar	2 DUSZO MOJA ♦ SZCZĘŚCIE	41
HEMAR O SOBIE	3 Proza	
Krystyna Dzieciotłowa	3 Kornel Makuszyński	
LAURKA DLA PANA HEMARA	3 KONCERT PADEREWSKIEGO	42
Historia	Tomasz J. Kotliński	
Katarzyna Siekańska	ALEKSANDER MNISZEK TCHORZNICKI	44
HISTORIE PRAWDZIWE	5	
Naszym zdaniem	Sylwetki	
POLSKI NIE ZAUWAŻYŁ?	7 Marek Uhma	
Tadeusz Krzyżewski	9 WSPOMINAMY BARBARĘ UHMĘ	53
LWÓW – NASZ PEJZAŻ CENTRALNY	16 ODSZEDŁ ROMAN HNATOWICZ	54
Adam Wierciński	17 Kultura ♦ Nauka	
ZA SZYBKIE PISANIE	Anna Madej	
Danuta Nespik	NIEDOKOŃCZONE MSZE WOŁYŃSKIE	56
KOMU POMNIK WE LWOWIE?	17 Kazimierz Selda	
Rozmowy	18 POEZJA LWOWSKA W KRAKOWIE	57
Janusz M. Paluch	Anna Stengl	
ROZMOWA ZE ZB. WAWSZCZAKIEM	18 O KONCERCIE JUBILEUSZOWYM...	57
Wspomnienia	25 wErrata	58
Remigiusz Węgrzynowicz	25 Książki ♦ Czasopisma	
WSPOMINAM LWOWSKICH KSIĘŻY	25 NOWE KSIĄŻKI	59
Helena Żołnierzowa	27 WERTUJĄC WYDAWNICTWA	64
KONIEC WOJNY 1939–1945	33 Ofiarodawcy	III
Józef Juzwa		
OSTATNI PROBOSZCZ ZALESZCZYCKI...		
Janusz Wasylkowski		
KRAKÓW 1945		